PRZEKRÓJ

32 STRONY • 6 zł • Nr 976-7 • GWIAZDKA 1963

Dziękujemy



Leonardo da Vinci: DAMA z ŁASICĄ — patrz też strona ostatnia

Kartki z albumu
DWUDZIESTOLECIA

ALEŻ ten czas leci! Wchodzimy w XX rok ludowego państwa. Młodziki z tamtych lat wchodzą dziś w słuszny wiek życia, równolatki niepodległości stają przed komisje poborowe.

Rozciąga się przed ich oczami kraj uładzony, którego rytm wyznacza pokojowa praca i nowoczesna cywilizacja. Dla nich tamte czasy sprzed lat 20-tu są historią czerpaną z podręcznika i opowieści najbliższych. Owe lata, kiedy to sąsiadowały z sobą bohaterstwo i komizm sytuacji, śmierć i radość ocalenia, rewolucja i małostkowe kłopoty ludzi, patos dni odbudowy i elementarne braki w codziennej egzystencji. Kiedy Polska była pogorzeliskiem i ruiną, gdy brat szukał brata, a matka dzieci, gdy z remizy wyjeżdżał pierwszy tramwaj, ruszała pierwsza obrabiarka na praskiej stronie Warszawy, a ministerstwa gnieździły się w dwóch, trzech pokoikach przy ulicy Wileńskiej.

Kiedy grzmiały fronty, a po wsiach odbywały się pierwsze podziały reformy rolnej, w Lublinie, w Teatrze Wojska Polskiego dawano premierę „Wesela". Komunikaty prasowe donosiły o postępach ofensywy na wschodnim i zachodnim froncie, w lewobrzeżnej zaś Warszawie, wyzwolonej w dniu 17 stycznia 1945 roku, pokazywali się pierwsi cywilni ludzie.

W kilka dni po tej dacie pisał korespondent „Polpressu" (tak się nazywał poprzednik PAP) w notatce zatytułowanej „Pierwsza kawiarnia w Warszawie":

„W Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej 71 została otwarta w podwórzu zburzonego domu pierwsza herbaciarnia warszawska. Na prowizorycznej kuchence, na środku podwórza, gotują się dwa czajniki wody. Publiczność rozgrzewa się popijając gorącą, słodzoną herbatę przy stolikach pokrytych białymi obrusami".

W rubryce „Z ziem wyzwolonych", „Głos Ludu", pismo codzienne Polskiej Partii Robotniczej donosiło z Kielc: *„Miasto przeżywa niezapomniane chwile. Do wyzwolonych spod tyranii hitlerowskiej Kielc przybyli przedstawiciele polskich władz demokratycznych witani entuzjastycznie na licznych zgromadzeniach i wiecach. Na zwołanych spontanicznie wiecach kolejarzy przemawiali podsekretarz stanu w Ministerstwie Administracji Publicznej płk Edward Ochab, ob. Ozga Michalski, Czerwiński, Piaskowski i przedstawiciele Armii Czerwonej".*

Ach, te gazety, pożółkłe karty pism codziennych z tamtych lat! Gorąca historia pierwszych dni, pierwszych miesięcy i pierwszych lat niepodległości. Któż to niefrasobliwie powiedział, że gazeta ma życie motyla! W tych archiwalnych i niezmiernie rzadkich egzemplarzach wszystko jest żywe! W każdym razie dla piszącego te słowa, który przeżył tamte lata.

Tytuły z jednego dnia w lubelskiej gazecie: *„Braciom zza Wisły na pomoc!" „Metz padł". „Komunikat operacyjny Radzieckiego Biura Informacyjnego o postępach ofensywy na Węgrzech". „Z frontu włoskiego: Ciężkie bombowce startujące z baz włoskich atakowały niemieckie rafinerie nafty". „Gen. de Gaulle jedzie do Moskwy". „Pomimo trwania obstrzału artyleryjskiego na Pradze uruchomiono już szereg fabryk". „Na terenie Białegostoku zostanie wkrótce uruchomiona pierwsza olejarnia".*

W repertuarze kin i teatrów: Teatr Miejski — „Uciekła mi przepióreczka". Kino Apollo — „Miodowy miesiąc" — film amerykański; w roli głównej Franciszka Gaal. Kino Bałtyk — „Pan Twardowski". Kino Rialto — „Królowa przedmieścia"; w rolach głównych Grossówna i Sielański.

Agencja „Polpress" donosi zaś: *„Wydział Kultury i Sztuki Miejskiej Rady Narodowej m. st. Warszawy wystąpił do odnośnych władz o zezwolenie na otwarcie kursów dramatycznych dla przyszłych adeptów sztuki scenicznej".*

Niniejsza rubryka, którą dziś otwieramy, ma w miesiącach jubileuszowych, przypomnieć tamten czas, historię, ludzi i wydarzenia. Czas wojny i pierwszych dni rekonstruowania kraju; historię stawania się socjalistycznego państwa, ludzi wybitnych i przeciętnych, którzy towarzyszą najnowszym dziejom przez pełne lat dwadzieścia, wydarzenia doniosłe i błahe, jedyne jednak dla niepowtarzalnego klimatu tamtych lat.

Posłużymy się więc w tej rubryce archiwalnym zapisem i gazetami, anegdotą i wspomnieniami. A rekonstrukcja tamtej przeszłości jest w swoich sprawach wielkich i wydarzeniach małych tak wymowna w zderzeniu z tym wszystkim co mamy dziś wokół siebie, że doprawdy zdumiewa fakt, jak wiele można dokonać w dwóch dziesiątkach lat.

Wystarczy przymknąć oczy, by wniknęły pod powieki i gruzy Warszawy, i most, jedyny most pontonowy nad Wisłą, i pierwszy kociak stolicy — Lodzia-milicjantka, i sejm w sali „Romy" przy Nowogrodzkiej, i wołanie szoferów: „Na Pragie, na Pragie", i pierwsza defilada wojskowa w wyzwolonej stolicy, i ministrów w kusych marynareczkach sypiających na biurkach w swoich „gabinetach", i rewię mody roku 1946 na której lansowano wieczorowe suknie z koców wojskowych.

No i „Cafe Fogg" przy Marszałkowskiej, gdzie pan Mieczysław śpiewał „Warszawo, ty moja Warszawo..."

RYSZARD KOSIŃSKI

PRZEKRÓJ tygodnia

Numer niniejszy został oddany do druku 16 grudnia 1963 r. Nakład 490.000 egzemplarzy.

Święta

Świąteczny szczyt w pełni. Poczta bije rekordy w ilości doręczanych życzeń, depesz i paczek. Kolej jak zwykle nie może pomieścić podróżnych, mimo dodatkowych pociągów. W sklepach tłok nie mniejszy niż w Zakopanem w domach wczasowych. Jeszcze dzień, dwa i po przedświątecznej gorączce będziemy wypoczywać.

Ale nie wszyscy. W dniach świątecznego wypoczynku warto pomyśleć o tych, dla których święta będą dniem normalnej pracy. O pracownikach elektrowni i gazowni, o lekarzach ze szpitali i pogotowia ratunkowego, o kolejarzach, którzy święta spędzają w pociągach, o dyżurnych strażakach i milicjantach — o tych wszystkich, których praca zapewnia nam niezakłócone, spokojne święta.

Wielki program

Ostatnie plenum KC PZPR zdecydowało rozwinąć na ogromną skalę radziecki **przemysł chemiczny.** Po zbudowaniu potężnego przemysłu ciężkiego, ZSRR może obecnie przeznaczyć ogromne środki na rozwój chemii, rolnictwa i przemysłu lekkiego.

Jeśli USA wyprzedzają obecnie Związek Radziecki pod względem produkcji rolnej — podkreślił premier Chruszczow — to jest tak przede wszystkim dlatego, że na hektar ziemi ornej zużywa się tam 229 kg nawozów, a w ZSRR 62 kg. Kolosalny program rozwoju produkcji nawozów sztucznych, jaki obecnie w Związku Radzieckim zaczyna się realizować, radykalnie w ciągu najbliższych siedmiu lat zmieni ten stan rzeczy.

Również dla szybkiego wzrostu produkcji artykułów przemysłowych takich jak odzież, obuwie, dla rozwoju budownictwa — baza w postaci potężnego przemysłu chemicznego będzie mieć zupełnie zasadnicze znaczenie.

► *„Gdyby Lenin teraz żył* — mówił na plenum premier Chruszczow — *powiedziałby: komunizm — to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju, plus chemizacja gospodarki narodowej.*

Ocena sytuacji

Fakt, że Związek Radziecki uważa za możliwe przeznaczyć tak ogromne środki na rozwój gałęzi gospodarki, które służą bezpośrednio dla podniesienia spożycia ludności świadczy, że posiada on dostateczne środki dla zabezpieczenia się przed każdą agresją i że liczy się z pokojowym rozwojem sytuacji w świecie. Premier Chruszczow oznajmił, że rozważa się obecnie możliwość redukcji stanu liczebnego sił zbrojnych oraz budżetu wojskowego.

Wyraził przy tym nadzieję, że zdrowe i realnie myślące siły USA znajdą środki dla okiełznania kół awanturniczych aby zapobiec niebezpiecznemu rozwojowi wydarzeń. Ze szczególnym naciskiem raz jeszcze przestrzegł przed agresją na Kubę, wobec której ZSRR ma swe zobowiązania i która w razie napaści nie okazałaby się bezbronna.

Premier Chruszczow stwierdził, że Związek Radziecki chętnie udzieli zamówień firmom krajów kapitalistycznych na całe kompleksy zakładów chemicznych. Ostrzegł jednocześnie, że nikt nie powinien liczyć na to, że uda mu się uzyskać w związku z tym uzależnienie transakcji od jakichś niekorzystnych dla ZSRR warunków.

Sprawy organizacyjne

Piotr Szelest, od niedawna I sekretarz KC KP Ukrainy, wybrany został na zastępcę członka Prezydium KC KPZR; natomiast odwołany ze stanowiska członka Prezydium został premier Ukrainy, Szczerbicki.

Sesja sejmowa

Oto tematyka przedświątecznej plenarnej sesji Sejmu:

● **Plan i budżet na rok 1964** ukształtowany na zasadach jakie ustaliło XIV plenum KC.

● **Zmiany w prawie wyborczym:** kadencja rad narodowych ma wynosić nie 3 lecz 4 lata, tak samo jak kadencja Sejmu. Wybory do rad oraz do Sejmu przeprowadzane będą równocześnie, podobnie jak to zresztą było już raz w 1961 roku.

● **Nowy ustrój adwokatury.** Nastąpi podział na adwokatów-radców prawnych oraz adwokatów udzielających pomocy prawnej osobom prywatnym, przy czym nie będzie można łączyć tych dwóch rodzajów zajęć. Zniesiona zostanie prywatna praktyka adwokacka, a klienci zespołów adwokackich, mając nadal całkowitą swobodę wyboru adwokata, będą jednak wpłacać honorarium jedynie i wyłącznie do kasy zespołu.

Strefa burz

Ameryka Łacińska stała się bodaj najbardziej burzliwą w tej chwili strefą świata.

Amerykanie najczęściej przypisują wszystko to „wywrotowej działalności" i kubańskiej inspiracji. Ale nie wszyscy Amerykanie. Z ogłoszonych ostatnio relacji francuskiego publicysty Jean Daniela o rozmowach jakie miał z prezydentem Kennedym na krótko przed jego śmiercią, wynika, iż Kennedy nie podzielał tych opinii.

„Myślę, że utkaliśmy, stworzyliśmy i całkowicie zbudowaliśmy, nie wiedząc tego nawet, ruch Castro — powiedział Kennedy. — *Myślę, że akumulacja takich błędów zagroziła całej Ameryce."*

Błędami, o jakich mówił zmarły prezydent było podtrzymywanie przez USA reżimów, które stwarzały w krajach Ameryki Łacińskiej sytuację nie do zniesienia. Zarówno pod względem gospodarczym jak polityczno-społecznym.

Konkretnie o Kubie Kennedy powiedział: *„Myślę, że na całym świecie, włączywszy wszystkie kraje pod panowaniem kolonialnym, nie było kraju, gdzie kolonizacja gospodarcza, upokorzenie i wyzysk osiągnęłyby ten stopień do jakiego doszły na Kubie wskutek polityki mego kraju podczas reżimu Batisty... Musimy teraz okupywać te grzechy".*

Proces po 17 latach

W 17 lat po warszawskim procesie pierwszego komendanta Oświęcimia, Hoessa, i w 16 lat po krakowskim procesie załogi oświęcimskiej, stanie przed sądem NRF we Frankfurcie n/Menem 21 SS-manów i 1 blokowy z Oświęcimia. Tylko dziewięciu z nich odpowiada z więzienia, reszta z wolnej stopy. Główny oskarżony, ostatni komendant Oświęcimia, Richard Baer, aresztowany dopiero w grudniu 1960, zmarł w czerwcu b. r. w więzieniu.

Śledztwo trwało blisko pięć lat. Przesłuchano 1500 świadków; 250, w tym kilkudziesięciu świadków z Polski, zeznawać będzie przed sądem. Akt oskarżenia liczy 700 stron.

Oskarżeni reprezentują przekrój całej hierarchii i systemu organizacyjnego obozu w Oświęcimiu. Od oficerów SS (m. in. dwaj adiutanci komendanta obozu) poprzez podoficerów aż do szeregowych. Pełnili funkcje w kierownictwie obozu, w złowrogim oddziele politycznym, w SS-owskiej „służbie zdrowia", w dziale zatrudnienia więźniów itd.

Obecnie w NRF ścigać można byłych SS-manów tylko za zbrodnie zabójstwa (w postaci sprawstwa, pomocnictwa, podżegania lub usiłowania). Lista byłych SS-manów Oświęcimia, podejrzanych o popełnianie takich przestępstw obejmuje około tysiąc nazwisk. Odpowiada to mniej więcej 1/3 stanu załogi obozu w 1944. Z tego tysiąca 48 zostało ujętych, skazanych na śmierć i straconych, zaś 92 zmarło w latach powojennych.

A reszta? Ilu z nich żyje dziś spokojnie, pod zmienionymi nazwiskami, w NRF, gdzieś w Europie lub poza Europą?...

O Picassie

3500 osób zebrało się w wielkiej paryskiej sali Mutualité na wieczorze poświęconym twórczości Picassa.

Otworzył wieczór zastępca sekretarza generalnego Francuskiej Partii Komunistycznej

Waldeck-Rochet, który tak powiedział o malarzu:

„My komuniści, kochamy Picassa i jesteśmy dumni z tego, że możemy go zaliczyć do najznakomitszych członków naszej partii... My, komuniści, jesteśmy zobowiązani przyjąć i rozumieć rodzące się nowe wartości w dziedzinie filozofii, nauki, odkryć i rozwijać to wszystko co w nich jest już dzisiaj zapowiedzią przyszłości.”

Odkrycia

W ostatnich tygodniach prasę obiegły wiadomości o kilku cennych odkryciach.

● W Ameryce, na Dalekiej Północy, odkryte zostały ślady niewątpliwego osiedla Wikingów z X i XI wieku. Odkrycie to po raz pierwszy potwierdziło w sposób nie budzący wątpliwości, że Wikingowie z Grenlandii docierali także na 500 lat przed Kolumbem na ziemię amerykańską i zakładali tam swoje siedziby.

● W Konstantynopolu odkryte zostały dwa rękopisy zawierające fragment nieznanego listu Arystotelesa do Aleksandra Wielkiego. Chodzi tu o odpisy w języku arabskim. Prof. Marian Plezia, który wraz z prof. Józefem Bielawskim dokonał szczegółowej analizy rękopisów jest zdania, że choć trudno mówić o stuprocentowej pewności, to jednak prawdopodobieństwo, że chodzi tu o autentyczny list Arystotelesa jest ogromne. Wielki filozof grecki udziela w tym liście rad swemu dawnemu uczniowi, Aleksandrowi Wielkiemu, jak zorganizować obszary zdobyte po rozgromieniu monarchii perskiej.

● W Filadelfii odnaleziono nieznany list Tadeusza Kościuszki do ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych Jeffersona, wysłany z Paryża w 1801 roku. Znana była odpowiedź Jeffersona na ten list, natomiast od dawna intrygowała historyków sprawa o czym pisał Tadeusz Kościuszko do swego starego znajomego z czasów amerykańskiej wojny wyzwoleńczej. Okazuje się, że chodziło o pomoc w znalezieniu w Stanach Zjednoczonych zajęcia dla kilkunastu przebywających we Francji byłych żołnierzy.

● We Florencji w jednym z klasztorów znaleziono przypadkowo piękny krucyfiks drewniany, który jak obecnie orzekli eksperci, jest dziełem Michała Anioła.

ZMARLI

Janusz Wierusz Kowalski, były przewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego (1945—1948). Żył lat 58.

Dr Theodor Heuss, pierwszy prezydent Niemieckiej Republiki Federalnej (1949—1959). Żył lat 79.

Erich Ollenhauer, przewodniczący (od 1952) zachodnio-niemieckiej socjaldemokracji (SPD). W okresie hitlerowskim żył na emigracji w Anglii. W ostatnich latach faktycznie kierowali partią inni działacze. Żył lat 62.

Prof. dr Antoni Konopka, ekonomista, zasłużony działacz ruchu robotniczego, przed wojną obrońca komunistów w procesach politycznych.

Herbert Lehman, b. gubernator stanu Nowy Jork i bliski współpracownik Roosevelta, po wojnie kierownik UNRRA (agencja ONZ do spraw pomocy krajom dotkniętym wojną). Żył lat 85.

Tashi Namgyal, maharadża Sikkimu, małego kraju w Himalajach, niepodległego, ale reprezentowanego na zewnątrz przez Indie. Żył lat 70, wstąpił po nim na tron jego syn Palden Thondup Namgyal, którego małżeństwo z Amerykanką wywołało sensację na wiosnę tego roku.

Sabu Dastagir, aktor filmowy który debiutował mając lat 12 w roli hinduskiego chłopca — przyjaciela słoni (wg Kiplinga) i potem był bohaterem licznych następnych egzotycznych filmów. Żył lat 39, zmarł w USA, gdzie osiadł na stałe.



Nafta w Bułgarii. Odkryto ją w okręgu Plewen.

Poszukiwania trwały dwa lata. Odkryte złoża ropy naftowej i gazu ziemnego są znaczne.

Nowy kandydat? Eisenhower zachęca do ubiegania się o urząd prezydenta Henry Cabot Lodge'a.

Cabot Lodge był za czasów Eisenhowera delegatem amerykańskim do ONZ, a potem, w czasie ostatnich wyborów, obok Nixona kandydującego na prezydenta — kandydował z ramienia republikanów na wiceprezydenta. Obecnie jest ambasadorem USA w Południowym Wietnamie. Podobno cieszy się poparciem kół wojskowych.

Wizyta w Afryce. Premier Czou En-lai wraz z ministrem spraw zagranicznych Czen I udali się do krajów Afryki.

Mają odwiedzić Zjednoczoną Republikę Arabską, Algierię i Maroko, a prawdopodobnie także i inne kraje.

Ochrona Johnsona. 5 tysięcy policjantów i 500 agentów ochraniało prezydenta Johnsona w Nowym Jorku.

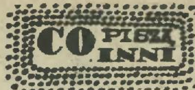
Prezydent jechał w zakrytej limuzynie, tuż za nim otwarty samochód z agentami obserwującymi okna, dalej lekarz; kolumnie towarzyszyły dwa helikoptery.

Kanaryjska baza. W przyszłym roku polskie rybołówstwo uruchomi bazę składową na Wyspach Kanaryjskich.

Będzie ona przechowywać złowione i zamrożone ryby z łowisk atlantyckich u zachodnich wybrzeży Afryki, które w naszym rybołówstwie dalekomorskim zaczynają odgrywać coraz większą rolę.

Ewakuacja Bizerty. Baza morska w Tunezji została opuszczona przez ostatnich francuskich żołnierzy.

Na uroczystości przybyli do Bizerty przywódcy ZRA i Algierii. W 1961 roku w lipcu doszło w Bizercie do krwawych walk francusko-tunezyjskich spowodowanych odmową przez rząd francuski ewakuacji bazy.



WOJSKOWY PRZEGLĄD HISTORYCZNY

na 20-lecie Wojska

Podwójny, 750-stronicowy numer specjalny tego świetnego kwartalnika poświęcony jest 20 rocznicy powstania Ludowego Wojska Polskiego. Za dużo w nim materiałów, by choćby pobieżnie wszystkie wymienić. Dlatego zwracamy uwagę tylko na niektóre szczegóły.

O udziale Polaków — przede wszystkim I Dywizji Kościuszkowskiej — w zdobyciu Berlina opowiada szczegółowo płk. dypl. Stanisław Komornicki. Walki toczyły się w samym sercu miasta. Autor przytacza protokół sporządzony po spotkaniu żołnierzy polskich nacierających z zachodu z oddziałami radzieckimi, które nacierały od wschodu. Spotkanie nastąpiło pod Bramą Brandenburską.

Gen. dyw. Zygmunt Huszcza i gen. bryg. Zbigniew Szydłowski w artykule o dziejach Pomorskiego Okręgu Wojskowego w latach 1945—48 podają ciekawe informacje o udziale żołnierzy polskich w zagospodarowywaniu Ziem Zachodnich. Jeszcze przed końcem wojny 13. IV. 1945 powołana została 1 Rolno-Gospodarcza Dywizja składająca się z 6 pułków, a każdy z nich z 15 kompanii liczących po 80 żołnierzy. Dywizja miała zagospodarować obszar ponad 100.000 ha obejmujący duże majątki ziemskie, pozostawione przez uciekających Niemców. Ponadto żołnierze na Pomorzu Zachodnim pomagali osadnikom: na wiosnę 1945 zaorali osadnikom 27.000 i obsiali 18.500 ha ziemi.

Zamach na kierownika hitlerowskiego urzędu kwaterunkowego w Warszawie, Brauna, inicjatora planowanego wysiedlenia ludności Warszawy, opisują Maria Dylawerska i Danuta Kaczyńska. Zamach dokonany przez młodych żołnierzy AK udał się całkowicie. Braun zginął tuż obok Pałacu Blanka, siedziby hitlerowskiego burmistrza Warszawy. Strat własnych nie było.

POLITYKA

o awanturze piłkarskiej

Czy to była tragedia, farsa czy dramat, wybór któregoś określenia pozostawiam już czytelnikom — pisze Janusz Rolicki. I przedstawia w różnych ujęciach różnych ludzi — działaczy piłkarskich, dziennikarzy sportowych, kibiców — historię jaka zdarzyła się niedawno w Krakowie.

Bramkarz jednej z drużyn został pobity przez chuliganów — kibiców innej drużyny. Poszła wieść, że umyślnie, aby nie mógł wystąpić w ważnym meczu, że sprawa była z góry ukartowana.

Autor chyba słusznie nie tyle zajmuje się detektywistycznym badaniem jak to było naprawdę, ile stara się dać obraz zjawiska, które można by określić jako zacietrzewienie kibiców, szowinizm sportowy czy jeszcze inaczej. Zjawiska na pewno niezdrowego!

KULTURA

rozmawia z Brezą

Fragment wypowiedzi Tadeusza Brezy o tym, jak pisze:

„Robię zawsze bardzo dokładne plany. Robię plan rozdziałów i wypisuję sobie co w każdym będzie. Robię też bardzo dokładny katalog osób. Każdą opisuję, wygląd zewnętrzny przyrównując do tej czy innej prawdziwej osoby. Podobnie psychikę... Taka praca przygotowawcza jest najtrudniejsza dla mnie ze wszystkiego.”

DOBRZE O NAS MÓWILI

— Gen. dyw. Tadeusz Tuczapski, zastępca szefa Sztabu Generalnego WP na pytanie korespondenta „Żołnierza Wolności” jakie pisma czytuje, odpowiedział: *„Do mojej stałej lektury należą: Polityka, Kultura, Trybuna Ludu, Przekrój oraz Szpilki. Przy czytaniu tych ostatnich świetnie odpoczywam”*.

— Jury nagrody krytyków stowarzyszenia naszych artystów muzyków *wyróżniło Przekrój za artykuły Lucjana Kydryńskiego o tegorocznej Jesieni Warszawskiej*. Współwyróżniona została Trybuna Robotnicza za recenzje Leona Markiewicza, zaś aż nagrodę otrzymali ex equo: Władysław Malinowski (Współczesność i Ruch Muzyczny) oraz Bohdan Pociej (Tygodnik Powszechny i Ruch Muzyczny).

— Ryszard Kosiński w krakowskim Dzienniku Polskim o drugiej stronie Przekroju: *„w świetnym syntetycznym skrócie jest tam wszystko z kraju i ze świata”*.

Jednym zdaniem

● **JAN PARANDOWSKI** obchodził 50-lecie twórczości pisarskiej.

● W Lublinie w **OSIEDLU MICKIEWICZA** sklep spożywczy otrzymał nazwę „Zosia”, sklep ze słodyczami „Maryla”; jest też „Dom praktycznej pani Telimena”; wszystkie nazwy w tym osiedlu będą Mickiewiczowskie.

● Pierwsza w kraju **WYPOŻYCZALNIA TELEWIZORÓW** powstanie w Warszawie w styczniu z inicjatywy „Expressu Wieczornego”; wszystkie opłaty (z przywiezieniem, abonamentem) miesięcznie 350 w pierwszym, 320 zł w następnych miesiącach; kto do pół roku zdecyduje się kupić wypożyczony telewizor, temu opłaty zostaną zaliczone na poczet ceny kupna.

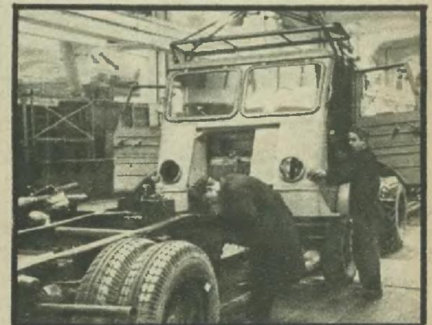
● Ambasador Polski w Paryżu Jan Druto był obecny na pierwszym występie **NIEBIESKO CZARNYCH** (z Heleną Majdaniec i Michajem Burano) w „Olimpii.”

● Dwie delegacje **ZAGRANICZNYCH PISARZY**: radziecka z Witalim Ozierowem i Nikołajem Czukowskim oraz chińska z dramaturgiem Dżao Szunem przybyły do Polski.

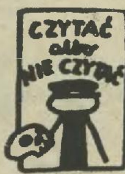
● W gotowych do użytku a jeszcze nie zapełnionych **ZBIORNIKACH** płockiego kombinatu zmagazynowanych zostanie przez zimę 20.000 ton **MELASY**.



WENEZUELA. Oto grupa powstańców Frontu Wyzwolenia Narodowego toczących walkę partyzancką z reakcyjnym rządem



STARACHOWICE obchodziły 15-lecie wyprodukowania pierwszego wozu Star-20. Do dziś zeszło z taśmy 130.000 Starów



powieść

Nathanael West: DZIEŃ SZARAŃCZY oraz MISS LONELYHEARTS. Dwa dłuższe opowiadania amerykańskiego prozaika, tragicznie zmarłego (37 lat) przeszło dwadzieścia lat temu. Jest to połowa jego spuścizny pisarskiej. Pokazuje środowisko skromnych ludzi filmu w Hollywood oraz osobliwości amerykańskich sekt religijnych. Dobra proza, żywa, zajmująca i oryginalna. Tłumaczyła Maria Skibniewska. (Czytelnik, seria Nike, 20 tys., s. 352, cena 18).

Jiři Fried: IMPAS. Pierwsza krótka powieść czeskiego poety i scenarzysty filmowego, uznana za jedno z najciekawszych dzieł czechosłowackiej literatury ostatnich lat. Historia mistrza szachowego, który w dniu śmierci matki uświadamia sobie, iż mimo sławy i kariery przegrał własne życie. Ciekawe. (Czytelnik, 8 tys., s. 120, cena 10).

Hanna Ablewicz: MIASTO REMUS. Powieść udziwniona. Dziennikarz przybywa na parę dni do miasta Remus, aby przekonać się jakie ono jest naprawdę. Zostaje parę lat, przeżywa niepowodzenia i miłość. Wyjeżdża na kilka dni do Stolicy i, kiedy wraca — zastaje miasto wypalone, jak biblijna Sodoma i Gomora. (Pax, 5 tys., s. 237, cena 25).

dla dzieci (małych)

Z okazji Świąt sygnalizujemy wydanie przez Biuro Wydawnicze Ruch szeregu książeczek dla dzieci: Autorzy: **Kern, Buczkówna, Szelburg-Zarembina, Zofia Kossak, Zawadzka, Łochocka i in.** Są to wierszyki i powiastki o żakach, królewnach, błędnych rycerzach, zwierzętach, kukiełkach. Wszystkie ilustrowane (**Wilkoń, Stanny, Uszacka, Butenko, Gawin-Lange**). Cena około 8.

naukowe

Współczesna Biblioteka Naukowa OMEGA. Dobrze opracowana seria, na razie 7 książek, przeznaczonych dla tych, co pragną śledzić postępy współczesnej nauki w czasach gdy wciąż wzrasta dysproporcja pomiędzy nauką a potoczną świadomością. (10 tys. Cena każdego tomiku 15. PWN).

Z. Semerau-Siemianowski: KREW TĘTNI W MASZYNACH omawia zagadnienia związane z aparatem płuco-serca, s. 145.

Leonard Woolley: W POSZUKIWANIU PRZESZŁOŚCI, o tym, jak z bezładnych i rozproszonych skorup archeologowie odtwarzają kształty dawnych cywilizacji. Tłum. z angielskiego, s. 128.

W. Karczewski: ZJAWISKA ELEKTRYCZNE W ORGANIZMIE. Zagadnienia elektrofizjologii, zjawiska odgrywające doniosłą rolę w czynnościach układu nerwowego, oraz sposoby ich badania. (s. 160).

Muzykujące anioły — fragment obrazu późnogotyckiego (około roku 1470)

Wstawszy pasterz bardzo rano,
Wyszedł z budy, wlazł na siano,
Boć go czczyca zdejmowała
Jaka przedtem nie bywała, nie bywała
Czeka długo, czeka mało,
Co się w polu będzie działo?
Strach go zewsząd obejmuje
Bo śpiewanie z nieba czuje.
Porwawszy się poszedł w pole,
Szukając tam w owym dole
Skąd się śpiewy dobywały
Jakie przedtem nie bywały.
A tak się tam przechadzając
Z podziwieniem rozmyślając
Pojrzy w górę; aż Anieli
Pod niebiosy są weseli.

*

(Ze starej ludowej kantyczki)



KOLĘDA = Prezenty pod choinkę i noworoczne

DARY, podarunki — czytamy w *Encyklopedii Staropolskiej Glogera* — zależnie od okoliczności, którym towarzyszyły, miały różne nazwania: Na imieniny dawano WIĄZANIE; na Nowy Rok — KOLĘDĘ; podarek za dobrą nowinę nazywał się NOWINNE; za znalezienie rzeczy zgubionej — ZNALEŻNE; ofiara dla zwierzchności — POCZESNE; dla narzeczonej — ZALOTNE; powracający z podróży przywoził GOŚCINIEC.

Podarkiem cennym była już w XVII w. w Polsce misa cytryn lub pomarańcz. We dworach szlacheckich panny haftowały pasy dla swoich narzeczonych. Narzeczeni przywozili bogdankom jedwabie zamorskie i trzewiki. Panna młoda obdarzała ręcznikami pana młodego, a on przywoził jej przed ślubem chustkę i trzewiki.



Oto podarki historyczne. Może ułatwią Wam wymyślenie prezentu na zbliżającą się KOLĘDĘ:

BUKIET Z DIAMENTÓW
cesarz Napoleon I nowo poznanej Marii Walewskiej.

*

CZEPEK NA NOC
Marysieńka Sobieska mężowi Janowi III.

*

KAŁAMARZ Z MALACHITU
Wacław Hański korespondencyjnemu znajomemu swojej żony Ewy, Honoriuszowi Balzakowi.

*

KANWĘ DO HAFTOWANIA
Adam Mickiewicz — żonie Celinie.

*

KOŻUSZEK BARANI
król Władysław Jagiełło — swemu synkowi Władysławowi (późn. Warneńczyk).

*

KWIAT JAŚMINU (w liście)
Honoriusz Balzak — Ewie Hańskiej.

*

LIKIER I CUKIERKI
Goethe — swej przyjaciółce Christianie Vulpius.

*

ŁUSTERKO oprawione w jaszczurczą skórę
Juliusz Słowacki — Joannie Bobrowej.

*

MIKROSKOP
Emma Kochowa — mężowi Robertowi, podówczas jeszcze skromnemu lekarzowi wiejskiemu.

*

PANTOFLE własnoręcznej roboty, wyszywane w gałązki kaliny
Eglantyna Pattey — Juliuszowi Słowackiemu.

*

PERFUMY Z PARYŻA
Bolesław Prus — żonie Oktawii.

*

PERŁĘ niezmiernej wartości
Juliusz Cezar — przyjaciółce Serwilii, matce Brutusa.

*

POŃCZOCHY JEDWABNE
dwórka pani Montagu swej królowej Elżbiecie I angielskiej.

*

PORTMONETKĘ Z CZARNEJ SIATKI
Zygmunt Krasiński — Joannie Bobrowej.

*

PRZYCISK NA BIURKO
Matylda Wesedonk — swemu uwielbianemu Ryszardowi Wagnerowi.

*

SERCE
„Mogę pani ofiarować tylko serce" — pisał Rousseau do Zuzanny Serre.

*

SIATKĘ NA WŁOSY wysadzaną drogimi kamieniami
rodzina książąt ferraryjskich — narzeczonej księcia Ferrary, Lukrecji Borgia.

*

STATUETKĘ (dziewica na statku)
Anna Boleyn — narzeczonemu królowi Henrykowi VIII.

*

WALC F-MOLL
Fryderyk Chopin — narzeczonej Marii Wodzińskiej.

*

WIŚNIE i 9 POMARAŃCZY
Krystyna Zamoyska — mężowi, hetmanowi Janowi Z.

*

ZEGAR
Barbara Radziwiłłówna — mężowi królowi Zygmuntowi Augustowi.

Roman Burzyński

NA SUROWYM KORZENIU

Przyjechali do Gdańska, kiedy miasto jeszcze płonęło. Zaczęli tworzyć Akademię Medyczną

„NA SUROWYM KORZENIU" — to określenie wprowadzone przez archeologów.

Odnajdujemy ślady osadnictwa człowieka w pewnym punkcie terenu. Archeologowie dochodzą do wniosku, że istniał tu przed wiekami gród, zamieszkały przez kilka tysięcy mieszkańców. Powstaje pytanie: od jak dawna? Odpowiedź na to pytanie brzmi często: gród istniał tutaj od dawien dawna. Pod jedną warstwą kulturową leży druga, starsza, pod nią jeszcze starsza — i tak aż do pradawnych czasów epoki kamiennej.

Bywają jednakże niekiedy i inne odkrycia: oto staje się jasnym, że pewien gród został założony w pewnym określonym miejscu, w pewnym określonym czasie, w miejscu, gdzie przedtem NIE BYŁO NIC. Przybyła z dala drużyna książęca, rycerze, rzemieślnicy. Wydano decyzję: tu zbudujemy.

Takie właśnie założenie grodu nazywa się w archeologii zbudowaniem go **na surowym korzeniu.**

Na surowym korzeniu został założony w czasie Mieszka I — Gdańsk. Istnieją zebrane skrzętnie przez historyków i przez archeologów dowody na to, że Gdańsk założono około roku 980, a więc w latach, w których przybył tu Mieszko I, włączając Pomorze Wschodnie do swego państwa. Zapewne uważał, że założeniem Gdańska umocni swoje tu panowanie.

Że tak było, że Gdańsk został założony na surowym korzeniu w tym właśnie czasie, potwierdzają zapiski historyczne.

Pod koniec IX wieku, a więc na jakieś osiemdziesiąt lat przed Mieszkiem podróżował po Bałtyku żeglarz anglosaski Wulfstan. Pozostawił on opis swej podróży. Opisuje wcale dokładnie tereny ujścia Wisły, zna Zalew Świeży, jezioro Truso, to znaczy dzisiejsze jezioro Drużno i osiedle Truso, które leżało tam gdzie dzisiaj Elbląg.

Skoro Wulfstan znał tak dokładnie okolice ujścia Wisły, nie mógł w swej relacji nie wspomnieć o Gdańsku, Gdyby... gdyby Gdańsk w tym czasie istniał! Zakładamy więc, że pod koniec IX wieku Gdańska jeszcze n i e b y ł o.

Drugi przekaz historyczny: w żywocie św. Wojciecha istnieje wzmianka pod datą 997 r., w której pisze się o tym, iż św. Wojciech przybył drogą wodną z trzydziestoma wojownikami Bolesława Chrobrego do u r b s G y d d a n y z. Wyraźnie użyto nazwy „miasto" — urbs. Prosty wniosek — Gdańsk musiał powstać pomiędzy rokiem 900 a 997. W czasach Bolesława Chrobrego nie był on jakimś maleńkim gródkiem, lecz grodem zasługującym na miano URBS.

Tak wygląda sprawa surowego korzenia.

Okaże się w dalszym ciągu reportażu, że na ziemi gdańskiej nie ten jeden raz zaszczepiano nowy byt na surowym korzeniu.

* *Autor przygotowuje książkę pod tym tytułem. Są to reportaże o ludziach, zakładach pracy, instytucjach będących „równolatkami Polski Ludowej".*

DO GDAŃSKA pojechałem z konkretnym planem: odwiedzić tamtejszą Akademię Medyczną.

Czemu do Gdańska? Czemu tę właśnie uczelnię?

Akademia Medyczna w Gdańsku jest jedną z pierwszych wyższych uczelni, założonych przez władze Polski Ludowej. Ileż to mija lat? Już blisko dwadzieścia.

Poszedłem do sekretariatu dla spraw studenckich Akademii i tam ni stąd ni zowąd zgłosiłem prośbę:

— Chciałbym ustalić, kto był w roku 1945 pierwszym studentem Akademii Medycznej w Gdańsku. Kto miał indeks z numerem j e d e n! Kim jest ów człowiek dzisiaj? Gdzie żyje, co robi?

Spojrzano na mnie z ukosa. Odesłałem najbardziej czarujący uśmiech na jaki mnie było stać. Poszły w ruch stare (?) księgi, telefony.

— Odnajdziemy to panu na jutro rano. Pan się interesuje początkami naszej uczelni?

— Oczywiście! Nawet bardzo.

— Damy panu na tymczasem nasz „Informator" wydany w roku 1960, z okazji piętnastolecia Akademii. Mamy też stare sprawozdania z roku 1945.

Tak oto znalazły się w mym ręku pożółkłe karty, opisujące historię pierwszych polskich dni polskiego Gdańska, roku 1945. Najbardziej realistyczna powieść z czasów powojennych nie wzbudziła we mnie tak głębokich odczuć, jak kilka tych właśnie stron, napisanych jako „sprawozdanie" przez jednego z lekarzy. Niektóre wyjątki chciałbym zacytować dosłownie.

HISTORIA Akademii zaczyna się w dniach, gdy trwała jeszcze wojna: Rada Ministrów wydaje 24 kwietnia 1945 postanowienie o utworzeniu Akademii Lekarskiej jako uczelni podległej Ministerstwu Zdrowia. Już w tych dniach mówiło się, że powstanie ona w Gdańsku.

Tymczasem w Gdańsku działali już ludzie — ludzie spod znaku służby zdrowia. Przybyli tu już 6 kwietnia. Nie wiedząc o tym, co zadecyduje się w Warszawie za trzy tygodnie. Przyszli objąć budynek Zakładu Higieny, budynki szpitala. Czy może przeczuwali, że te budynki staną się wkrótce siedzibą Akademii? Tak pisze o tym dr Stefan Michalak:

„...Na ulicach płonącego jeszcze miasta znajdowała się wielka liczba zwłok ludzkich i zabitych koni. Budynek Zakładu Higieny zachował się w całości, całe urządzenie jednak było zupełnie zdemolowane.

Teren szpitala robił wrażenie okropne. Wielka ilość kręcących się żołnierzy i osób cywilnych, różnorodne wehikuły, przeważnie z rannymi. Wszystkie budynki zdewastowane w sposób nie dający się opisać. Wiele budynków uszkodzonych przez pociski artyleryjskie i bomby lotnicze, wszystkie szyby wybite, wiele drzwi wyrwanych z futrynami, w salach jedno rumowisko.

Chorzy: 2011, w tym 760 jeńców niemieckich ulokowani w okolicznych bunkrach i suterenach. Wśród chorych także 300 Polaków, Rosjan, Francuzów, Włochów i innych narodowości. Wśród jeńców wielu SS-manów. Na terenie szpitala dużo ukrytej przez hitlerowców broni. W odległości pięciu kilometrów — front, który utrzymywał się tu jeszcze ponad miesiąc, do chwili kapitulacji. Hitlerowcy śnili o odsieczy. Zaopatrzyliśmy się w karabiny, po kilka na każdego..."

Trzema pierwszymi lekarzami-Polakami, którzy po wyzwoleniu Gdańska przybyli do tego miasta byli: dr Michalak, dr Teisseyre i dr Przyborowski. A oto dalszy ciąg relacji dr Michalaka:

„...Po kilku dniach przybyli do nas dalsi trzej lekarze, jeden inżynier, ale to wszystko kropla w morzu. Rury kanalizacyjne zatkane. Wodę sprowadzaliśmy w beczkach z przeciwpożarowego basenu. Zapasów żywności nie było. Zupełny brak transportu. Pieniądze nie przedstawiały żadnej wartości, nic kupić nie było można a zresztą i pieniędzy nie mieliśmy. (Pierwsza suma wpłynęła do nas dopiero po dwóch miesiącach, w czerwcu).

A tymczasem do ambulatorium zgłaszało się nieraz dziennie powyżej tysiąca osób, chorych, po poradę, po zabiegi. Na oddziale pediatrii dr Kochańska sama bez niczyjej pomocy miała pod swoją pieczą 115 chorych dzieci. Na zakaźne oddziały szkarlatyny i błonicy zgłaszało się po kilkadziesiąt osób dziennie. Dla dzieci nie było mleka.

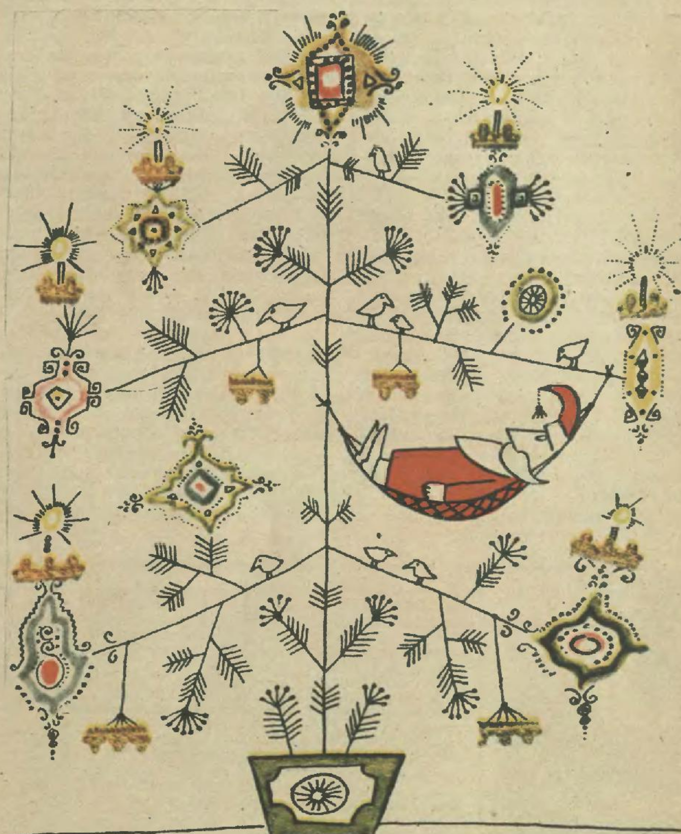
„...Zaczęliśmy od zaprowadzenia koniecznego porządku. Przeniesienie dwóch tysięcy chorych z bunkrów na przygotowane sale wymagało niesłychanego wysiłku. Kilku lekarzy i pielęgniarek oddaliśmy do akcji sprzątania trupów w mieście i do gaszenia pożarów."

Pod koniec kwietnia liczba personelu polskiego wynosiła 69 osób w tym 13 lekarzy.

Przyszły nowe kłopoty. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. W końcu maja kryzys osiągnął punkt kulminacyjny — zapanował głód... Coraz częstsze były wśród chorych i personelu przypadki obrzęków głodowych. Zaczęły się masowe zachorowania na tle nieodpowiedniego wyżywienia i złej wody.

„...Poza kartoflami i to w niedostatecznej ilości nie mogliśmy nic zdobyć. Coraz częściej powtarzały się dnie, kiedy nie było kolacji, nazajutrz nie było śniadania i wyczekiwaliśmy na mający nadjechać wóz z kartoflami."

Zapas wody w basenie wyczerpał się. Na teren szpitala zwożono zakaźnie chorych, dziesiątkami dziennie. Na stwierdzenie lekarzy, że nie ma miejsca, zostawiano chorych na dziedzińcu szpitala. Gdzie indziej też miejsca dla nich nie było. Wskutek braku wody



Rys. Steinberg

pralnia była nieczynna i nie dało się opanować wszawicy. Zaczęły się pojawiać przypadki duru plamistego wśród personelu.

„...Zaczęliśmy kopać studnię. Niestety, dni mijały a woda się w wykopie nie pojawiała; długo później dowiedziałem się, że w tym miejscu woda leży dopiero na głębokości 250 metrów. Trzeba było naprawdę wielkich sił fizycznych i moralnych, aby nie upaść na duchu. Niektórzy ustąpili z pola walki i wyjechali...

...W połowie czerwca otrzymaliśmy kilka ton kaszy z Bydgoszczy. 13. VI. — wodę, 26. VI. prąd elektryczny..."

Kilka słów o autorze sprawozdania, dr Stefanie Michalaku. W latach przedwojennych był lekarzem okrętowym na statkach „Warszawa", „Dar Pomorza", „Batory" i innych. Po zorganizowaniu w najtrudniejszych warunkach szpitala gdańskiego został jego dyrektorem. Przekazał go następnie tworzącej się Akademii Lekarskiej i od 1 stycznia 1946 został jej adiunktem w Zakładzie Chemii Fizjologicznej. Zginął tragicznie w sierpniu 1947, ratując tonącego kolegę. Pamięć o dr Michalaku jest bardzo żywa na terenie Akademii — ci, co go znali, pamiętają dr Michalaka jako człowieka wielkich poświęceń i bardzo zdolnego naukowca.

Już w kilka tygodni po opisanych wypadkach stało się wiadome, że w Gdańsku powstaje Akademia. Wprawdzie formalny dekret KRN o powołaniu do życia Akademii nosi datę 8 października 1945, ale już w sierpniu tego roku napływają do Gdańska samorzutnie młodzi ludzie, zgłaszając się jako kandydaci na studia. Młodzież ta organizuje „brygadę pracy", która natychmiast ofiarnie przystępuje do działania.

16 października odbył się egzamin konkursowy dla kandydatów na pierwszy rok studiów lekarskich. Przyjęto 235 słuchaczy.

INDEKS numer jeden otrzymał student Mariusz Żydowo. Jego rodzice mieszkali przed wojną w Gdyni. Tak mi powiedziano następnego dnia w sekretariacie. Zanotowawszy nazwisko studenta, czekałem na dalszy ciąg informacji, a mianowicie, gdzie w Polsce można by pana Żydowo odnaleźć.

— Proszę zejść piętro niżej powiedziała sekretarka z uśmiechem, przejść przez podwórko i wejść do sąsiedniego budynku. Pan Żydowo jest docentem naszej Akademii. Jest kierownikiem Zakładu Chemii Biologicznej...

W kilka dni później siedziałem w gronie kilku osób, młodych naukowców, we wskazanym mi zakładzie. Przedstawiono mnie kilku osobom. Oto pani dr Jadwiga Purzycka, dr farmacji, starszy asystent, pierwszy w dziejach Akademii doktor z zakresu biochemii. A oto p. Wiesław Makarewicz, aktualny doktorant. Oczywiście i pan docent Żydowo. Oczywiście wkrótce cztery kawy, przyrządzane nad laboratoryjnym palnikiem gazowym o dziwnych dla mnie kształtach.

— Mój numer indeksu — mówi pan docent, był oczywistą pomyłką. Przecież moje nazwisko zaczyna się od „Ż"! Ktoś, kto numerował owe pierwsze indeksy, zaczął nie wiadomo dlaczego od końca alfabetu.

— Faktem jest, że numer jeden istniał i to właśnie w pana indeksie.

— Tak, to fakt.

— Proszę coś opowiedzieć o tych najdawniejszych czasach.

— Cóż — mówił pan docent — dziwne to były czasy. Przecież nikt z nas, pierwszych studentów nie był „normalnym" maturzystą. Kto i gdzie zdawał maturę na wiosnę 1945 roku? Tak więc zebrała się nas dziwna gromadka. Najstarszy z kolegów miał 45 lat. Wielu było żonatych i dzieciatych. Ja zdawałem maturę jako ekstern w Łodzi. Zdawałem z trzynastu przedmiotów, nawet z rysunków! A skąd się wziąłem w Łodzi? Moi rodzice zostali przez hitlerowców wysiedleni z Gdyni pod Łódź...

— Kilkudziesięciu studentów — słyszałem dalszy ciąg opowiadania — ulokowano w Domu Akademickim. Mieścił się on na dużej sali szpitalnej o piętro wyżej ponad... salą ciężko chorych pooperacyjnych. Była to jedyna sala nadająca się na zamieszkanie. Można sobie wyobrazić jak wyglądało to życie. Różne temperamenty, przeżycia wojenne, różny wiek. — Niektórzy przybyli wprost z konspiracji, pod zmienionymi nazwiskami.

— Nasz „Dom Akademicki" wielokrotnie przenoszono do innych budynków. Pewnego razu, gdy stało się wiadomym, iż mamy zostać ulokowani w dawnym internacie pielęgniarek, musieliśmy ów dom siłą okupować. Był to jeden z nielicznych domów Gdańska, nadający się do zamieszkania i walczyły — dosłownie! — o przydział tego budynku rozliczne instytucje.

— Następnie przeniesiono nas jeszcze raz do budynku dawnego szpitala psychiatrycznego na Srebrzysku. Dom był zniszczony. Musieliśmy go sami częściowo rozbierać, przebudowywać, remontować. Brygada Pracy złożona ze studentów włożyła w odbudowę budynków uczelni mnóstwo wysiłku. Wykład profesora często kończył się propozycją: „A teraz udamy się wszyscy tam i tam, otrzymaliśmy tam kilka stołów, trzeba je przenieść". To „tam" — było nieraz o dobrych kilka kilometrów.

— Udawaliśmy się także nieraz do Gdyni, gdzie w dawnej hitlerowskiej bazie łodzi podwodnych, już teraz nieczynnej, nasi pracownicy naukowi odnaleźli pewną ilość chemikalii, przydatnych dla badań uczelni...

— A jak wyglądała nauka?

— Cały pierwszy rok studiów musieliśmy się obchodzić w ogóle bez podręczników. Pod koniec roku akademickiego ukazał się jedyny skrypt powielany, z chemii ogólnej. Sale wykładowe były w zimie z reguły nieopalane. Od czasu do czasu coś tam niby zapalono. Dopiero w roku 1946 ukazały się pierwsze podręczniki. I tak się człowiek uczył. Rok był trudny, ale uczyliśmy się pilnie. Te koleje losu zbliżyły nas, studentów pierwszego roku, bardzo do siebie. Wielu z kolegów jest dzisiaj lekarzami, adiunktami, docentami.

— Czy mógłbym prosić o wyliczenie wszystkich docentów, rekrutujących się z owego pierwszego roku?

— Tak z pamięci, bo przecież nie prowadzi się takiej statystyki i z pewną obawą, czy ktoś nie został pominięty, byliby to koledzy:

Andrzej Kaliciński, docent chorób wewnętrznych w Akademii Medycznej w Białymstoku.

Marek Spioch, docent fizjologii w Akademii Medycznej w Zabrzu.

Leonard Wdowiak, docent psychiatrii w Akademii Medycznej w Szczecinie.

Olgierd Narkiewicz, docent anatomii oraz Mariusz Żydowo, docent biochemii, obydwaj w AM w Gdańsku.

— Jakie były dalsze koleje pana prac naukowych? — pytałem dalej pana docenta.

— Otrzymałem stypendium do Cambridge. Pracowałem tam rok, publikując dwie prace naukowe. Teraz pracuję nad zagadnieniami enzymologii porównawczej. Jest to nauka o enzymach czyli fermentach, cząsteczkach białkowych, które mają zdolność katalizowania różnych reakcji chemicznych w żywych organizmach. Wykładam na naszej uczelni dwa przedmioty: biochemię oraz biochemię kliniczną.

— A prywatnie?

— Jestem żonaty i mam siedmioletniego synka. Okropny urwis. Ale a propos dzieci. Wspomniałem o tym, że w roku 1945 mieliśmy też w naszym studenckim gronie kolegów starszych. Teraz już ich synowie i córki są studentami naszej Akademii. Tak to czas leci. Akademia wychowuje już drugie pokolenie...

— Wydaje się, — dodała pani doktor Purzycka — że należałoby się także pochwalić kolegami, którzy poszli na drogę praktyki lekarskiej i na tym polu dobrze służą społeczeństwu. Kalinowski jest lekarzem w Toruniu, Nagaj chirurgiem w Koszalinie, Nowak, kierownikiem pracowni fotograficzno-naukowej na naszej Uczelni. Libiszowska lekarzem w Toruniu, Birn ortopedą w Przemyślu, Kukliński dyrektorem uzdrowiska Szczawnica. Kamiński dyrektorem szpitala w Gdańsku. Chciałoby się wymienić wszystkich... Myślę, że bardzo na to zasłużyli. Gdy przyszli do nas, nie mieli nic. Ani książek ani skryptów. Przecież w ogóle cała uczelnia powstała na gruzach Gdańska...

— Powstała na surowym korzeniu... dorzuciłem w myślach. Takie tu tradycje. Była pustka i przyszli ludzie i zaczęli budować od nowa, od podstaw...

Notowałem szybko całą rozmowę. Kawa była już zimna. Nie żal mi było tej kawy, choć uczciwie pachniało kawowym aromatem...

Szedłem później ulicą Marii Curie Skłodowskiej, przy której mieszczą się liczne budynki Akademii Medycznej. Na ulicy było rojno. Mijały mnie grupy studentów idących szybkim krokiem, z teczkami w rękach.

W rektoracie czekało na mnie kilka cyfr: Akademia ma dzisiaj: 43 katedry, 15 profesorów zwyczajnych, 20 nadzwyczajnych. Studiuje 2100 studentów, z których połowa mieszka w nowoczesnych, ładnych Domach Studenta. Rocznie wydaje się około 350 dyplomów na wydziałach: lekarskim, stomatologicznym i farmaceutycznym. W klinikach Akademii leczy się rocznie ponad 42 tysiące chorych, przeprowadza się do 10 tysięcy (!) dużych operacji rocznie i około 40 tysięcy różnych innych zabiegów. Przychodnie szpitali klinicznych udzielają około 100 tysięcy porad.

Tak było w Gdańsku.

Wieczorem, od portu i od morza płynęły głosy poważnie buczących syren okrętowych.

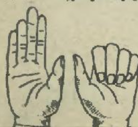
I smagał po twarzy orzeźwiający wiatr...

ROMAN BURZYŃSKI



biografia

Françoise d'Eubonne: NIEPOKÓJ. Zbeletryzowana opowieść o życiu wielkiego francuskiego poety lirycznego Pawła Verlaine'a (1844—1896) prekursora symbolizmu, jednocześnie barwny obraz paryskiego środowiska „wyklętych poetów i malarzy" z końca ubiegłego wieku. Historia burzliwej i tragicznej przyjaźni Verlaine'a z innym znakomitym artystą, Arturem Rimbaudem. Zapewnione powodzenie wśród amatorów tego gatunku. Dobry przekład Jadwigi Dachiewicz. (Czytelnik, 10 tys., s. 312, cena 19)



wojenna

NO PASARAN czyli Polacy w wojnie hiszpańskiej 1936—1939. Praca zbiorowa. Bardzo ciekawy przyczynek do historii udziału polskich ochotników — Dąbrowszczaków — w rewolucyjnej wojnie w Hiszpanii. Fotografie, dokumenty, imienny wykaz Dąbrowszczaków. (Wyd. MON, 3 tys., s. 278, cena 34)

Jan Śliwiński: Z KRONIKI BOJOWYCH DNI. Autor był zastępcą dowódcy 12 pułku 4 Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego. Przeszedł z nim w 1944—1945 szlak bojowy aż po Łabę. Elastyczny obraz historii pułku i jego walk, napisany na podstawie osobistych przeżyć, wspomnień, relacji żołnierzy i oficerów oraz licznych dokumentów. (Wyd. MON, 5 tys., s. 466, cena 45)



ST. WROTNY

Korespondencja własna

W MOSKWIE

„**POJŚĆ do teatru"? — To określenie nie oddaje nastroju. W Moskwie trzeba myśleć: „Spędzę wieczór w teatrze."**

To nie jest sprawa samego tylko usadowienia się w fotelu i wysłuchania trzech aktów. Jeśli chodzi o mnie, to w teatrze zazwyczaj spotykałem się ze znajomymi, a także... jadałem kolacje. Tak postępują tutaj prawie wszyscy. Teatr jest uroczystością, miejscem rozmów, restauracją, kawiarnią i na teatr poświęca się dużo czasu.

Teatrów w Moskwie jest 31. Repertuar przeważnie jest w nich typu zmiennego: teatr ma na afiszu równocześnie kilka sztuk, codziennie co innego, jak w Polsce opera. Trudno byłoby się w tym połapać, gdyby nie fakt, że w licznych punktach miasta można nabyć za niewielką opłatą tygodniowy program wszystkich teatrów, widowisk estradowych a także cyrku.

Program ma format książeczki, nazwa: „Teatralna Moskwa", 64 strony druku, bogato ilustrowane fotosami. Kilka krótkich artykułków na tematy teatru, dokładne programy, adresy, godziny rozpoczęcia spektakli.

Drugim udogodnieniem są punkty sprzedaży biletów, rozrzucone po całym mieście w specjalnych kioskach ulicznych, oraz przy stolikach ustawionych wewnątrz stacji kolei podziemnej. Przypięte pineskami karteczki informują przechodniów jakie jeszcze bilety wolne są „na jutro", a jakie przedstawienia są już wyprzedane — czasem już od miesiąca. Na ogół trzeba się zaopatrywać w bilety na wiele dni naprzód — wszystkie teatry mają wielkie powodzenie.

W krótkim okresie gdy byłem w Moskwie grano w operze niemal cały żelazny repertuar: *Rigoletto*, *Falstaff*, *Wesele Figara*, oczywiście nieśmiertelne *Jezioro Łabędzie*, *Lohengrina* i *Bal maskowy*. W teatrach dramatycznych *Kochany kłamca* (o Bernardzie Shaw) i nie schodząca chyba ze dwa lata z afisza komedia naszego Fredry *Damy i Huzary*, przerobiona tu na komedię muzyczną. Na estradzie występował Marino Marini, a w operetce obok *Księżniczki czardasza* (nazywającej się w Moskwie po prostu „Sylwią") wypadała właśnie premiera *Zemsty nietoperza* w nowej inscenizacji i z rozszerzonym bardzo librettem (byłem na tej premierze, mnóstwo wstawek baletowych, trwała 3 godziny i 50 minut!).

Typowy wieczór w teatrze wygląda następująco: konkretnie piszę o balecie Minkusa *Don Kichot*, który ma być wkrótce wystawiony w Polsce.

Godzina 18.00. Tak się zdarzyło że jestem w pobliżu teatru, nie opłaca się już oddalać. Przed zamkniętymi drzwiami gromadzą się



Przekroju

W TEATRZE

grupki osób. Spacerują. Z minuty na minutę osób coraz więcej.

18.30 — otwierają wejścia. Wszyscy wchodzą, udają się do szatni.

18.40 — wszystkie foyer już pełne, bufety oblężone. Odwiedziłem kilka teatrów małych i dużych — we wszystkich zwróciłem uwagę na sposób rozplanowania wnętrz — wszędzie wielkie pomieszczenia foyerowe i kuluarowe, wszędzie po kilka bufetów. Są bufety typu kawiarnianego i typu restauracyjnego. Publiczność jest ubrana wyraźnie „teatralnie" — większość mężczyzn w ciemnych garniturach, liczne panie wyraźnie wprost od fryzjera.

19.00 Widownia pełna. Światła gasną. Ukazujący się w pomieszczeniu dla orkiestry dyrygent otrzymuje huczne oklaski. Idzie pierwszy akt.

Przerwy pomiędzy aktami: wszystkie sale bufetowe szczelnie wypełnione. Salki z bufetami urządzone restauracyjnie: stoliki nakryte obrusami, na każdym duża taca z kanapkami. Kanapki są olbrzymie, przeciętnie jak 4 nasze kanapki barowe. Smaczne, świeżutkie, tanie. Wśród stolików krzątają się kelnerki, inkasując należność. W pierwszej przerwie zjadam kanapki a potem przechodzę do bufeciku gdzie wydaje się płyny owoc w szklankach. Wypijam szklankę. W drugiej przerwie deser w bufecie kawiarnianym. Ciastka są tylko kilku typów (jednakowe w całej Moskwie), ale przyrządzone są uczciwie, świeżo. Wielkość naszych trzech.

Publiczność zna się dobrze na balecie. Poznać to po tym, że soliści baletu otrzymują często brawa przy otwartej kurtynie za poprawne wykonanie trudniejszych pas.

Po każdym akcie długotrwałe brawa. Po ostatnim rozpoczyna się owacja, jakiej nigdy nie słyszałem w żadnym teatrze poza Moskwą. Wśród publiczności dają się słyszeć głośne okrzyki — to wywoływani są po nazwisku poszczególni soliści.

Z lóż przyscenicznych drugiego i trzeciego piętra lecą na scenę olbrzymie bukiety kwiatów z przypiętymi karteczkami i listami. Niektóre bukiety są tak wielkie że stanowią raczej n a r ę c z e kwiatów.

Nieustające brawa trwają około 10 minut i wtedy zaczyna się dziać coś najzupełniej specjalnego. Publiczność z dalszych rzędów parteru wali tłumem ku scenie, zatarasowuje przejścia, wpycha się pomiędzy rzędy. Wszyscy stoją, walą brawo, aktorzy się kłaniają, dziękując za owacje.

Pewnego razu postanowiłem obliczyć czas końcowej owacji. Trwała ona 18 minut. Kilkakrotnie zerkałem ku drzwiom wyjściowym. Były otwarte, ale nikt nie biegł do szatni...

S T. W R O T N Y

PONAWIAMY APEL!

Pomóżcie STAROŚCI i SAMOTNOŚCI

NIE powinni istnieć ludzie zapomniani, opuszczeni i samotni — pisał rok temu gwiazdkowy Przekrój ogłaszając apel o opiekę i pomoc dla ludzi starych i chorych, przebywających w zakładach opieki społecznej, dla samotnych, pozbawionych rodzin, rencistów w zakładach opiekuńczych. Wielu z nich do niedawna jeszcze pracowało, często wyróżniając się na polu zawodowym czy społecznym. Im aktywniejsza była ich praca, im bogatsze było kiedyś życie rodzinne, tym trudniejsza jest obecna ich samotność. Toteż każda wizyta, każdy uśmiech, nadesłana książka lub czasopismo, każdy dowód pamięci ze świata, który musieli opuścić, będzie dla nich przeżyciem i wzruszeniem, będzie dowodem, że zachowali miejsce w społeczeństwie. — Tak pisaliśmy przed rokiem.

Apel nie pozostał bez echa.

— W okresie świątecznym urządziliśmy imprezy artystyczne połączone z przekazaniem drobnych prezentów w zakładach specjalnych dla dorosłych. Przygotowaliśmy 22 ubrane choinki noworoczne. Byliśmy wzruszeni wdzięcznością, jaką okazywali nam pensjonariusze tych domów. W tym roku zorganizujemy kilka podobnych imprez. Zwracamy się do wszystkich kolegów i koleżanek z innych szkół o podjęcie takich akcji — odpowiedzieli *uczniowie i uczennice Technikum Handlowego w Krakowie.*

— Wizyty jakie składamy w Domu Starców w Łodzi są mile widziane przez wszystkich chorych. Za każdym razem staramy się przynieść ze sobą skromne upominki: książki i słodycze. Fundusz na ten cel zbiera cała klasa — informowali uczniowie IX klasy przy *IX Liceum Ogólnokształcącym w Łodzi.*

— *Zakład Usług Radiowych i Telewizyjnych w Opolu* zobowiązał się bezpłatnie naprawiać i konserwować (a także bezpłatnie dostarczać części zamienne) we wszystkich świetlicach domów starców, placówkach opiekuńczych, specjalnych instytucjach opiekuńczych.

— Wysłaliśmy świąteczne kartki dla pacjentek Państwowego Zakładu Specjalnego przy ul. Zielnej w Krakowie. Kartki rysowały i malowały same dzieci. Przyrzekły stale pamiętać o przebywających tam staruszkach — pisała pani Wodnicka, kierowniczka świetlicy *szkoły podstawowej nr 1 w Kłobucku w woj. katowickim.*

— Mamy w Gdańsku Domy Dziecka i szpitale, w których też są ludzie samotni i chorzy, a także dzieci, czekające na kogoś kto rozjaśni ich smutne dni. Dla nich prowadza akcję gwiazdkową szkolne koła Polskiego Czerwonego Krzyża, organizują imprezy i upominki gwiazdkowe i noworoczne — donosił *Miejski Oddział PCK w Gdańsku.*

Oto kilka fragmentów listów, które nadeszły po naszym apelu z różnych stron kraju.

Ponawiamy nasz apel i w tym roku. Jest u nas wiele domów opieki, w których spędzają starość renciści. Są zakłady wychowawcze dla dzieci pozbawionych rodzin. Jest wielu ludzi starych i samotnych, często Waszych sąsiadów. Każdy choćby najskromniejszy dowód pamięci będzie dla nich pociechą i radością. Nie zapominajmy o nich!

OLGIERD BUDREWICZ

PRZED DWOMA TYGODNIAMI ROZMAWIAŁEM z IWONĄ *w Düsseldorfie*

W PIERWSZYCH dniach grudnia 1963 roku spotkałem się z Iwoną Czabańską, towarzyszką ostatnich miesięcy życia Stanisława Hempla.

Kiedy do restauracji w której umówiliśmy się, weszła wysoka, elegancko ubrana pani, nie poznałem w pierwszej chwili tamtej bosonogiej dziewczyny z dżungli; może i suknia nie zdobi człowieka, na pewno go jednak zmienia.

Stach wyznał mi kiedyś z uśmiechem: „Iwonka jest groźniejsza niż krokodyle". Nie miałem okazji stwierdzić, na czym polega siła tej szczupłej dwudziestokilkuletniej osoby (choć obserwowałem niewątpliwe dowody jej samodzielności myślenia, a także wybuchy gniewu), ale wierzyłem znakomitemu myśliwemu na słowo. Iwona jest na pewno dziewczyną nie banalną.

Usiadła za stołem przykrytym czystym obrusem, co wydało mi się zabawne, jako że w oczach miałem jeszcze obrazy prymitywnego biwakowania w głębokiej Afryce.

W ciągu tego wieczora opowiedziała mi wszystko o wydarzeniach ostatniego pół roku — o śmierci Stacha, o sobie, o najprawdziwszych, najbardziej autentycznych „smutkach tropików".

W Noc Świętojańską

„Kiedy wylecieliście wtedy z Impfondo do Brazzaville, przez parę dni odpoczywaliśmy i robiliśmy porządki. Nasza wyspa powoli zanurzała się pod wodę, więc wszystkie cięższe przedmioty przenieśliśmy do misji. Następnie popłynęliśmy ponownie w górę rzeki, do Yende. Okazało się, że Cardela, ten Korsykanin, jedyny biały stale mieszkający w Yende, zachorował i odstawiono go statkiem do miasta. Okazało się także, że Tony, nie wyruszył jeszcze w swą dalszą wędrówkę po Afryce; jest na miejscu i ma jakieś konflikty z Murzynami — zdaje się, były to sprawy erotyczne, więc wyekspediowaliśmy go natychmiast do Bangui".

Z kolei odwiedzili pewnego polskiego plantatora. Jest to były oficer lotnictwa angielskiego, uprawiający kawę i kakao. Zatrudnia 350 robotników, z którymi żyje w doskonałych stosunkach. Należy do nielicznych białych plantatorów, którzy nie mieli nigdy najmniejszych przykrości ze strony Murzynów.

Spędzili wieczór przy polskiej żubrówce. Nazajutrz rano Stach dostał pierwszego ataku. Wystąpiły silne bóle w okolicy żołądka. Po 10 minutach wszystko minęło, a oni zapisali to na konto wypitego alkoholu.

Przez następny tydzień Hempel polował prawie każdej nocy. Pewnego razu...

„Olbrzymi krokodyl siedział na piaskowej ławicy, o jakieś dwa metry powyżej lustra wody. Kiedy go zobaczyłam, położyłam się na dno pirogi i zakryłam oczy rękami. Obawiałam się, że krokodyl, skacząc do wody, może wpaść do łodzi. Staszek uniósł się, wycelował. Plusnęła woda, zalewając pirogę. Krokodyl skoczył przed strzałem, o kilkadziesiąt centymetrów od łódki. Miał około pięciu metrów długości. Później odbyła się regularna zabawa w chowanego — potwór pojawiał się kolejno na rozmaitych wyspach i znikał w wodzie. W końcu, po godzinie tej gry, padł śmiertelny strzał. Niestety Murzynowi nie udało się pochwycić hakiem tonącego krokodyla, i wróciliśmy z niczym. Stach był bardzo zmęczony."

Minęło kilka dni. Popłynęli do Impfondo. Tam Hempel spotkał swego dobrego znajomego, młodego, niezwykle silnie zbudowanego chłopca. Ktoś wpadł na pomysł, by dwaj mężczyźni zmierzyli się w próbie zwanej „łokieć do łokcia". Trzy godziny trwały te zapasy, a zwycięzcą w nich był zawsze Staszek. Tej samej nocy miał kolejny, krótkotrwały atak bólów, lecz znowu nie zwrócili na to większej uwagi.

Następnego dnia o świcie wyruszyli w dół rzeki. Zatrzymali się na pięknej, położonej o około 150 kilometrów od Impfondo wyspie. Tam postanowili dokonać dokładnej selekcji i solenia skór.

Stach łowił ryby, Iwona czytała, pisała listy, przyrządzała posiłki. Wieczorami rozmawiali długo przy herbacie.

Któregoś dnia Hempel złapał wspaniałego wodnego ptaka nieznanego gatunku. Chcieli go później odstawić do ogrodu zoologicznego. Ponieważ jednak marniał w oczach, postanowili zwrócić mu wolność. W tym celu popłynęli łodzią na sąsiednią małą wysepkę. Wtedy to zginęła ich mała małpka „Bongo" — widząc, jak odpływają z ptakiem, wskoczyła do wody i utonęła.

Nadeszła noc z 23 na 24 czerwca, Noc Świętojańska. Rozmawiali przy kolacji, kiedy z wielkim hukiem zwaliło się ogromne drzewo w dżungli. Nie było najmniejszego podmuchu, panowała zupełna cisza. Stach powiedział „Z drzewami jest czasem jak z ludźmi, wydaje się że są nie do złamania, a nagle okazuje się, że były w środku chore i słabe".

Potem przesunął się koło ich wyspy upiorny statek — najpierw płynął w dół rzeki, później w górę. Płynął bez żadnego dźwięku.

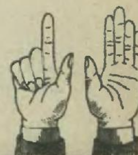
Poszli późno spać. Nie minęło kilka minut, gdy Hempel zerwał się i zaczął biegać po wyspie. Oddychał głęboko, z wielkim trudem. Wszedł do wody, oblewając sobie piersi.

Już mieli się znowu położyć, gdy Staszek podszedł szybkim krokiem do łodzi, jak by tam kogoś zobaczył. Nagle zatrzymał się, gwałtownie odwrócił i zaczął biec z powrotem. Upadł na ziemię na progu szałasu.

Zaczęła krzyczeć „Kamfora! Kamfora!", ale przecież kamfory nie mieli pod ręką, a Murzyni — którzy tymczasem zbiegli się przerażeni z lampami w rękach — nie mogli zrozumieć, o co chodzi. Zastosowała sztuczne oddychanie i masaż serca. Kazała przenieść ciało do pirogi. Była 2 w nocy.

Podróż do Impfondo, gdzie urzędował jedyny lekarz w promieniu kilkuset kilometrów, trwała do 8.30 rano.

„Twarz miał zupełnie spokojną, jak by spał. Niebo przecinały we



wszystkich kierunkach błyskawice, ale nie spadła ani jedna kropla. Leżałam obok niego, chciałam go rozgrzać, nie wierzyłam w śmierć. Dopiero nad ranem wystąpiły na szyi sine plamy. Wtedy zrozumiałam, że to koniec".

Lekarz ograniczył się do spisania dokumentu zgonu. Tego dnia nie było samolotu do Brazzaville, a pogrzebu nie wolno było odkładać. O piątej po południu, na małym cmentarzyku koło szpitala nastąpił ostatni akt dramatu. W mieście zamknięto wszystkie sklepy, wszystkie urzędy. Na cmentarz przybyli niemal wszyscy mieszkańcy Impfondo.

„Byłam w kolorowej sukni, którą chyba pamiętasz. Nie miałam nic innego. Jakaś kobieta dała mi czarną chustkę".

W trzy dni później popłynęła do Brazzaville. Po drodze huczały tam-tamy, głosząc żałobną wieść. W chwili odjazdu utopił się „Tuki" ich oswojony tukan.

Po trzech miesiącach powróciła raz jeszcze, przywożąc ze sobą krzyż na grób Staszka.

Stanisław Hempel zmarł na zawał serca. Zmarł na chorobę, nieznaną prawie w Afryce. Na chorobę cywilizacji, z której drwił i od której uciekł w głąb dżungli. Która go pewnego dnia wytropiła i dopadła. Został pochowany nad wielką rzeką Ubangi, tam gdzie był naprawdę szczęśliwy.

Życie bez manicure

W czasie jednego z polowań na krokodyle, na które zostałem zaproszony przez Hempla, znalazła się również w pirodze Iwona. Pierwsze błyski reflektora, pierwsze czerwone ślepia gadów, pierwsze strzały w ciszy afrykańskiej nocy, były dla mnie głębokim wstrząsem. Dygotałem jak w gorączce, czułem jak jeżą mi się włosy. Dziewczyna siedziała koło mnie bez ruchu i słowa, nieczuła na wszystko co dzieje się dokoła.

Iwona uczestniczyła na ogół we wszystkich polowaniach Staszka. Wolała „być przy tym". Drzemała w łodzi dopóki nie huknął strzał. Pierwsze łowy przeraziły ją, później przywykła; pozostał tylko paniczny lęk przed tym wskakiwaniem myśliwego do wody, przed tymi śmiertelnymi walkami w ciemnościach.

Poszła z nami w głąb dżungli. Była z mężczyznami jak równy z z równym. Nie okazywała ani zmęczenia ani lęku. Podczas gdy my odpoczywaliśmy, ona krzątała się dokoła posiłków, organizowała noclegi, pełniła z talentem i hartem funkcje „sierżanta-szefa".

Pamiętam jej przytomność umysłu podczas huraganu, który znienacka zaatakował łódź na rzece w pobliżu Dongou. Pamiętam ostatnią noc na wyspie — wszyscy, z wyjątkiem Iwony, konali ze zmęczenia. Pamiętam poranne i wieczorne zabiegi toaletowe: myła się przechylona przez burtę łodzi, czyściła zęby zanurzona po kolana w wodzie, czesała włosy przeglądając się w maleńkim lusterku.

— Iwonko, czy nie cierpiałaś z powodu braku fryzjera, manikurzystki, bieżącej wody? — pytam teraz.

— Tam wszyscy żyją podobnie, więc nie ma się tych pragnień.

— Czy nie lękałaś się nigdy życia w głębi dzikiej Afryki?

— Byłam ze Stachem, z nim czułam się bezpieczna.

Tę białą kobietę, która pływała po Ubangi, chodziła dzielnie po dżungli, uczestniczyła w polowaniach, znano doskonale we wszystkich wsiach rejonu Likouali. Ceniono ją za odwagę, szanowano za pomoc lekarską, której udzielała czarnym mieszkańcom, lubiano za serdeczność i bezpośredniość.

Z górą pół roku spędziła w tamtych okolicach. Początkowo wołano za nią ze zdziwieniem i odrobiną ironii (jak zresztą za każdym innym białym) „Mundele! Mundele", potem słyszało się już tylko krótkie „Madame". Polska „Madame nad daleką kongijską rzeką".

Ubierała się w kolorową sukienkę o wzorach murzyńskich i europejskim kroju lub w obcisłe płócienne spodnie i luźną bluzę. Chodziła boso lub w trampkach. Włosy wiązała w dwa zabawne warkoczyki lub rozpuszczała luźno, niekiedy wkładała kapelusz lub zawiązywała sobie „toczek" z liści.

Patrzę teraz na siedzącą naprzeciw mnie panią w tweedowym kostiumie i futrzanej czapie, a cała ta Afryka, krokodyle, dżungla, Ubangi przesunęły się nagle w płaszczyznę sennych zwidów.



Iwona Czabańska. Zdjęcie wykonane przeze mnie w czasie safari w dżungli nad Ubangi.

Wszystkiemu winien Sienkiewicz

Urodziła się w Krzemieńcu. W czasie wojny, jako paroletnie dziecko, przeszła przez kilka obozów. W 1945 roku znalazła się wraz z rodzicami i dwiema siostrami w Belgii. Skończyła szkołę „asystentek socjalnych" w Brukseli. Przez rok była wychowawczynią trudnych dzieci. Później pracowała na wystawie światowej.

Życie potoczyłoby się zapewne normalnym, mieszczańsko-europejskim trybem, gdyby nie lektura pewnej książki. Ta książka nazywała się „W pustyni i w puszczy". Ona to — o, potęgo literatury! — zdecydowała o przyszłych kolejach losu dziewczyny. Iwona Czabańska mówi mi dzisiaj o tym:

„Odtąd marzyłam o Afryce, o wielkiej przygodzie, o egzotycznych krajach. Moja wyobraźnia została puszczona w ruch. Później czekałam już tylko na okazję, na pretekst, na stosowną chwilę".

Ta chwila nadeszła w marcu 1959 roku. Iwona wyjechała z Brukseli do Leopoldville.

Pracowała kolejno w różnych instytucjach w Leo i w prowincji Kasai. Przeżyła w Kongo pamiętne rewolucyjne wydarzenia. Była jedną z nielicznych białych kobiet w Leopoldville w najtrudniejszych miesiącach.

Rzeczowo, beznamiętnie opowiada o niektórych epizodach tego okresu. Zastrzega tajemnicę wielu z nich, ujawniam więc tylko niektóre.

Kiedy zamknięto granicę pomiędzy Kongiem-Leopoldville a Kongiem-Brazzaville zajmowała się przewożeniem przez rzekę filmów i reportaży dla amerykańskich i europejskich stacji telewizyjnych. Z narażeniem życia płynęła na drugą stronę, by z lotniska w Brazza przesyłać materiały, na które oczekiwał świat. Niektórzy dziennikarze proponowali jej wielokrotnie setki dolarów za... wrzucenie do rzeki filmów lub tekstów konkurencyjnych. Odpowiadała niezupełnie praktycznie, ale jakże po polsku: „Albo wszystkie, albo żadne". Więc szły przez granicę wszystkie. Później kiedy ucichło i wyspokojniało zapomnieli podziękować za tę przysługę.

Raz aresztowała ją żandarmeria Konga-Brazza i wezwała telefonicznie kolegów z Leo. Motorówka płynęła po dziewczynę, ona tymczasem toczyła walkę o filmy, które zamierzano zniszczyć. Użyła prostego argumentu, który poskutkował:

„Jeżeli nie dostarczycie natychmiast paczki na lotnisko, jeżeli mi stanie się jakaś krzywda, żaden europejski dziennikarz nie przyjedzie na święto proklamowania waszej niepodległości".

W tych burzliwych dniach trzeba było mieć silne nerwy i umiejętność bluffu. Dziewczynie rodem z Krzemieńca tych cech charakteru nigdy nie brakowało.

Jechała kiedyś ciężarówką z Kasai do Leo. Z kierowcą poznanym w mieście, który zobowiązał się podrzucić ją do stolicy. Po drodze zaczął się do niej zalecać „Zatrzymuj, wysiadam!" — warknęła. — „W środku dżungli?" — zapytał ironicznie. „Tak, natychmiast!". Zatrzymał. Wysiadła. Trzy godziny czekała na następny samochód.

Przeżyła momenty największego napięcia. Na przykład atak na szpital w którym pracowała w Kalendzie. Na przykład walki na ulicach w Leo, przewrót w Brazzaville.

W końcu Iwona-Nel spotkała swojego Stasia. Rozpoczął się właściwy rozdział „W pustyni i w puszczy", w którym było już dokładnie jak w książce:

„Dżungla w nocy, gdy wśród ciszy słychać każdy odgłos, każdy krok i niemal szelest, jaki robią owady łażące po trawach, jest wprost przerażająca. Unosi się nad nią lęk i zgroza. Staś musiał zważać na wszystko, nasłuchiwać, czuwać, rozglądać się na wszystkie strony, mieć głowę jak na śrubkach, a strzelbę gotową w każdej sekundzie do strzału".

Tak właśnie było. Aż do Świętojańskiej Nocy 1963 roku, kiedy to znowu została sama.

Ku Wyspom Galapagos

W czasie tej naszej europejskiej rozmowy zostałem raz jeszcze wtajemniczony w zawiłe sprawy Afryki. Przy okazji usłyszałem krótką recenzję moich reportaży, zamieszczonych w prasie polskiej:

— Fakty się na ogół zgadzają. Tak właśnie było na tej przechadzce. Trochę dużo się dziwiłeś, ale to w końcu zrozumiałe. Nie mam wielkiej pretensji, chociaż szczegóły przechadzki mogłyby być dokładniejsze.

— Przechadzki.

— „Safari" w języku swahili oznacza przechadzkę.

— A co mogło być dokładniejsze?

— Menu naszych posiłków.

Iwona wyciąga kalendarzyk i czyta:

— Na śniadanie dawałam wam zawsze: płatki owsiane lub grysik, papaję, rybę wędzoną, gotowaną makembę. Robiłam także, o czym nie wspomniałeś, *crepes ananas*. placki z ananasem.

Więc jednak, droga Iwono, masz swoje jak najbardziej kobiece ambicje! Nie lękasz się ryku lwów, ale do dżungli zabierasz książkę kucharską. Pewnie tęskniłaś też nieraz do elektroluksa i materaca na mikrogumie. Choć można cię nazwać dziewczyną nie konwencjonalną, taką co gorszy smętnych mieszczuchów i pozbawione fantazji dewotki, nie jesteś znowu aż tak demoniczna, jak by można było sądzić z pozorów. W gruncie rzeczy masz te same pragnienia, te same tęsknoty co wszystkie inne kobiety w twoim wieku. Pojechałaś do Afryki by odnaleźć to, co inne dziewczyny znajdują w końcu w swoim rodzinnym mieście.

— Nie zawracaj głowy, pojechałam do Afryki, żeby zobaczyć coś niezwykłego. Żeby nie przejmować się takimi zmartwieniami, jak choćby to, którym zajmuje się dzisiejsza prasa: w ciągu jednego roku na szosach i drogach Europy zginęło 65 tysięcy ludzi, a półtora miliona zostało rannych...

— W rzece Kongo giną ludzie pożerani przez krokodyle.

— Nikt nie wie dokładnie, czy w Kongo żyją krokodyle. Co prawda w 1960 roku, kiedy za motorówką płynął sobie ambasador NRF w kapeluszu, został nagle tylko sam kapelusz, ambasadora zaś nigdy nie odnaleziono, dowodu niezbitego jednak nie ma.

— Iwono, stroisz sobie ze mnie żarty. Po co to jeździć w takie dzikie strony?

— Ty tego nigdy nie zrozumiesz, byłeś tam za krótko.

Przez wiele godzin toczyła się ta dziwna rozmowa, epilog reporterskiej wyprawy nad rzekę Ubangi. Rozmowa, przez którą przewijała się nieustannie nić magicznej siły dalekich lądów, rozmowa której towarzyszył duch „W pustyni i w puszczy".

Iwono, moja miła, dzielna dziewczyno, niech cię tam twoje bogi prowadzą szczęśliwie do dalszych Nigerii czy Wysp Galapagos! Bo — coś mi się widzi — w tym tweedowym kostiumie i na szpilkowych obcasach czujesz się jak w obcej skórze. A napisz kiedy do Warszawy!

OLGIERD BUDREWICZ

MIŁOŚNIK POWAGI

Napisał *Jan Stoberski*



POGODY DUCHA, która opuszcza mnie tylko na bardzo krótko, nie potrafi nadwątlić na dłużej nawet Lalik. I chociaż pewnego razu spojrzał na mą uśmiechniętą twarz z widocznym zdziwieniem i współczuciem, rzekłem doń jedynie:

— Bywasz wciąż tak poważny, jak byś przewodniczył właśnie jakimś niezwykle doniosłym obradom i musiał nieustannie wytężać umysł.

Czyż towarzystwo ludzkie potrafi cię nastrajać tylko smutnie? Czy ludzie, z jakimi się stykasz, nie są w stanie uleczyć cię sobą, ani na chwilę?

Aż tak jesteś wymagający? I czy słabostki twych znajomych nie zdołają pobudzić cię nigdy do śmiechu, lub bodaj do nieznacznych uśmieszków?

A może dokucza ci jakieś cierpienie, z którego ani myślisz mi się kiedykolwiek zwierzyć?

Ale ja właśnie usiłuję niekiedy być najweselszy w chwili, kiedy mi coś dolega, żeby bodaj częściowo odwrócić uwagę od swego bólu i wtedy prawie równocześnie śmieję się i jęczę. I co zacisnę kurczowo zęby, to znów otwieram z kolei gębę jak najszerzej i dławię się od śmiechu.

A ciebie nigdy jeszcze nie widziałem w takim stanie, żebyś słabł aż do śmiechu, żebyś opierał się o stół czy o płot z nadmiaru wesołości! Zawsze prawie patrzysz jak by z pobłażaniem na każdego, kto się bardziej cieszy życiem, kto nie przejmuje się zbyt jego różnymi bolączkami.

Czy nadal wyczekujesz wytrwale, z utęsknieniem, na owo długie życie jakie, twoim zdaniem, na pewno będziesz wiódł po swej śmierci i dlatego nie chce ci się poświęcać zbytniej uwagi swemu, tymczasowemu, króciutkiemu życiu?

Zamierzasz więc może cieszyć się i parskać śmiechem dopiero kiedyś po swym zgonie, na owym drugim świecie?!

Tam dopiero będziesz wesołkiem, jakich mało? Będziesz sławił tamto pozagrobowe życie, tak niby wspaniałe, wolne od kłopotów że aż trudno ci je sobie wyobrazić?

Lalik odparł:

— Ależ moja praca biurowa i rozmaite rozmyślania pochłaniają mnie tak, że nie mam kiedy żartować i śmiać się!

A poza tym, gdy się śmieję, umysł mój nie pracuje wtedy bardziej intensywnie. Zresztą śmiech, wprawiający w drgawki me ciało, to dla mnie raczej czynność bardziej fizyczna, niż duchowa.

Byłoby mi też wstyd upajać się własnym śmiechem tak, jak ptak śpiewem i cieszyć się życiem podobnie jak małe dziecię, któremu lada co wystarczy do szczęścia!

Szkoda mi też marnotrawić czas na śmiech, na naiwną, nieprzemyślaną radość życia!

Te chwile, jakie miałbym obrócić na opowiadanie wesołych anegdot ,wolę zużytkować o wiele rozważniej na zastanowienie się nad wieloma sprawami lub na omówienie ich z kimś kto ma podobne usposobienie, co ja.

Umysł mój także, nader wygimnastykowany, nie nuży się aż tak, żebym musiał robić pauzy w myśleniu, oraz szukać wytchnienia w żartach i śmiechu. Bardzo dobrze obywam się bez jakichkolwiek objawów wesołości i nic przez to nie tracę.

Twierdzisz, że upodabniam się swymi arcypoważnymi minami do mumii egipskiej. A ty powinien byś pójść za mym przykładem i spoważnieć! Moje uznanie nie ominęłoby cię, gdybyś wreszcie począł bardziej doceniać urok powagi!

Co do mnie, ubolewam na myśl, że kiedyś, jako nierozumny młodzieniaszek, zaśmiewałem się nawet z lada czego, i — żal pomyśleć — marnowałem masę cennego czasu na błazeńskie rechotanie. Szczęście choć, że w końcu opamiętałem się z młodzieńczej pustoty.

Niekiedy tylko, przyznam, zaśmieję się, ale to nie dla jakiejś przyjemności śmiechu, ale po to, by zirytować Bajcuna. By ukarać go za to, że nie podzielił jakiegoś mego poglądu, i zignorować go tym samym. A także by skłonić go do zastanowienia się nad znikomą wartością jego sądów.

A na to ja:

— Wówczas, kiedy śmiałeś się z Bajcuna zawtórowałem ci nawet. Nie śmiałem się jednak z niego, ale z ciebie. Byłeś przecież uszczęśliwiony tym, że udało ci się koleżkę rozgniewać i zasmucić.

Śmiałem się też głośniej, niż ty, żeby zagłuszyć ten twój śmiech, tak złośliwy. Obecnie nawet muszę się śmiać, gdy sobie przypomnę, jak mnie wtedy zaskoczyłeś swym nieniespodziewanym śmiechem i gdy pomyślę że ty decydujesz się śmiać jedynie po to, żeby kogoś zgnębić.

A teraz nie irytuj się! Nie wzoruję się przecież na tobie i nie śmieję się dlatego, żeby ciebie podrażnić!

Bądźże cierpliwy! Już za chwilę może przestanę się z ciebie zaśmiewać i chętnie z tobą pogawędzę. Chyba że naprawdę nie masz na to czasu?!

Jan Stoberski

JULIAN TUWIM

Budzenie słowika

DUDEK:

Sło — wi — wi — wi — wi — wiku!
Słowiczku! Wiczku! Czku-czku-czku!
Słysz-słysz-słysz!
Czy śpisz? Czy śpisz? Czy śpisz?
Zbudź się, zbudź się, zbudź się,
Fruń tu, fruń tu, fruń!
Pójdź tu, pójdź tu, pójdź!
Mam nowinę! Czy wiesz? Czy wiesz? Czy wiesz?
Dziwy! Dziwy! Dziwy!
Cud, cud, cud prawdziwy!

SŁOWIK *(z gęstwiny)*:

Czy to ty? Czy to ty?
Ty, dudku?
Wi-tam, wi-tam, wi-tam.
Czy to świt? Czy to dzień? Czy to noc?
Śpię! Śpię! Śpię! Śpiewam!
Kwi, kwi, kwi, kwilę...

DUDEK:

Pójdź, pójdź, pójdź!

SŁOWIK:

Za chwilę!
Tak mi się śni — mile, mile, mile!
Potem pisklętom
Gniazdko muszę uwić,
Potem ze słowiczką pomówić:
Że świt, że świt, że świt!
Cyt!
Czemu mnie budzisz, dudku?
Wstyd! Wstyd!
Tak ci to kwilę czule, czule,
W rośne liście się tulę, tulę,
Słyszysz w mym głosie
Lutni ton,
Dźwięki lir? Struny cytr,
Tio-tio-tio-ćwir
I wiole
I trio
Recitatiwy i trioletу,
Dzwońcie, dzwońcie,
Siostry filomele, bracia rossignole,
Luscinie,
Słyszycie tęskne kląskanie,
Słowik wita świtanie,
Świt, świt, świt,
Tiu, tiu,
Czy ci to nuci las,
Czy pole?
Czy ci to wstawać czas?
Czas? Czas? Czas?
Spać wolę! Spać wolę!
Cóż to, cóż to tam u was na dole?
Tyle tam ludzi i krzyku!

DUDEK:

A tak, a tak, a tak,
Chodź, chodź, chodź, słowiku!



1894—1953

27 grudnia 1953 roku zmarł nagle w Zakopanem na udar serca JULIAN TUWIM.

W owym fatalnym dla poezji polskiej grudniu śmierć po raz drugi zjawiła się niespodziewanie i zabrała nie tylko Wielkiego Poetę o wielkim i wspaniałym dorobku poetyckim, ale i światowej klasy erudytę, wyjątkowej pasji zbieracza, jednego z najdowcipniejszych i najbardziej uroczych ludzi w Polsce, człowieka opętanego magią polskiego słowa. Mieliśmy zaszczyt zaliczać Go także do autorów Przekroju (fragmenty „Kwiatów polskich" i wiele innych).

W dziesiątą rocznicę Jego śmierci drukujemy fragment z Tuwimowskiej przeróbki PTAKÓW Arystofanesa (premiera w Teatrze Polskim w Warszawie w 1933). Egzemplarze Ptaków zaginęły w czasie wojny, i dopiero w kilka lat po śmierci Tuwima jeden został odnaleziony. Sądzimy, że jak cała sztuka, rozmowa ptaków nie była jeszcze nigdzie publikowana.

Humor zeszytów

Miłość kończy się w „Panu Tadeuszu" polonezem.

*

A. Malczewski wszedł do „Historii literatury polskiej dla kl. X" jako autor powieści „Maria".

*

Tlen ma kolor niewidzialny.

*

Pisanie listów do kolegów, wujków, cioć jest koniecznością, ale trzeba jeszcze na nie odpisać.

*

Miał krótki wzrok ponieważ nosił okulary.

*

W lesie było cicho, słychać było tylko szum drzew i traw zakropionych rosą.

*

Jej szafirowe oczy podobne były do rubinów.

*

Janicki pisał w języku łacińskim, lecz treść była w języku polskim.

*

Kościół głosił uśmiercanie się za życia, czyli ubóstwo.

*

Fraszka „Na lipę" troszczy się o odpoczynek ludzi zmęczonych po pracy.

*

Nadesłali nasi Czytelnicy: mgr Sabina S., Marek Sojka, Aw z Krotoszyna, Ch. z Wałbrzycha, Barbara W. z Dziekanowa L., MM z Kieleckiego, z IXa w Płocku. Dziękujemy.



Felicjan Loth





DAJĘ SOBIE sprawę, że jasne i zrozumiałe przedstawienie moich przeżyć lekarza na Pawiaku przerasta moje możliwości. Podobnie jak wszelkie opisy obozów koncentracyjnych Oświęcimia lub Majdanka mogą dać tylko mgliste wyobrażenie o tym, co tam się działo, tak i moje wspomnienia nie mogą odtworzyć nawet w części tego co przeżyłem w ciągu prawie czterech lat pobytu i pracy na Pawiaku.

Dodatkowe utrudnienie stanowi ciągła zmienność sytuacji więźniów w ciągu tego okresu. Ktoś, kto przebywał w więzieniu krótko i na początku okupacji, musiał wynieść zupełnie inne wrażenie od tego, kto był aresztowany później lub siedział długo. W tym leży źródło wielu nieporozumień.

Pierwsze pół roku po aresztowaniu, kiedy toczyło się śledztwo w mojej sprawie, obfitowało w doświadczenia natury osobistej. Straciłem nadzieję na wyjście do domu, poznałem grozę przesłuchań, bicia, karceru. Byłem bliski samobójstwa, zrozumiałem, co znaczy zawdzięczać komuś życie, jaka jest wartość koleżeńskiej pomocy w tych najtrudniejszych chwilach. Awansowałem na doświadczonego więźnia Pawiaka.

Jednocześnie miałem szczęście. Właśnie w okresie ukończenia mego śledztwa otwarto oddział chirurgiczny szpitala więziennego.

Byłem wówczas jedynym więźniem chirurgiem na Pawiaku, a dr Zygmunt Śliwicki, aresztowany kilka miesięcy wcześniej ode mnie, pełnił już funkcję lekarza więziennego, prowadząc oddział wewnętrzny. Jemu też przede wszystkim mam do zawdzięczenia, że wyciągnął mnie z celi i uzyskał zgodę z Alei Szucha na zatrudnienie mnie.

ROZPOCZĘŁA się jedyna w swoim rodzaju praca. Trwający przeszło trzy lata ostry dyżur w warunkach zupełnie niesamowitych. Połączenie pracy lekarskiej z konspiracyjną. Czasami nie było wiadomo, co powinno stać na pierwszym miejscu.

Początkowo byliśmy traktowani właściwie na równi z innymi więźniami. Mieszkaliśmy w celi z innymi funkcyjnymi, razem wyprowadzano nas rano do pracy i razem zamykano po apelu. Nikogo nie obchodziło, że chorzy w szpitalu więziennym mogą nas potrzebować w nocy. Każdy z nas za byle co mógł „skakać żabki" lub dostawać po twarzy. I dostawał w tym okresie.

Pierwszym naszym sprzymierzeńcem w tej trudnej sytuacji okazał się zwykły gonokok.

Wachmajstrzy, którym zdobycie rzeżączki przychodziło niezwykle łatwo, bali się jak ognia rozpoznania tego schorzenia przez lekarza niemieckiego, gdyż zamykano ich natychmiast w szpitalu wenerycznym co najmniej na trzy tygodnie. Penicyliny jeszcze nie było. W szpitalu było nudno i głodno, a co ważniejsze trzymani pod ścisłym zamknięciem byli pozbawieni przez długi czas możliwości okradania więźniów w czasie rewizji w domach i podczas przyjmowania do więzienia.

Pewnego dnia zjawił się więc jeden bardziej przedsiębiorczy i zażądał, aby go leczyć. Usiłowaliśmy się wykręcić, zasłaniając się zakazem leczenia Niemców przez Polaków, a tym bardziej więźniów. Ale ulegliśmy. Mikroskop i laboratorium było, cibazol też. Wynik był szybki. Natychmiast zjawili się następni. My z kolei zorientowaliśmy się w korzyściach, jakie nam to dawało. Jedni wachmajstrzy byli już naszymi pacjentami, inni mieli nadzieję nimi zostać. Jakoś trudno bić po mordzie lub kopać własnego lekarza, nawet jeśli jest Häftlingiem.

Następnym naszym sprzymierzeńcem w tej walce o wyrabianie pozycji dla personelu sanitarnego był dur plamisty i wszy.

Duru plamistego Niemcy bali się okrutnie. A właśnie zaczęły pojawiać się w więzieniu coraz liczniejsze wypadki. Widząc, jakie zamieszanie wywołuje to w administracji więziennej, że wstrzymano transport do Oświęcimia, że zarządzono kwarantannę w celach, a potem na oddziałach, zabraniając wożenia na przesłuchanie do gestapo w Aleję Szucha, postanowiliśmy utrzymać epidemię. Do podjęcia tej decyzji skłoniło nas jeszcze to, że więźniów chorych wysyłano do szpitali wolnościowych, skąd jeden po drugim zaczęli uciekać.

Z doktorem Śliwickim zaczęliśmy więc, za zgodą zainteresowanych, szczepić im dur, przestrzykując krew chorych. Kilku więźniów z najcięższymi sprawami udało się w ten sposób wyprowadzić na wolność. *)

Epidemia duru na Pawiaku zbiegła się ze zmianą na stanowisku naczelnego lekarza gestapo.

Na miejsce wyjątkowego łobuza i zagorzałego polakożercy doktora Scherbela, który za zasługi został przeniesiony do zdobytego wówczas Paryża, przybył doktor Bromeier, major SS, kulturalny człowiek, dobry ftizjatra. Swoje urzędowanie na Pawiaku rozpoczął od tego, że przywitał się z doktorem Śliwickim i ze mną, podając nam rękę i zwracając się do nas: Herr Kolege.

Wachmajstrzy wyciągnęli z tego wniosek: zaczęli się z nami witać, podając rękę! W ten sposób nasza pozycja wzrosła. Wskutek dalszych zarządzeń doktora Bromeiera uzyskaliśmy prawo poruszania się bez dozoru na terenie więzienia, otrzymaliśmy własną celę i prawo powrotu do niej na noc w takim czasie, kiedy sami uznamy, że obecność nasza w szpitalu nie jest już potrzebna. Byliśmy też wzywani nocą do chorych szpitalnych. Wyzyskaliśmy natychmiast nasze nowe możliwości.

PRZEDE WSZYSTKIM pod pretekstem zwalczania wszawicy i chorób zakaźnych, wprowadziliśmy badanie wszystkich nowych więźniów przez sanitariuszy kolumny sanitarnej. Przy tej okazji członkowie kolumny mogli dowiedzieć się od aresztowanego, czy i kogo należy uprzedzić na wolności, lub udzielić nowemu pouczeń i wskazówek, czy ukryć lub zniszczyć kompromitujące dowody (ulotki, listy). Wymagało to sprytu i zdeterminowania, umiejętności zagadania i zaabsorbowania wachmajstra, gdyż wsypa kończyła się fatalnie.

Dalszymi zadaniami kolumny były odwiedziny w celach dla sprawdzania stanu higienicznego, odkażenia pomieszczeń, doprowadzenia chorych do szpitala. Wszystkie te czynności odbywały się w asyście wachmajstra, ale rozszerzały ogromnie nasze możliwości kontaktów. Sanitarna rola kolumny, wobec stałego przepełnienia więzienia i ogólnie bardzo złych warunków, była podrzędna i raczej maskująca właściwą działalność konspiracyjną.

NIE ZAPOMNĘ wrażenia, jakie wywarło na mnie pierwsze zabranie mi chorego na rozstrzelanie, w drugim dniu po operacji uwięźniętej przepukliny. Sanitariusze musieli wynieść chorego na noszach na podwórze.

Kiedyś przywieziono z przesłuchania w Alei Szucha młodego człowieka ze złamaniem kości udowej. Ułożyłem go lege artis na szynie Brauna na wyciągu bezpośrednim. Starannie kontrolowałem ustawienie. W trzecim dniu złamanie ustawiło się idealnie. Po następnych pięciu dniach musiałem podejść do jego łóżka, zdjąć mu klamrę i wyciągnąć drut z kości, bo przyszli zabrać go na rozwałkę.

Czy miałem mu powiedzieć podchodząc do łóżka: — Kolego, muszę ci zabrać klamrę i drut, bo idziesz do piachu, a narzędzia te mogą przydać się innemu, mamy ich tylko kilka sztuk?

Nie mówiłem nic, ręce mi się trzęsły. On nie pytał — wiedział już. Patrzył na mnie bez wyrzutu, ze zrozumieniem. Skończyłem. Bez słowa wyciągnął do mnie dłoń, chwyciłem ją moją drżącą, spoconą ręką.

Innym razem przyniesiono postrzelonego w czasie aresztowania. Przestrzał brzucha. Wyciąłem dwa metry jelita cienkiego, było w nim 12 dziur. Operację przeszedł ciężko. Rana zagoiła się jednak dobrze, powoli zaczął jeść, poprawił się. Chodził już po szpitalu, był dobrej myśli, wesoły. Zastrzelili go, uprzednio skatowawszy na przesłuchaniu.

Jeszcze gorzej było z przypadkiem przestrzału wątroby i ostrym krwotokiem dootrzewnym. Skończyło się też zastrzeleniem, ale po wielu przesłuchaniach, w czasie których chory więzień nie wytrzymał bicia i sypnął kilkanaście osób.

Po szeregu podobnych przypadków zaczęliśmy się zastanawiać, czy mamy prawo ratować życie tym ludziom? I po co? Żeby ich narażać na cierpienia operacyjne, katusze przesłuchań, sypnięcie wielu ludzi, a w końcu egzekucję?

Hipokrates w swej wielkiej mądrości nie przewidział utworzenia gestapo.

Na nasze sumienia spadała decyzja.

Aresztowano kiedyś zupełnie przypadkowo na ulicy, w czasie dźwigania ciężkich walizek, trzy kobiety: matkę z siostrą i piętnastoletnią córką. Aresztowała je żandarmeria, podejrzewając, że przemycają żywność. W walizkach była stacja krótkofalowa.

Na Pawiak przywieziono je już zbite w czasie pierwszego przesłuchania w Alei Szucha. Uparcie milczały. Osadzono je każdą w izolatce na oddziale męskim. Ostrzeżono, że nikt poza wachmajstrem nie ma prawa wstępu do ich cel.

Następnego dnia wzięto na Szucha na przesłuchanie matkę. Wróciła skatowana. W nocy powiesiła się. Na drugi dzień pojechała siostra. Wróciła okrutnie zbita, w nocy powiesiła się również.

Niemcy na Szucha wpadli w szał. Wachmajstrzy z Pawiaka dostali srogie nagany za brak nadzoru. Nie chodziło naturalnie o życie tych kobiet, ale wymykała się Niemcom możliwość rozszyfrowania zagadki radiostacji. Pozostała im piętnastoletnia Marysia.

Jednocześnie do nas przyszła wiadomość z miasta: „Zrobić co tylko się da, aby uniknąć wsypy. Sprawa niezwykłej wagi o szerokim zasięgu".

Tymczasem Marysia zaczęła wysoko gorączkować. Gestapowcy okazywali jej wielką troskliwość. W szpitalu zjawił się wachmajster z poleceniem zbadania chorej. Szedłem przez podwórze, bijąc się z myślami.

W zasadzie należałoby jej powiedzieć, że matka i ciotka już nie żyją, wtedy mogłaby uparcie twierdzić, że nic bliższego nie wie bo matka wzięła ją tylko do pomocy w przeniesieniu walizek. Nie znała ani ich zawartości, ani przeznaczenia, niech pytają mamę. Tłumaczenie proste i wiarygodne. Ale jak podać biednemu, obitemu i zbolałemu dziecku tak makabryczną nowinę? Przecież musi mieć dość siły nie tylko, żeby przyjąć tę wiadomość, ale żeby nie dać poznać po sobie ani w pierwszej chwili, ani potem na przesłuchaniu, że wie o śmierci matki i ciotki. A jeśli się załamie? Wsypa gotowa.

Tak rozmyślając, wszedłem na oddział IV. Do celi wprowadziło mnie aż dwóch gestapowców. Mimo że musiałem rozebrać dziewczynę i proponowałem im, żeby wyszli, pozostali, tłumacząc że mają wyraźne polecenie.

Badanie i rozpoznanie były proste. Ogromne, głębokie krwiaki na obu pośladkach, zropiałe i z płatami zmartwiałej skóry, wielkości spodków. Wyszliśmy z celi. Powiedziałem gestapowcom, że istnieje absolutna konieczność przeniesienia małej do szpitala i wykonania operacji otwarcia ropni i wycięcia martwych tkanek. Jednak Aleja Szucha, dokąd odwołał się komendant Pawiaka, nie zgodziła się na przeniesienie małej do szpitala. Musiałem wykonać zabieg w celi.

Prowadzono mnie następnie na codzienne opatrunki i jak zwykle w takich przypadkach czujność wachmajstrów stopniowo słabła. Marysia poprawiała się szybko. Kiedyś gdy była już mocniejsza, udało mi się szepnąć jej straszną wiadomość. Zachowała się jak bohaterka.

Z przerażeniem obserwowałem potem, jak szybko rany ziarninują i stan ogólny poprawia się, gdyż wiedziałem, że wkrótce gestapo rozpocznie znów straszliwe przesłuchania.

Ale i Marysia zdawała sobie z tego sprawę. Pewnej nocy obudzono nas gwałtownie. Do naszej celi wpadł niezwykle zdenerwowany wachmajster, wzywając na ratunek Marysi. Wpadłem do jej celi. Leżała nieprzytomna, sina, bez tętna. Obok pryczy na ziemi — kilkadziesiąt torebek po „kogutkach". Pierwsza moja myśl była: skąd ona je wzięła? A następna, czy w tej sytuacji mam w ogóle prawo ratować to biedne dziecko?

W następnym momencie przyszła refleksja. Nie filozofuj, jesteś lekarzem i twoim obowiązkiem jest walczyć o jej życie. Pobiegłem do szpitala po sondę, Zygmunt łapał strzykawki. Oświadczyliśmy gestapowcom, że tym razem bez wzięcia jej do szpitala nie można w ogóle myśleć o ratunku. W czasie gdy zą-

*) Potem gestapo wydało polecenie leczenia chorych na dur w szpitalu więziennym.



ŁEM
RZEM
WIAKU

stanawiali się i telefonowali, płukaliśmy żołądek.

Po chwili wrócili już z noszami. Marysia została umieszczona w szpitalu.

Najbardziej przerażeni byli sami wachmajstrzy. Jak się potem okazało, Marysia umiała wzbudzić ich litość i oni to znosili jej proszki od bólu głowy.

Nasza mała nie zmarła, chorowała długo. Jeszcze dłużej przetrzymywaliśmy ją w szpitalu.

Tymczasem sprawa zdezaktualizowała się, referenci na Szucha zostali zmienieni. Następni przyjęli tłumaczenia dziewczynki. Więcej Marysi nie bito i nie męczono.

Innym razem zawiadomiono nas, że jakaś więźniarka w czasie spisywania personaliów połknęła coś i straciła przytomność. Wpadłem do kancelarii, nachyliłem się nad nią. Uderzył mnie zapach migdałów.

Cyjanek musiał być stary lub rozłożony, bo udało się ją uratować. Dopiero po dwóch dniach, gdy odzyskała przytomność, okazało się, że ta tęga blondynka, ubrana brudno i niechlujnie, robiąca wrażenie handlarki z targowiska — to dr Iza Łopuska. Znałem ją jako przystojną brunetkę, asystentę oddziału chirurgicznego szpitala Dzieciątka Jezus. Ukrywała się już od szeregu lat, pracując cały czas w konspiracji. Nasza interwencja naraziła ją na szereg bardzo ciężkich przesłuchań, po których została rozstrzelana.

Od szeregu tygodni w bardzo ścisłej izolatce na I oddziale przebywał dawny dyrektor banku, Stamirowski. Wiedzieliśmy, że sprawa jego jest bardzo poważna. Któregoś dnia rozbitą szybą okienną przeciął sobie naczynia na przegubach dłoni, na lewej całkowicie, wraz ze ścięgnami, na prawej częściowo. Jakiej trzeba było na to szalonej determinacji, z tego zda sobie sprawę tylko chirurg, który wie jak trudno jest przeciąć poszczególne ścięgno niezbyt ostrym nożem operacyjnym.

Leżał w ogromnej kałuży krwi, nieprzytomny, ale żywy. Widać miał dobrą krzepliwość. Musiałem amputować lewą dłoń. Prawą udało się uratować. Nie na wiele się to zdało. Zginął później w obozie w Oświęcimiu.

Innym razem przywieziono z Alei Szucha młodego chłopca, który przed trzema dniami otrzymał postrzał stawu kolanowego. Gestapo zaskoczyło ich przy nielegalnej drukarni w czasie pracy w jakiejś piwnicy. Było ich czterech, bronili się, trzech zginęło na miejscu, czwartego pochwycono żywcem z przestrzelonym kolanem.

Trzy dni trzymano go w Alei Szucha, bez opatrunku, przesłuchując bezustannie, bijąc i katując. Przyjechał w bardzo ciężkim stanie, nieprzytomny. Stwierdziłem zgorzel gazową. I znów pytanie: już nie tylko czy powinienem, ale czy wolno mi go ratować?

Podobnie jak z Marysią, głos wewnętrzny kazał mi przystąpić do operacji. Wykonałem wysoką amputację uda. Zeszedł ze stołu prawie w agonii. Jednak przetrzymał, zaczął bardzo powoli poprawiać się.

Przez pierwsze dni po operacji gestapo interesowało się nim bezustannie. Z uporem tłumaczyłem, że jest niezdolny do przesłuchiwań. Przychodzili go oglądać. Leżał blady, bardziej podobny do trupa aniżeli do żywego.

Raptem przestali się nim interesować. Do dziś nie wiem, czemu. Czy były znów zmiany personalne w Alei Szucha i przy tej okazji zagubiono jego papiery, czy też przyczyna była inna? Dość, że nikt więcej nie pytał o niego, przesiedział szereg miesięcy, a na krótko przed likwidacją Pawiaka został zwolniony do domu.

NIEZWYKŁYCH wrażeń w swoistych warunkach więziennych dostarczały nam porody. Kobiet ciężarnych, które urodziły na tzw. Serbii, czyli oddziale kobiecym Pawiaka było kilkanaście. Fakt, iż nowe życie rodzi się w przybytku grozy i śmierci, był dla mnie zawsze wstrząsem, stanowił paradoks. Zawsze też miałem wrażenie, że Niemcy jak by z zażenowaniem do tego faktu podchodzili.

Nie znaczy to bynajmniej, żeby kobietom ciężarnym okazywali jakieś „urzędowe" względy. Nic podobnego. Jeśli na liście do rozstrzelania była kobieta ciężarna, to rozstrzeliwali ją. Ale jeśli zdążyła urodzić dziecko albo dwoje na raz, jak Marysia Rutkiewiczowa, to jednak poród ratował jej życie. Nie był to urzędowy przepis, ale właśnie odpowiednio przez nas podsycana atmosfera ich „zażenowania". Wystarczył pretekst „naukowego" zainteresowania się sprawą bliźniąt.

Kilka porodów było ciężkich. Zabiegi ręcznego odklejania łożyska i wymóżdżania wykonywałem po raz pierwszy i mam nadzieję ostatni w życiu. Dla mojego ortopedyczno-chirurgicznego temperamentu to wystarczy. Lecz najcięższe z tej dziedziny było jedno ze sztucznych poronień.

Przyszły kiedyś koleżanki z Serbii z następującą sprawą. W pralni pracuje niedawno aresztowana, młoda i bardzo miła Żydówka. Jest w ciąży. Sytuacja niezwykle groźna, gdyż Niemcy natychmiast, jak się spostrzegą zdejmą ją z funkcji i rozstrzelają.

Szczęśliwie był już koniec 1943 r., nasza pozycja na Pawiaku silna i możliwości duże.

Ustaliliśmy po naradach, że wykonam zabieg w niedzielę po południu, ambulatoryjnie, w szpitalu męskim. Popołudnia niedzielne były przeważnie najspokojniejszą porą.

Przetransportowanie jej na zabieg nie zwróciło niczyjej uwagi. Wachmajster w szpitalu był „obstawiony" starannie, grał ciekawą partię szachów z pisarzem i o dziwo, wygrywał, choć partner był zazwyczaj mocniejszy.

Przystąpiłem do zabiegu. Wszystko szło gładko, aż raptem — na łyżce wyciągam jelito cienkie! Na dobitkę naddarte. Do przerażenia lekarza w takim momencie, dołącza się przerażenie wywołane swoistością sytuacji. Konieczna laparotomia. Żydówka, której nie wolno mi operować. Nie mogę zatrzymać jej w szpitalu. Co czynić?

Wahanie nie trwało długo. W czasie gotowania instrumentów usiłowałem opanować się i uspokoić. Koledzy wspomagali mnie, jak mogli. Wykonałem wycięcie jelita, zaszyłem maleńką dziurkę w macicy. Chorą przeniesiono do celi, gdzie przeleżała kilka dni pod pretekstem niewinnej choroby.

Jeszcze ze szwami na brzuchu poszła do roboty w pralni, gdzie koleżanki usadziły ją w kąciku, markując za nią robotę. Wszystko skończyło się szczęśliwie. Nasza chora dotrwała do końca Pawiaka. W czasie powstania, wyprowadzona wraz z grupą Żydów w ruiny getta na rozstrzelanie, została odbita przez oddział AK. Doczekała końca wojny, a w 1949 r. wyjechała do Palestyny.

WŚRÓD więźniów politycznych było dużo samobójstw popełnianych w chwili aresztowania, z użyciem umyślnie w tym celu przygotowanej trucizny lub broni palnej. Wówczas często przywożono aresztowanych w agonii lub w takim stanie, że nic nie można było zrobić.

Pozostał mi żywo w pamięci przypadek skoczka spadochronowego, którego gestapo zaskoczyło przy radiostacji krótkofalowej. Strzelił sobie w skroń z pistoletu. Skierował jednak lufę zanadto do przodu i kula roztrzaskała mu całą kość czołową i sporą część płata czołowego mózgu. Operację zniósł dobrze i po zagojeniu nie zdradzał żadnych zaburzeń nerwowych lub psychicznych.

Przy postrzałach w czasie aresztowania, nasze wątpliwości co do prawa ratowania tych ludzi były na ogół mniejsze niż w innych przypadkach, bo przeważnie nie znaliśmy żadnych szczegółów, trudno było ustalić, czy jest to samobójstwo, czy postrzelenie przez aresztujących.

Kiedyś przywieziono młodego mężczyznę z postrzałem szyi i obfitym krwotokiem z gardła. Gestapowcy oswiadczyli że sam się chciał zabić. Okazało się, że wlot kuli małego kalibru jest u podstawy szyi, ale dość daleko z tyłu. Wylotu nie było. Wydało mi się niemożliwe, aby mógł sam postrzelić się w ten sposób.

Upewniłem się w tym przekonaniu, znalazłszy kulę podczas badania rentgenowskiego. Tkwiła po drugiej stronie kości jarzmowej, przeszedłszy przez szyję, bez wywołania większych uszkodzeń między trzonami kręgów a tylną ścianą jamy nosowo-gardłowej. Tkwi tam zresztą do dziś, gdyż Henio wygoił się szybko, wyszedł z Pawiaka i żyje szczęśliwie w Warszawie. Jak się okazało, został postrzelony w czasie próby ucieczki podczas aresztowania.

W przypadkach świadomych zamachów na własne życie, popełnionych na Pawiaku, poza nielicznymi samobójstwami przez otrucie lub przecięcie naczyń, znaczną większość stanowiły powieszenia.

Tego rodzaju samobójcy — było ich co najmniej kilkanaście — nie udało nam się uratować ani razu.

WŚRÓD pracy czysto lekarskiej przewijało się stale drugie nasze zadanie — praca konspiracyjna. Tu jednym z kłopotów była nieumiejętność zachowania się wielu ludzi w więzieniu, szczególnie w pierwszych chwilach po aresztowaniu.

Często wkraczający do ambulatorium znajomy z wolności, nie zdając sobie sprawy z sytuacji, ucieszony, że w tej tragicznej rzeczywistości zobaczył życzliwą twarz, rzucał się z wyciągniętą ręką na przywitanie. Jeśli nawet nie kończyło się natychmiastowym rękoczynem ze strony wachmajstra, to przeważnie uniemożliwiało, przynajmniej doraźnie, pomoc lub ułatwienie czegokolwiek więźniowi.

Józio Dudek, wieloletni korytarzowy z przejściowego oddziału VII, malarz pokojowy, typowy warszawski cwaniak, miał na to zagadnienie swój swoisty pogląd:

— Wiesz, doktor, nie ma nic głupszego niż inteligencja.

Rzeczywiście, akomodacja inteligencji do warunków więziennych była bez porównania wolniejsza i gorsza niż ludzi prostych. Prowadziło to nieraz do sytuacji wprost tragicznych.

Kiedyś przyprowadzono do Ani Sipowicz, naszej dentystki, więźnia z izolatki. Ania wiedziała, że jest to oficer AK, że ma poważną gardłową sprawę. Więzień zaczął Anię molestować, aby dała mu kilka papierosów (jako funkcyjna, mogła palić). Ania, która miała dobre serce dała mu całą paczkę. Nie minęła godzina, a do szpitala kobiecego wpada Oberscharführer Zander.

— Dałaś temu z izolatki papierosy?

Ania, widząc, że nie ma co się wypierać, przyznaje się. Na to Zander:

— Wiesz, że nie wolno i dałaś mu! A wiesz, co on zrobił? Jak tylko dostał raz w mordę, to od razu cię wsypał. Tym razem za karę już go powiesiłem, ale na drugi raz powieszę ciebie, pamiętaj!

Zwykle staraliśmy się dopomóc nowo aresztowanym, czy przez podanie żywności, czy wiadomości z domu, czy przez wzięcie na izbę chorych lub do szpitala.

Zaczynało się od sprowadzenia do ambulatorium. Sanitariusz po wielu trudach dociera do celi i wywołuje:

— Pan X na badanie do doktora!

A pan X na cały głos:

— Ja do doktora? Kiedyż nic mi nie dolega!

A przecież różnych kapusiów było wszędzie pod dostatkiem!

Zawiadomiono nas, że został przywieziony na Pawiak profesor Michałowicz.

Z drżeniem oczekiwałem przyprowadzenia VII oddziału do ambulatorium. Nareszcie zaczynają się po kilku zgłaszać. Ten potłuczony, ten z czyrakiem, tamten ma wyciek ropny z ucha.

Otwieram drzwi:

— Następny, proszę!

Oparty na dwóch kolegach, ciężko powłócząc nogą, wsuwa się sapiąc profesor. Przesuwa się koło mnie, nawet nie mrugnął. Dobra jest — myślę.

Profesor rozejrzał się po pomieszczeniu i widzę lokuje się na ławce w najodleglejszym kącie. Zbliżam się, kucam koło niego i niby pomagam w rozsznurowaniu buta. Jednocześnie szepczę:

— Co mam załatwić, panie profesorze?

Następuje błyskawiczne wyliczenie, widać z góry przygotowane. Co z której szuflady, co na klinice, a co w domu. Skończywszy swą litanię, profesor z rutyną starego pedagoga powiada:

— Powtórz, bo wszystko pokręcisz.

Na zakończenie zdążyłem mu szepnąć:

— Za trzy dni wieczorem proszę dostać ataku angina pectoris.

Rzeczywiście, punktualnie jak było powiedziane, wieczorem wpada do szpitala wachmajster:

— Doktor, chodź, tam jeden stary umiera.

Ociągając się, że niby mi na tym nie zależy, idę na oddział VII. Podchodzę do celi, zaglądam. Ogarnia mnie przerażenie! Na ziemi w kącie leży prof. Michałowicz, nieogolony, siny, oddycha z największym wysiłkiem.

Przyklęknąłem, chwytam za puls — najnormalniejszy w świecie. Profesor nieznacznie mruga do mnie, ubawiony.

Sam wachmajster załatwił z komendantem więzienia zezwolenie na umieszczenie profesora w szpitalu.

Tej klasy „konspiratorów" co prof. Michałowicz, było jednak bardzo niewielu.

FELICJAN LOTH

Ze zbioru „Pamiętniki lekarzy", który przygotowuje do wydania książkowego „Czytelnik".





80% filmów japońskich to filmy współczesne, o ludziach mających około 25 lat. Scena z filmu „Światło robaczków świętojańskich".

TAJEMNICE JAPOŃSKICH

FILMY JAPOŃSKIE SĄ:

- **nudne,**
- **zawikłane, nie wiadomo o co chodzi,**
- **mają śmiertelnie wolne tempo,**
- **nadmiar brutalności, gwałtowności, okrucieństwa,**
- **zakończenia nielogiczne,**
- *historyczne* **— kogo obchodzą te bójki samurajów w szlafrokach?**
- *współczesne* **— bohaterowie postępują bez sensu!**
- **wszystkie są za długie.**

AKTORZY:

- **grają przesadnie,**
- **wykrzywiają się, wrzeszczą (szczególnie w historycznych)**
- **trudno wymówić ich nazwiska,**
- **wszyscy są do siebie podobni, mylą nam się,**
- **nie można ani ich, ani filmów zapamiętać, i nic nam po tym nie zostaje.**

ZALETY:

- **piękny kolor i piękna fotografia, piękne aktorki, dziwność i egzotyka.**

Ale to nie wystarcza, by stworzyć film.

Tak twierdzi większość widzów. A nawet część krytyków. I chyba mają ciut-ciut racji. Ale...

Na przykład prasa francuska o filmie *Harakiri* (nagroda specjalna krytyki — Cannes 1962): „Gwałtowny, pełen okrutnych pasji. Prawdopodobnie jeden z **najpiękniejszych filmów jakie ludzkość stworzyła**, mimo wolnego tempa". O filmie *Naga wyspa* (I nagroda na festiwalu w Moskwie — 1961): „Wg jednych beznadziejnie nudne, wg innych **wstrząsające arcydzieło**. Kto ma rację? Jedni i drudzy?

FAKT: jeszcze dziesięć lat temu poza granicami Japonii nie słyszano



Na podstawie książki Shinobu i Marcela Giurglaris, różnych czasopism oraz z własnego oglądu opracował
FR. WELCZAR

o japońskim filmie. I oto nagle przed kilku laty Japonia zaczyna olśniewać jury międzynarodowych festiwali i kolekcjonować wielkie nagrody. W Cannes, Wenecji, Moskwie, Berlinie, Pradze itd. itp.

Sukces nagły i całkowity. A przecież jury, przyznające nagrody były zazwyczaj innych przekonań, innej kultury i rasy. Ludy Zachodu, twórcy współczesnych cywilizacji, dotychczas przekonane były głęboko iż jeden z ważnych wynalazków tejże cywilizacji — film, jest ich wyłączną domeną. Filmy powstałe gdzie indziej mogły być jedynie bladym odbiciem ich osiągnięć i konwencji.

I oto stanęły nagle przed filmem, który wynalazł nową estetykę, nowy sens koloru i fotografii, nową grę aktorów, słowem nowy kierunek rozwoju.

Wszystko to najbardziej zadziwiło samych Japończyków.

Tak, są największym światowym producentem filmowym. Ale w ich kraju film przestał dawno być „cudownym dzieckiem", a stał się raczej starcem, od którego niewiele już można żądać. Większość reżyserów nagradzanych filmów dawno nakręciła swój setny (!) film, a nierzadko kariera ich zaczynała się w czasach pierwszych filmów Chaplina.

Kilka dni po otrzymaniu przez „Rashomona" Złotego Lwa w Wenecji obraz ten powrócił na japońskie ekrany. Poprzednio nie miał on żadnego powodzenia i krytyka uznała, że jest „napuszony, niezrozumiały i fałszywy". Został zakwalifikowany w Japonii jako film kategorii B, i nawet nie polecono go szkołom.

Podobnie było z *Wrotami piekieł*. W Japonii nie został nawet sklasyfikowany w pierwszej dziesiątce filmów wyprodukowanych w r. 1954 (Złota Palma w Cannes!). Jedyną przyznawaną mu zaletą był kolor — „choć na podstawie tego filmu można by pomyśleć, że w Japonii istnieją tylko świty i zmroki". Krytyka pisała także: „Film jest jedynie złym, przeciągniętym w czasie melodramatem, nadzianym erotyzmem na użytek cudzoziemców". Różnice zdań pomiędzy opiniami krytyków japońskich a europejskich można by mnożyć.

Ciekawe jest jednak, że w latach kiedy japońskie filmy nie otrzymywały nagród, Japończycy wpadali w wielką złość. Odczuwali to jako fiasko.

Ale nie jako klęskę artystyczną! Lecz jako fiasko handlowe (tak!). Fiasko ich *polityki eksportowej*, polityki która stworzyła tajemnicę powodzenia japońskiego filmu na eksport.

W JAPONII bowiem film jest przede wszystkim przemysłem. Rozrywkowym, ale przemysłem — bardziej przypominającym w organizacji nawet przemysł stalowy, niż robienie filmów w innych krajach. Istnieje po to, by zarabiać pieniądze, podlega wahaniom życia ekonomicznego i podobnym imperatywom: zwiększanie liczby widzów i zdobywanie nowych rynków zbytu.

Japoński przemysł filmowy opanowany jest przez sześć wielkich grup: Shochiku, Toho, Shintoho, Toei, Nikkatsu i Daiei. Pięć pierwszych to olbrzymie trusty, posiadające własne studia, produkcję, system finansowania, reżyserów, techników, aktorów oraz... własne kina. Każda z tych pięciu wytwórni wypuszcza co tydzień, w sobotę nowy film. Taki film kosztuje średnio 18 do 25 milionów jenów. W ciągu miesiąca eksploatacji na wewnętrznym rynku przynosi średnio 50—70 milionów, co odliczywszy koszta produkcji i eksploatacji, daje ponad 100% zysku.

Inaczej wygląda sprawa z szóstą grupą — Daiei. Ona także produkuje co tydzień film, ale nie dysponuje już siecią dystrybucyjną i własnymi salami. Jest przede wszystkim producentem. Nie mając własnych sal, głównie producentem filmów przeznaczonych na eksport.

Najlepszym rynkiem zagranicznym dla japońskich filmów okazała się po wojnie Brazylia, Hawaje i w ogóle te kraje, gdzie istnieje japońska emigracja w drugim lub nawet trzecim pokoleniu. Daiei postanowiła zaspokoić potrzeby tej publiczności, produkując dzieła z pogranicza propagandy i marzenia.

Eksport ten przyniósł w roku 1947 **— 32 tys. dolarów, w 1948 — 152 tys.**, zaś w roku *1950* **— 283 tys. dolarów.**

Rok 1949—50 był dla Japonii rokiem katastrofalnym gospodarczo. Kraj stał u progu bankructwa i nędzy. Długi zagraniczne sięgały kilku miliardów jenów.

Idealnym rozwiązaniem dla poprawienia sytuacji ekonomicznej byłoby zdobycie filmowego rynku amerykańskiego, lecz to nie było łatwe. Należało wykorzystać doświadczenie filmów europejskich, ale nawet tym w latach pięćdziesiątych nie udało się zdobyć w pełni północnoamerykańskiego widza.

Przeprowadziwszy bardzo staranną analizę, Japończycy doszli do wniosku, że najłatwiej będzie im wtargnąć na rynek krajów Europy, a ściślej — państw łacińskich. Zadecydowali wówczas, że zajmą się w tym celu specjalnie filmami historyczno-kostiumowymi, pełnymi egzotyki i starej przerafinowanej kultury. Że zrobią filmy przeznaczone specjalnie na festiwale: w Wenecji i w Cannes.

Postawiwszy na łacińskie gusta, przygotowali filmy „na zamówienie". Dzieła te musiały podobać się „ludziom mającym słabość do tragedii, zakochanym w dawnych wiekach, dumnym ze swej kultury i zalet ducha." Dlatego to Japończycy z zasady rozgrywali te swoje filmy na tle starych świątyń i pałaców, ukazując skomplikowane konflikty uczuciowe księżniczek, rzuconych na pastwę dzikim i wojowniczym bohaterom.

Tak przygotowana firma Daiei wygrała już za pierwszym pociągnięciem. Wenecja i Cannes nagrodziły wysoko jej filmy, a w kilka miesięcy później zrobiła to i Ameryka. Odznaczenia festiwalowe otwarły Japonii dotąd zamknięty rynek amerykański.

Finansowo polityka ta okazała się opłacalna. W 1951 eksport filmowy przyniósł już 503 tys. dolarów, rok później 830 tys., zaś w roku 1955 osiągnął 3 miliony dolarów, czyniąc z Daiei największego podatnika w kraju.

Po sukcesie „Rashomona" większość filmów przedstawianych i nagrodzonych na festiwalach, a co za tym idzie wyświetlanych w Europie i Ameryce, wyprodukowała ta właśnie wytwórnia.

Filmy jej bardzo się różnią od towarów sprzedawanych na wewnętrznym rynku. Czy odbijają one prawdziwe oblicze produkcji tego kraju? Na pewno nie.

Na *kilkanaście* obrazów japońskich, wyświetlanych w Europie przypada 1900 filmów długometrażowych, stanowiących właściwą produkcję kraju w ciągu 5 lat.

Tak czy owak, te nagradzane na festiwalach „eksportówki", to jednak (mimo przytoczonych na wstępie przez nas zastrzeżeń) są to filmy WYBITNE, REWELACYJNE.

ZŁOTY WIEK filmu japońskiego rozpoczyna się w roku 1950. Jest to rok realizacji „Rashomona" przez największego reżysera japońskiego, Kurosawę Akira, a także rok powstania „Powrotu Carmen", pierwszego japońskiego filmu kolorowego, który nakręcił Kinoshita Keiruke.

W roku 1950 Japonia nawiązuje kontakt ze światem w dziedzinie ekonomii. Data ta oznacza koniec powojennej nędzy. Zbiory ryżu są dobre, i po raz pierwszy od czasów kapitulacji spadają ceny na czarnym rynku. Następuje stabilizacja jena, wzmaga się handel zagraniczny, produkcja przemysłowa wzrasta, osiągając poziom przedwojenny.

W 1950 pięć wielkich wytwórni produkuje 215 pełnometrażowych filmów. Co tydzień japońskie kina odwiedza 9 milionów widzów. Cztery lata później Japonia wypuści 370 filmów, zaś liczba widzów, odwiedzających kina w ciągu tygodnia, osiągnie 17 milionów.

Japonia produkuje obecnie dwa razy więcej filmów niż USA, zaś sześć razy więcej niż Francja. Rytm produkcji jest tak wielki, że musiano wydać przepis, zabraniający wyświetlania na jednym seansie więcej niż dwóch pełnometrażowych obrazów, nie licząc krótkiego metrażu oraz aktualności.

Fachowcy na całym świecie nie mogą się nadziwić taniości produkcji japońskiej. Ich film kosztuje kilkakrotnie mniej (czasem nawet wielokrotnie taniej), niż produkcja podobnego filmu w innym kraju. Różne są tej taniości przyczyny.

Najważniejsze jest chyba, że wytwórnie produkują filmy równomiernie, jednostajnie, tak jak stocznia produkuje okręty, czy fabryka lokomotywy.

Ponadto gospodarka jest oszczędna. Japoński film ulokował swoje studia poza miastem, na wsi, o 1—2 godzin drogi od centrum Tokio. Artyści, niezależnie od sławy, przybywają tam o ósmej rano. Rowerami, skuterami czy samochodami, najczęściej jednak autobusem wytwórni, który wyjeżdża po nich na stacje podmiejskiej kolejki.

Japonia stosunkowo niedawno rozbudowała swój przemysł samochodowy. Posiadanie *samochodu* jeszcze pięć lat temu było wielkim luksusem i raczej rzadkością. Większość filmowców nie posiadała sa-

mochodu, a jeśli nawet, były to seryjne wozy europejskie lub amerykańskie. Jeden tylko japoński aktor w latach pięćdziesiątych był posiadaczem Cadillaca. Posiadaczką drugiego eleganckiego samochodu wśród filmowców była wybitna i ogromnie popularna aktorka Kishi Keiko, obecnie żona francuskiego reżysera Yvesa Ciampi. I do dzisiaj zresztą większość japońskich pracowników filmu korzysta z miejskiej komunikacji. Japoński świat filmowy jest prosty i skromny.

Znalazłszy się na terenie studia, każdy z pracowników udaje się do swojej garderoby, biura, studia czy wreszcie sali przeznaczonej na poczekalnię statystów. Przebrawszy się i zdjąwszy buty, zasiada na ziemi na macie nad filiżanką zielonej herbaty, charakteryzując się lub powtarzając rolę. Jak w japońskiej szkole, godzina ta przeznaczona

FILMÓW

jest na skupienie i powtórkę przed rozpoczęciem właściwych zajęć. Wszyscy podlegają tej dyscyplinie.

O dziewiątej — dzwonek. Rozpoczyna się praca na planie. Cała obsługa techniczna jest na stanowisku. Pojawia się reżyser, sprawdza kostiumy, charakteryzacje, daje kilka wskazówek i rozpoczynają się zdjęcia.

Sposób, w jaki pracuje japońskie studio jest zaskakujący. Właściwe kręcenie jest ostatnim aktem długo przygotowywanej i starannie przemyślanej pracy. Plany uprzednio zaprojektowane nakręca się kolejno, nie zostawiając między nimi nawet kilku metrów taśmy na poprawki montażu. Stąd zapewne na filmie wrażenie, iż poszczególne sceny następują po sobie dość brutalnie. Daje to jednak poważne oszczędności taśmy. Faktem jest, iż w japońskim studio filmowym zużywa się 5—6 razy mniej taśmy niż w innych krajach. Dodawszy do tego technikę długich ujęć, otrzymamy pokaźne także zmniejszenie ilości godzin pracy, a co za tym idzie, kosztów.

ZAROBKI AKTORÓW i reżyserów trudno by było realnie przeliczyć z jenów na złotówki czy też na franki lub dolary. W każdym razie poza dziesięciu hipergwiazdami, opłacanymi szczególnie wysoko, zarobki wybitnych nawet artystów japońskich są normalnymi zarobkami ludzi zdolnych i pracowitych. Nie mają nic wspólnego z gigantycznymi, czasem obłąkanymi honorariami gwiazdorów amerykańskich, francuskich czy nawet włoskich.

Istnieją i drobne oszczędności w filmie japońskim. Na przykład charakteryzacja. Wszyscy aktorzy, nawet najwybitniejsi, charakteryzują się sami. Umiejętność ta wchodzi w zakres wymaganych kwalifikacji zawodowych, automatycznie likwidując potrzebę płacenia charakteryzatorów. Do wytwórni należy jedynie dostarczenie szminek i kremów.

Wreszcie skromnie opłacany jest w japońskim przemyśle filmowym personel techniczny i statyści.

Każda wytwórnia zatrudnia 700-800 stałych statystów, opłacanych miesięcznie. Jest ich kilka kategorii. Najniższy szczebel stanowią ci, którzy w filmach współczesnych grają przechodniów w deszczowych płaszczach, w historycznych zaś tworzą zbrojny tłum.

Następna kategoria to tzw. „karakami". Ci profesjonalnie ponoszą śmierć w pojedynku na szable, od sztyletu, skacząc z trzeciego piętra lub walcząc w judo. Aby występować jako „karakami", potrzeba przynajmniej pięciu lat ćwiczeń. Dobry specjalista zarabia tu nieźle.

Jeszcze wyższą kategorią statystów są „tateshi" — instruktorzy szabli, — którzy dublują głównego aktora. Średnio pracują w tym zawodzie ponad dwadzieścia lat. Każda wytwórnia zatrudnia kilku takich fachowców.

Natomiast skromnie opłacani są muzycy i kompozytorzy (przeważnie znakomici). Na komponowaniu do filmów nie można się dorobić.

Mimo to praca w filmie cieszy się dużym prestiżem, a dla młodzieży stanowi często nieosiągalny ideał. Otrzymać bowiem zajęcie w przemyśle filmowym nie jest rzeczą łatwą, trzeba zwycięsko przejść ostrą rekrutację i zdać szereg egzaminów konkursowych.

HISTORIA japońskiego filmu powinna składać się z następujących rozdziałów:

I. 1896 (tak!) — 1912: **narodziny** i okres pionierów,

II. 1912—20: pierwsze prawdziwe wytwórnie, poszukiwania stylu filmowego widowiska. Aby widz rozumiał filmy współczesne (nie-tradycyjne), w czasie wyświetlania treść ich wyjaśniał wesoły komentator: benshi, z wypomadowanym wąsem i olbrzymim kwiatem w butonierce. Przetrwali benshi do roku 1932, a więc już w okres filmu dźwiękowego,

III. 1920—32: **stworzenie potężnego przemysłu** filmowego,

IV. 1931—41: **film dźwiękowy,**

V. 1941—45: **wojna;** rozporządzenie dla producentów: *„Wszelkie filmy dotyczące szczęścia osobistego, wolności, lub chwalące miłość — są zakazane. Filmy powinny być pouczające, o wojnie, o wolnej Azji, o nienawiści do Anglii i Ameryki. o bliskim zwycięstwie."*

VI. 1945—49: **upadek produkcji** (okupacja amerykańska), wielka inwazja filmów z USA, potem europejskich, odrodzenie się filmu japońskiego, pierwsze filmy społeczno-demokratyczne (Kurosawa).

VII. 1950—: **złoty okres** filmu japońskiego, deszcz wspaniałych zasłużonych nagród na festiwalach międzynarodowych.

VIII. 1963: Kurosawa Akira otrzymuje od Przekroju Srebrnego Fafika

FILMY IMPORTOWANE uzupełniają w kinach japońskich produkcję krajową. Na wielką skalę jednak dopiero od 1945 roku.

Kiedy w sierpniu 45 wojska amerykańskie wylądowały w Japonii, przemysł filmowy praktycznie przestał tam istnieć. Amerykanie zabronili wszelkich filmów podsycających feudalizm, miłość wojny i bitew, nacjonalizm, militaryzm, kult zemsty. Narzucili nowe normy estetyczne, które nauczyć miały Japończyków demokracji.

Jeden z pierwszych sloganów, jaki poznała powojenna Japonia, brzmiał: „Film amerykański to kultura". Publiczność chodziła do kina nie tylko aby się rozerwać, lecz także by poznać „cudowny ustrój zwany amerykańską demokracją".

Amerykanie wychowywali zresztą Japończyków głównie przy pomocy erotyzmu i filmów kryminalnych. Oto charakterystyczne tytuły wyprodukowanych w tym kraju zaraz po wojnie obrazów: *Biblia płci młodej dziewczyny, Święta biblia mężatki, Zła dziewczyna, Czarny trujący kwiat* itp.

Dwieście amerykańskich filmów wyświetlano rocznie w tym kraju przez kolejnych siedem lat okupacji. Pierwsze amerykańskie filmy takie jak *Casablanca, Gasnący płomień, Klucze królestwa, Komu bije dzwon,* zdobyły wielkie powodzenie. Wśród 200 filmów były dobre, średnie lub nic nie warte, lecz sytuacja całkowitego prawie monopolu Ameryki utrzymała się aż do wybuchu wojny w Korei. W tym okresie przyszły filmy angielskie: *Hamlet, Henryk V* i inne. Adresowane do inteligencji, przynosiły wprawdzie mniejsze zyski niż amerykańskie, lecz wchodziły na ekran w chwili, gdy w Japonii zatwierdzono obowiązkowe nauczanie angielskiego, i to w angielskim a nie amerykańskim wydaniu.

Amerykańskie filmy oferowały wprawdzie proste, dla dzieci niemal zrozumiałe poglądy i wskazania, wymawiano im jednak fałszywe happy-endy, postaci zbyt bogate, sztuczne i oderwane od życia. Filmy angielskie przynosiły rozsądek, umiar. Były to najczęściej filmy psychologiczne.

Japonia jednak przypomniała sobie przyjemność, jaką są łzy w kinie, i nagle zainteresowała się smutną codziennością, której już nie przeżywała. Inaczej mówiąc, nastała moda włoskich filmów neorealistycznych. *Złodzieje rowerów, Dzieci ulicy, Rzym miasto otwarte, Żyć w pokoju* zdobyły wielki sukces. Film włoski, szczególnie zaś Vittorio de Sica, wywarł na japońskich reżyserach nie bagatelny wpływ.

W następnej kolejności na rynek weszli Francuzi. Przez dwa sezony rekordy popularności bił wśród reżyserów Andre Cayatte, a wśród aktorów Gerard Philipe i Michele Morgan, Martine Carol, Jean Gabin.

Jakie filmy zagraniczne podobają się, a jakie nie podobają się w Japonii?

Odpowiedź na to pytanie pasjonuje dystrybutorów, gdyż film cieszący się wielkim powodzeniem w Ameryce czy Europie może być nic nie wart na terenie Japonii, lub przeciwnie zdobywa nieoczekiwany, niespodziewany sukces.

Ogólnie rzecz biorąc, niezbędny jest dramat i okazja do płaczu. Film powinien się kończyć źle. Happy-end wcale nie jest przyjmowany z radością. Natomiast z reguły oburzenie wywołuje obcy film, ukazujący Japonię czy japońskich aktorów. Na tego rodzaju gniew ludowy narażają się zresztą najczęściej Amerykanie.

Tak więc filmy zagraniczne, wychowawszy sobie pokaźne liczbą grono odbiorców, uzupełniają bogatą produkcję krajową. Od czasu jednak gdy Japończycy zaczęli zdobywać międzynarodowe nagrody, uznali oni, że poziom krajowej produkcji nie jest haňbiący i że dobrze urodzony Japończyk może bez ujmy obejrzeć japoński film.

W OBECNEJ PRODUKCJI japońskiej znaleźć można wszystko:



Typowa scena z filmu współczesnego: młode szczęśliwe małżeństwo. Film „Ładny rok"

SŁAWNE FILMY JAPOŃSKIE WYŚWIETLANE NA NASZYCH EKRANACH

PIJANY ANIOŁ. Reż. Kurosawa Akira. W Japonii, tuż po wojnie, mieszkańcom ubogiej dzielnicy wielkiego miasta ...i gangsterom, niesie pomoc lekarz-filantrop, alkoholik... *Film uznany za najlepszy japoński roku 1948.* Znakomity, wstrząsający.

RASHOMON. Reż. Kurosawa. Jeden z najoryginalniejszych i najświetniejszych konstrukcyjnie filmów ostatnich lat! Za dawnych czasów, w Japonii, pewien drwal znajduje w lesie kapelusz damski, sznur i ciało zabitego podróżnika. To stanowi punkt wyjścia do czterech opowieści, które krwawą zbrodnię dokonaną na mężu pięknej kobiety rekonstruują z czterech różnych punktów widzenia; to samo zdarzenie oglądamy wg opowieści drwala, bandyty, żony i... ducha zamordowanego. *Grand Prix w Wenecji 1951, Oscar dla najlepszego filmu zagranicznego na ekranach USA w roku 1952.*

POŁAWIACZE KRABÓW. Scenariusz, reżyseria, rola główna: Satoru Jamamura. Obraz nieludzkich stosunków na japońskim statku-fabryce konserw. Potworne warunki pracy powodują bunt rybaków... *(Produkcja: 1953)*

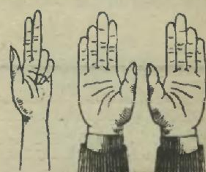
WROTA PIEKIEŁ. Reż. Nagata Masaichi. Olśniewająca pięknem barw i bogactwem kostiumów historia samurajska z XII wieku. Tragicznie zakończona opowieść o rycerzu, który szaleje z miłości do pięknej i wiernej żony arystokraty. Umierając, rycerz wypowiada ponury morał filmu: „A ja nieszczęsny sądziłem, że można siłą posiąść czyjeś serce!...". Śliczna, 21-letnia Mashiko Kio w roli, która przyniosła jej światową sławę! *Grand Prix w Cannes 1954.*

SIEDMIU SAMURAJÓW. Reż. Kurosawa. Tym razem samurajowie zubożali, bez środków do życia. Do nich to zwraca się starszyzna pewnej wioski z prośbą o pomoc przeciw gnębiącym ich bandytom. Samurajom nie w smak iść w służbę do chłopów, ale — ostatecznie wojowanie to ich zawód! Podejmują się obrony wioski. Początkowo ich współżycie z mieszkańcami układa się jak najgorzej, potem jednak samurajowie swą odwagą i mądrością zyskują szacunek i sympatię. Bandyci są pokonani, pozostali przy życiu samurajowie odchodzą w chwale, ale gorzko mówią: „Prawdziwymi zwycięzcami są wieśniacy. Im pozostała ziemia!". *Srebrny Lew w Wenecji 1954.*

TRON WE KRWI. Reż. Kurosawa. Na wątkach Makbeta. Dziwnie i przerażająco wygląda szekspirowska tragedia w egzotycznej samurajskiej scenerii. Sporo brutalnych efektów, sceny agonii mordowanych przedstawione z szokującym realizmem, ale — przemyślane bardzo dokładnie pod kątem kompozycji plastycznej. Wszystko rozegrane w szarym, mglistym plenerze lub w zaciemnionych, ciemnych salach zamków samurajskich. Nastrój! *(Produkcja: 1957)*

ZŁY ŚPI SPOKOJNIE. Reż. Kurosawa. Specjalista od filmów kostiumowych, tutaj prowadzi rozrachunki z Japonią dzisiejszą. Afery łapówkarskie w potężnych firmach budowlanych, skandale sięgające ministrów, kodeks moralny wg którego „przełożonych nie wolno krytykować. Raczej popełnić samobójstwo!"... W tym świecie zjawia się — niczym w antycznej tragedii — postać mściciela usiłującego zniszczyć ludzi, którzy zamordowali mu ojca. Kryminał pełen pasji! *(Produkcja: 1961)*

STRAŻ PRZYBOCZNA. Reż. Kurosawa Akira. Jeszcze raz w swej ulubionej scenerii i klimacie. Do miasteczka, w którym rywalizują ze sobą dwie bandy, przybywa wędrujący samuraj. Ofiarowuje swe usługi przywódcom obu band,



a ponieważ jest znakomitym szermierzem, obie bandy starają się go pozyskać... Po zabójstwach, gwałtach, porwaniach, szantażach i podpaleniach, w które obfituje film, obie bandy wybijają się wzajemnie, przy życiu pozostaje właściwie tylko on: samuraj. Gra go Toshiro Mifune *(nagroda za najlepszą rolę męską w Wenecji 1961).*

NAGA WYSPA. Reż. Kaneto Shindo. Słynny, bezdialogowy film z piękną ilustracją muzyczną. Na maleńkiej, nieurodzajnej wyspie żyją wieśniacy: mąż, żona i dwoje ich synków. Nędzna wegetacja jest tu szczególnie utrudniona w czasie suszy: aby uchronić ryż trzeba stale dowozić łodzią a potem donosić na plecach wodę... Tragizm losu. Walka z przyrodą. Poetyka spleciona z filozofią, jak to często bywa w dziełach wybitnych, wieloznaczna. *Grand Prix w Moskwie 1961.* Jakżeż słuszne!

melodramat i neorealizm, film historyczny, kostiumowy, pornograficzny, pacyfistyczny, wojenny i społeczny.

Twórcami filmów są zarówno nowatorscy i oryginalni reżyserzy, jak i seryjni powielacze cudzych pomysłów. Prawie niemożliwe jest sklasyfikowanie tej produkcji w zależności od jej tendencji. Trudno także mówić o stylu poszczególnej wytwórni. Gdy jakiś obraz zdobywa powodzenie, jest on natychmiast naśladowany przez konkurencyjną wytwórnię, która nakręca film o podobnym temacie i tytule. Zdarzały się nawet wypadki, że konkurencyjna firma odkupywała reżysera, aby naśladował samego siebie, imitując dzieło, jakie uprzednio nakręcił.

Zasada ta dotyczy nie tylko filmów japońskich ale i zagranicznych. Zamiłowanie do imitacji nie jest niestety cechą ściśle japońską. Ale tutaj nie uważa się tego za nieuczciwość czy nawet za cynizm. Naśladowanie jest synonimem zachwytu, podziwu. Nikt nie naśladuje tego, co uważa za kiepskie.

Również prawie niemożliwe jest ocenianie filmu japońskiego poprzez osoby najwybitniejszych reżyserów. Oczywiście na czoło wysuwa się rewelacyjny Kurosawa. Ale reżyserów jest bardzo wielu, a niektórzy z nich wyprodukowali ponad dwieście filmów, pracowali w najróżniejszych politycznie warunkach, tworzyli filmy najprzeróżniejszych rodzajów artystycznych i komercyjnych.

Japończycy nie wytworzyli jednego tylko gatunku: filmu rozrywkowego, lekkiego i humorystycznego. Lukę tę od dziesięcioleci zapełniać musi film zagraniczny.

WIDZOWIE dzielą bardzo wyraźnie film historyczny od współczesnego. Aby poznać film historyczny, wystarczy spojrzeć na ubrania aktorów. Jeśli nikt nie nosi spodni i swetrów, to znaczy że film jest historyczny. Należy jeszcze obejrzeć fryzury męskich postaci. Przed rokiem 1871 samuraje nosili fryzurę, która odsłaniała czoło i ciemię, oraz warkocz na tyle głowy. Ponadto szable. Jedną z pierwszych decyzji administracyjnych cesarza Mutsuhito był właśnie rozkaz obcięcia włosów i zakaz noszenia broni.

HISTORYCZNE filmy czerpią z repertuaru tradycyjnego teatru kabouki, przypominają czasy, kiedy nie pisano poematów dla kobiet, lecz poetyckie westchnienia adresowane do natury, księżyca, ptaków i owadów. Ich bohaterami są wyłącznie mężczyźni. Dla przykładu przytoczymy, iż bohaterów głównych ról w 91 wyprodukowanych w ciągu roku filmach historycznych podzielić można na: samurajów, szefów klanu (76 filmów), szermierzy (23 filmy), młodych graczy i zawadiaków (27 filmów), policjantów (12 filmów).

Kobiety odgrywają zazwyczaj role drugorzędne, które dawniej w teatrze odtwarzali mężczyźni, uzupełniane i poszerzane w filmach przeznaczonych na eksport. Jeśli trochę ważniejsze, są to zazwyczaj role gejsz lub służących (24 filmy), żon możnowładców (13), kupców (8), bandytów (3), krzywdzonych wdów (4), młodych dziewcząt (2).



Głównymi tematami filmów historycznych jest zemsta panów, chciwość możnych, poszukiwanie prawego potomstwa, obrona wdów i sierot, życie wielkich ludzi, walka klanów i wreszcie historie rozbójników, którymi zazwyczaj rządzi kobieta.

Po zawiłym początku, w którym z trudnością rozróżniamy poszczególnych bohaterów, następuje zbrojne starcie, eliminujące drugorzędne postacie. Walka ta nie jest jednak ostateczna i niebawem pojawia się prawdziwy wróg głównego bohatera. Jeśli ten jest dobry — zwycięży. Jeśli jest zły, po osiągnięciu pewnych sukcesów zostanie zniszczony przez sprawiedliwego obrońcę społeczeństwa. Wszystko zakończy rozumiany na japoński sposób „happy-end". Szable odłożone zostaną dopiero po zakończeniu walk o szczęście społeczne, na planie zaś pozostanie kilka trupów.

Wariant kobiecy to historia miłości przedstawicieli różnych klas społecznych, albo przypowieść o życiu gejszy. Zazwyczaj są to rzewne opowieści, które mają finał zgodny ze społecznym interesem. — Gejsza skończy jako prostytutka, nielegalni kochankowie zostaną ukarani lub rozdzieleni, zaś ewentualna postać szlachetnego wyniesiona niemal na ołtarze.

Zdjęcia w tych filmach — zawsze niezwykle piękne — pełne są subtelnych kontrastów, pejzaży przedstawiających Fudżijamę i aleje sosnowe. Ważnym elementem krajobrazu jest księżyc. W każdym z tych filmów znaleźć można scenę pojedynku, rozegranego w półmroku w ogrodzie na tle płaczącej wierzby.

Tempo filmów historycznych jest stosunkowo szybkie (tak!). W każadym razie dużo szybsze niż w filmach współczesnych (!). Czas ma w nich bowiem nieco inną wartość.

W obrazach tych pełno symboli. Drewniane sandały przed domem oznaczają gości, charakteryzacja aktora pokazuje czy jest on dobry czy zły, filiżanka herbaty w pewnym ujęciu oznaczać może truciznę, maleńka różnica w ściśle skodyfikowanym zachowaniu ukazuje często stan ducha postaci. Podobnie symboliczna bywa muzyka: śpiew kirigrisu (rodzaj świerszcza) oznacza jesień, konik polny — lato itp. Równie ważną rolę odgrywa mgła, z której zwykle wyłaniają się duchy. Można by cytować tysiące podobnych konwencji nawiązujących do konwencji teatralnych, które Japończycy znają od pokoleń.

Ciekawe, że żadne z nich nie przedostały się do filmu współczesnego, adresowanego przecież do tej samej publiczności. Skąd te różnice? W filmie współczesnym trzeba powiedzieć wszystko, gdyż nie wytworzono jeszcze powszechnie przyjętych konwencji, a średni widz japoński nie zrozumie nic, jeśli mu się tego *dokładnie* nie wytłumaczy.

Ważna jest również ogólna atmosfera. Filmy popularne powinny wyciskać łzy. Istnieją na to przepisy. W obrazach historycznych są one proste i dobrze znane. Najlepszym jest ukazanie płaczu bohaterów mężczyzn.

WSPÓŁCZESNĘ filmy japońskie są na Zachodzie jeszcze mniej znane niż historyczne. Szkoda, gdyż stanowią one *główną i przeważającą* produkcję kraju. Pozbawione „eksportowego egzotyzmu", wyraźniej niż historyczne ukazują prawdziwe oblicze współczesnej Japonii. Zazwyczaj utrzymane w stylu realistycznym, są dużo bliższe życia niż literatury. Produkcja ta składa się ze współczesnych melodramatów, filmów sportowych, kryminalnych, miłosnych czy komedii muzycznych.

Trzy czwarte ich rozgrywa się w Tokio lub na jego przedmieściu! Rzadko na wsi lub w prowincjonalnych miastach, bardzo zaś rzadko poza granicami kraju.

Odwrotnie niż w filmach historycznych bohaterkami są najczęściej kobiety. Na 183 filmy współczesne wyprodukowane w ciągu roku bohaterkami są: młode dziewczyny (76), młode gejsze (26), młode urzędniczki (17), młode mężatki (23), tancerki kabaretowe (13), studentki (18), matki rodzin (10). W tych samych filmach postacie męskie to: młodzi urzędnicy (50), szefowie przedsiębiorstw (15), studenci (34), nauczyciele (10), artyści (9), dziennikarze (8).

Można zatem powiedzieć, że filmy współczesne przeznaczone są przede wszystkim dla młodych i to dla *młodych mieszkańców miast*. Nic w tym dziwnego. Na 89 milionów Japończyków około 65 milionów to ludzie, którzy nie ukończyli 35 roku życia, a 50 milionów żyje w wielkich skupiskach miejskich.

Ulubionymi tematami współczesnego filmu są konflikt pomiędzy pokoleniem przed- i powojennym, nędza, monografie rodzin, stosunki z Amerykanami, różnice w poziomie życia robotników i burżuazji, wojenne historie walk na Pacyfiku (bądź wychwalające bohaterstwo japońskich żołnierzy, bądź gwałtownie antymilitarystyczne), konflikt miasta i wsi.

Najostrzejsze i najbardziej postępowe społecznie filmy produkują zresztą nie wielkie wytwórnie, lecz niezależni producenci, którymi nierzadko bywają związki zawodowe. One to podjęły głównie tematykę wojny atomowej. Na przykład sprawie rybaków — ofiar próbnych eksplozji na wyspach Bikini, w ciągu kilku miesięcy poświęcono parę wybitnych filmów. Między innymi Kurosawa Akira nakręcił film *Żyć w strachu*. „Film ten — oświadczył reżyser — mówi wprawdzie o lęku przed bombami termonuklearnymi, nie chciałem w nim jednak wykorzystywać tylko elementów sensacji. Ukazując japońskiego starca, którego terroryzuje strach, chciałem zmusić ludzi do zastanowienia się nad problemem. Wojna atomowa stanowi zagrożenie dla wszystkich, ale większość ludzi o tym nie myśli. Zapewne właśnie dlatego, że jej groza jest zbyt wielka. Słabość i głupota skłania nas do świadomego omijania tego problemu".

Filmy niezależnych producentów są często słabsze technicznie niż filmy wielkich wytwórni. Przeznaczone w pierwszym rzędzie dla publiczności złożonej z młodzieży i związkowców, są jednak bliższe życia, prawdziwsze i mają większą siłę przekonywania niż filmy komercjalne.

CZY PRZECZYTANIE POWYŻSZYCH rozważań przekona Was do filmu japońskiego? Mój znajomy, którego śmiertelnie nudzili klasycy muzyki, zainteresował się przekrojową akcją *Pokochaj Bacha, Haendla, Haydna, Mozarta!* Mając 53 lata, w ciągu paru tygodni zdobył 40 płyt, i słucha ich po pięć godzin dziennie. Wprawdzie jego żona nie wytrzymuje nerwowo, i stoi przez ten czas (nawet na deszczu i mrozie) na ulicy, on przedłuża często audycje. Życzę wam, aby i Wam to się przytrafiło z filmem japońskim.

FRANCISZEK WELCZAR



— Jaką szybkość pan lubi: 33 czy 45 obrotów?

BEETHOVENA Ludwika dwie sonaty wydane pt. MUZYKA KAMERALNA, wg nagrania „Electrorecord", który jest w Rumunii tym, czym u nas „*Muza* — Polskie nagrania".

Grają: Radu Aldulescu na wiolonczeli i Carlo Zecchi na fortepianie. Sonaty piękne, wykonawcy wybitni. Niestety wiolonczela nagrana jest tak cicho, że w delikatnych pianach prawie jej nie słychać. W *całości przeważa*, i to znacznie, fortepian. Ciche nagranie wiolonczeli zburzyło tę piękną równowagę instrumentów, którą muszą mieć takie sonaty, by były pełne blasku i uroku. Muzyki kameralnej u nas na lekarstwo.

A kulturę muzyczną kraju mierzy się właśnie muzyką *kameralną*: ilością koncertów, sprzedanych płyt, zespolików amatorskich muzykujących. Jakie zaszczytne miejsce zajęłaby nasza piękna ojczyzna w takiej klasyfikacji?! Tym bardziej martwi, że płyta z sonatami, jest z przyczyn nagraniowych, dość odległa od doskonałości (sonaty Op. 5 nr 2 oraz *tu błąd na naklejce!*, Op 69 nr 3 — Muza XL 0151, 30 cm, 80 *zł*).

Przypominamy, że długograje są znakomitym prezentem gwiazdkowym dla adapteroposiadaczy. Na przykład po 80 zł: Czerny-Stefańska grająca koncerty Beethovena i Griega (Muza XL 0107), Richter—Mozarta (MEX-3), Smendzianka — Mozarta i Bacha (XL 0115), superprezent za 320 zł, to „Mesjasz" Haendla (całe oratorium na 4 płytach po 30 cm) i inne.



Kto uszył buty Karolince?

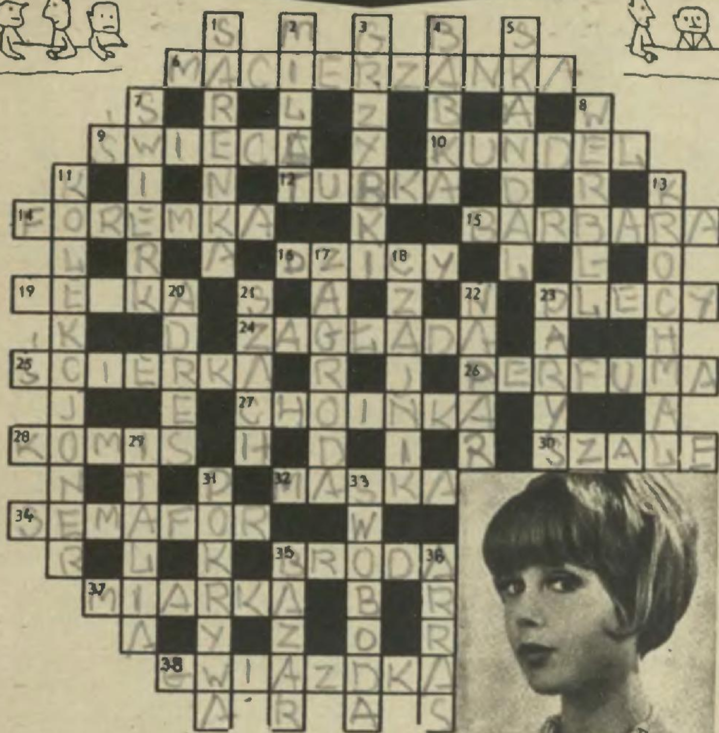
(q) Czy zastanawialiście się kiedyś, skąd się biorą buty z podkówkami, w których wybijają hołubce tancerze „Mazowsza", albo gorsety w których występują Ślązaczki? Kto uszył kostiumy dla gdańskich mieszczek z filmu „Panienka z okienka" i kto dostarczył fraków i mundurów, w których prowadzą nocne życie bohaterowie „Pamiętnika pani Hanki"?

Największym producentem tych rzeczy w Polsce jest **COPIA** czyli Centrala Obsługi Przedsiębiorstw i Instytucji Artystycznych. Wykonuje wąsy i peruki, baletki (dzielą się na baletki klasyczne i plastyczne), kostiumy ludowe i kostiumy historyczne. Zaopatruje Mazowsze i Śląsk, dostarczyła według projektów Uniechowskiego pięknych fin-de siecle'owych strojów dla filmu „Mansarda", teraz właśnie pracuje dla „Rękopisu znalezionego w Saragossie". Odbiorcami COPIA są teatry, opery, zespoły filmowe, domy kultury, szkoły baletowe, muzea, najrozmaitsze zespoły artystyczne, organizacje społeczne. Wykonawcami — doskonali fachowcy pracujący na podstawie wzorów muzealnych lub projektów znanych plastyków.

KRZYŻÓWKA z KOCIAKIEM
to rozrywka zdrowa i tania









POZIOMO:

6 pachnące ziółko wzmacniające lub do kąpania dzieci, także na wsi środek do wyparzania garnków na zsiadłe mleko
9 do mierzenia żarówek
10 pies mądrala
12 do wyciskania
14 na babeczkę
15 żona Stanisława Gasztołda, potem Z. Augustowa
16 chuligany
19 ratunku i czapli
23 część ciała do poparcia
24 kompletne zniszczenie
25 ręcznik garnuszków
26 w flakonikach z Poznania
27 zielone aktualne
28 ƧIMOꓘ od wnętrza
30 naszyjniki
32 nieruchoma twarz
34 znak drogowy przy podkładach na których stalowe te co wiecie
35 do golenia
37 do uzbierania ziarnek
38 prezenty aktualne!!

PIONOWO:

1 zgrabna w lesie
2 Makaryn z Cedetu, a Tales do rymu
3 marynowane smaczne
4 świąteczna z formy
5 sprawa Christine Keeler
7 chłopiec jodełki
8 mały bęben i to co na nim
11 zbierający
13 usztywniający
17 wiejskie obejście
18 śpiewa w kuchni
20 kierunkowskaz dla listonosza
21 pogróżka wieży pod adresem króla
22 zalane ziółka
23 przyznał nagrodę (złotego?) jabłka na konkursie w lasku Ida
29 Włochy po włosku
31 beret garnka
33 możność postępowania wg swojej woli, także prostota, naturalność np. w zachowaniu
35 kupić nie kupić na wolnym powietrzu
36 najdroższa tkanina dekoracyjna często przetykana złotą i srebrną nitką, oczywiście zabytkowa



Pomiędzy czytelników, którzy nadeślą poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli, 29 grudnia — zostanie rozlosowanych 5 paczek (po 100 zł każda!) Fabryki Kosmetyków „Lechia" oraz 20 nagród książkowych.

Rozwiązanie krzyżówki prosimy nadsyłać do Redakcji Przekroju, Kraków, skr. pocztowa 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka świąteczna".

Za rozwiązanie krzyżówki z nru 973 nagrody-paczki kosmetyczne poznańskiej fabryki kosmetyków Lechia otrzymują: Irena Lenarczyk z Łodzi, Elżbieta Białasik z Szamotuł, Antoni Białoskórki z Kędzierzyna, Grażyna Grądman-Chlewińska z Warszawy, Kazimiera Hołda z Drewnicy. Książki: Wanda Misiołkowa z Sanoka, Stanisław Landowski z Więcborka, Elżbieta Gellerówna z Katowic, Stefania Mariańska z Torunia, Jadwiga Beyer z Zakopanego, Leopold Wierzbowski z Kiecka, Mieczysława Brzezińska z Krakowa, Janina Olszańska z Gliwic, Wanda Wiszniewska z Warszawy, Henryk Markowicz z Iwonicza Zdroju.

Rozwiązanie krzyżówki z nru 973



Listy o filmie

„ZACMIENIE"
Intrygujący film Antonioniego

Moi Drodzy!

Trzy sławne filmy Antonioniego: „Przygoda", „Noc" i „Zaćmienie", to tryptyk, który już w tej chwili stanowi ważny rozdział w historii kinematografii. Michelangelo Antonioni, dziwny Włoch pracujący w filmie przez lat 20, i prawie poza swym krajem nieznany, nagle w roku 1960 zyskał „Przygodą" światową popularność i pozycję sztandarowej postaci nowoczesnego kina. Pozostał jednak nadal... niezupełnie zrozumiały.

Albo raczej — wieloznaczny! Jego dzieła zawierają taki ładunek intelektualny, niemal filozoficzny nawet, że próby ich różnorakiego interpretowania podejmowane są nie tylko przez krytykę filmową. Są to filmy niepokojące. Prowokują do dyskusji i analiz, do sprzeciwu lub akceptacji postawy artystycznej i życiowej ich twórcy, dość trudnej zresztą do rozszyfrowania.

Poznaliśmy na naszych ekranach „Przygodę", niestety nie zakupiliśmy bodajże najlepszej „Nocy" (dlaczego?). Obecnie oglądamy trzecią część tryptyku. Tryptyku nie związanego zresztą wspólną akcją czy wspólnymi bohaterami. Złączonego w zasadzie tylko podobnym nastrojem i udziałem tej samej aktorki, Moniki Vitti, odtwarzającej kolejne — raczej zdaniem krytyki niż samego Antonioniego — wcielenia tej samej kobiety. Z każdym filmem bardziej dojrzałej i bardziej tragicznej.

„Zaćmienie" (L'Eclipse) to opowiedziana w znanej już z „Przygody", poetyckiej, nastrojowej, ubogiej w słowa dialogu konwencji, historia Vittorii. Pięknej, młodej kobiety, która porzuca obojętnego jej kochanka („Chciałabym nie kochać cię wcale, albo — kochać cię mocniej") i przeżywa inną aferę miłosną z trochę cynicznym, przystojnym agentem giełdowym. Ale i ten związek przynosi jej rozczarowanie zamiast szczęścia. Oboje, Vittoria i Piero odczuwają uciążliwość tej znajomości. Postanawiają spróbować raz jeszcze, od początku. Umawiają się znowu, lecz — na spotkanie nie przychodzi już żadne z nich.

Taka jest akcja. Co jednak ma wyrażać?

Ciekawe jest porównanie różnych interpretacji „Zaćmienia". Przytaczam kilka przykładów.

Włoski filozof Enzo Paci: „Zasadą konstrukcyjną filmów Antonioniego jest to, co w innych filmach było dotychczas zagadnieniem marginesowym — stopniowy zanik (zaćmienie) porozumienia między bohaterami filmu. Ich przekształcanie się w stosunku do siebie w przedmioty. W „Zaćmieniu" pod koniec nie widzimy już osób. Piero i Vittoria nie przychodzą na umówione spotkanie. Zostają tam tylko rzeczy: jakiś kawałek drewna, pudełko zapałek...".

Nasz znany krytyk, Aleksander Jackiewicz: „Wszystkie trzy filmy są jednym wielkim traktatem o umieraniu. W „Przygodzie" zjawia się jeszcze nadzieja na życie. Claudia czyni rozpaczliwe wysiłki wydarcia się klęsce. W „Nocy" nadziei już nie ma. W „Zaćmieniu" jest sama śmierć... Dopiero w trzecim wcieleniu bohaterka tryptyku jest w pełni świadoma. Nie niezdolności kochania, nie niezdolności do szczęścia lecz właśnie końca wszystkiego."

Zaskakująco w tym zestawieniu brzmi *wypowiedź samego Antonioniego:* „Zaćmienie" jest filmem optymistycznym, ponieważ moi bohaterowie są ludźmi wolnymi — spotykają się, podobają się sobie, kochają się, a później rozstają całkowicie z własnej woli, bez przymusu ze strony społeczeństwa. Robią po prostu to, co w danej chwili wydaje im się najbardziej słuszne... Doszukiwanie się w moich filmach „niemożliwości porozumienia się" bohaterów, to oczywiście nieporozumienie."

A jednak, sądzę, że to właśnie Antonioni źle odczytuje własne dzieło. Przeciw jego interpretacji przemawia ogólna atmosfera filmu: ponura, pełna niepokoju, celowo jednostajna, aby tym silniej krzyczało do widza kilka gwałtownych, jaskrawo potraktowanych scen (szaleństwa giełdy pokazane arcy-dynamicznie, dziki taniec Vittorii itd.). Przemawia też przeciw temu finał. Wstrząsająco smutna, przygnębiająca sekwencja owego niedoszłego spotkania, kiedy to „nie ma już osób, pozostały tylko rzeczy."

Aktorzy? Monica Vitti jak zawsze intryguje piękną, niemal nieruchomą twarzą. Jej partnerem jest skontrastowany z nią — żywy, ruchliwy Alain Delon. Produkcja włosko-francuska, rok 1962 (w tym samym roku Nagroda Specjalna Jury w Cannes).

To na pewno obraz, który każdy prawdziwy miłośnik filmu powinien obejrzeć! A tych, co nie mogli strawić konwencji artystycznej „Przygody", zapewniam, że „Zaćmienie" jest znacznie bardziej komunikatywne, łatwiejsze w odbiorze.

Aleksandra





Do i od Redakcji

PODWÓJNA RADOŚĆ

Szanowna Redakcjo!

Z satysfakcją przeczytałam o tym, że byli jeńcy Murnau dotrzymali słowa (P. 971) i że z ich dobrowolnych składek wybudowano szkołę w Miechowie. Ucieszyło mnie to po pierwsze dlatego, że jestem rodowitą miechowianką i miło pomyśleć, że w moim mieście stoi tak doskonale i nowocześnie wyposażona szkoła, ale także dlatego, że i ja mam chyba swoją cegiełkę w tej budowli.

Całą okupację pracowałam w PCK, oddział Miechów, organizowałam i wysyłałam paczki dla jeńców w Murnau. Byłam inicjatorką i wykonawczynią zapiekania wiadomości w pieczywie, wtapiałam witaminę C w smalec, aby „naszych chłopców" jak nazywaliśmy wtedy jeńców w Murnau, ustrzec przed szkorbutem.

Byłam wtedy młodą dziewczyną i całą energię wkładałam właśnie w tę akcję, pracowaliśmy nieraz po 24 godziny na dobę.

Piszę dziś o tym dlatego, że niezależnie od wielkiej, szczerej radości z tej szkoły, odczuwam także trochę żalu, że zapomniano o nas, o tych pracownikach ówczesnego miechowskiego PCK, którzy przecież bezpośrednio przyczynili się do tego, co dało obecnie tak piękny rezultat. Można było przecież zawiadomić nas, choćby przez prasę, że taka uroczystość się odbędzie. Można było tych kilku pracowników zaprosić na otwarcie szkoły. Byłby to ładny gest i najprzyjemniejsza rekompensata za naszą pracę.

Marta Budzińska-Wojtowicz, Chorzów

POLA Z PRZYJACIELEM (dziwnym!)

Drogi Przekroju!

Przeczytałem w P. 971 o powrocie Poli Negri na ekran. I zresztą nie tylko w Przekroju, bo przecież cała prasa podała tę wiadomość jako niewątpliwą sensację w świecie filmowym. Nasza 69-letnia rodaczka znów znalazła się na szpaltach tygodników i — trzeba przyznać — że możemy być z niej dumni. Imponuje wyglądem i fantazją! Załączam jej zdjęcie, które wyciąłem z jakiegoś włoskiego tygodnika. Przedstawia Polę Negri podczas pobytu w Londynie: Pola na spacerze ze swym przyjacielem. Przyjaciel taki trochę niezwykły. No nie?

Janusz Artecki, Gdańsk.

Biografia na ulicy

(rog) Prawie 500 ulic warszawskich, które wzięły nazwę od nazwisk, otrzyma coś w rodzaju „aneksu biograficznego". Niebieskie tabliczki, 30 X 12 cm, będą zawierać odpowiednie dane. Np. ulica Matejki: kto zacz, kiedy się urodził, kiedy zmarł etc. Jak nas informuje Walentyna Falkowska z wydziału architektury nadzoru budowlanego i geodezji, tabliczki (umieszczone tuż pod tablicą z nazwą ulicy) zostaną zainstalowane w ciągu najbliższych 6 miesięcy.

Ciotka Minkiewicza

(rog) Janusz Minkiewicz i Kazimierz Winkler przy współpracy Władysława Szpilmana przerobili na komedię muzyczną, zabawną komediofarsę angielskiego autora Thomasa Brandona pt. „Ciotka Karola" (opartą m. in. na przebierance mężczyzny za kobietę). W sztuce tej — jako ciotka Karola — święcił przed wojną sukcesy na scenie Wielkiej Rewii — Eugeniusz Bodo.

FIRMOWA MIESZANKA

Głowy na wystawie

(z) Przez parę lat na łamach „Życia Literackiego" Ryszard Kosiński drukował cykl felietonów o znanych, popularnych mieszkańcach Krakowa. Zdjęcia do tego cyklu „Głów podwawelskich" wykonał Jerzy Borowiec, który obecnie urządził z tych prac wystawę portretu fotograficznego.

Wystawę „Głów podwawelskich" Borowca eksponowano w Nowej Hucie, teraz jest w Zakopanem.

Upadek Kaliny

(rog) Upadek z wielbłąda jaki zdarzył się Kalinie Jędrusik w czasie pozowania do zdjęć fotoreporterowi okazał się w skutkach bardziej fatalny niż przypuszczano. Na skutek skomplikowanego złamania, prawa ręka aktorki była w ciągu tygodnia trzykrotnie składana. Ręka pozostanie w gipsie przez 5 tygodni.

DEMOKRATYCZNY SAVOIR VIVRE W ODCINKACH opracował Jan Kamyczek

WŁADYSŁAWA w Sopocie. „Twierdzę, że pierwsza kłania się na ulicy, kobiecie samotnej, kobieta idąca w towarzystwie. Koledzy są przeciwnego zdania. Założyliśmy się". — Wygrała pani, jeśli mieliście na myśli towarzystwo męskie albo mieszane, bo jeśli same kobiety, może być różnie. A najlepiej zawsze kłaniać się pierwszemu na ochotnika.

BARBARA. „Co sądzić o człowieku (właściciel samochodu), który proszony przeze mnie by w drodze wziął ułomną kobietę, odmówił. Drugi raz na wycieczce, gdy słońce prażyło i było nas w aucie tylko troje, prosiłam znów żeby się zatrzymał i zabrał staruszkę. Na to on: „jak zrobię komuś dobrze, to zaraz mnie coś złego spotka". I pojechaliśmy dalej. Byłam przerażona, gdyż nie natknęłam się jeszcze w życiu na taką odpowiedź. Jak się do niego ustosunkować?". — Nikt nie lubi być nakłaniany do uczynności przez trzecią osobę. Obie zaś zainteresowane, o ile zrozumiałem, nie prosiły o podwiezienie. Wobec tego nie widzę problemu. Odpowiedział ni w pięć ni w dziewięć, ale kierowcy także rzeczowo usprawiedliwiają niechęć do podwożenia: nawet podwożąc kogoś bezinteresownie, w razie wypadku kierowca odpowiada za nieumyślne zabójstwo czy skaleczenie pasażerów, a więc grozi mu więzienie, płacenie renty za pozbawienie zdolności do pracy (ponad ubezpieczenie obowiązkowe) itepe. To jest ryzyko pracy zawodowego kierowcy, ale nie chce go ponosić kierowca prywatny w stosunku do osób obcych.

RYS w Łodzi. „Razi mnie sposób zachowania się dyrektora i jego zastępców, a naśladują ich już i kierownicy i niektórzy pracownicy, uważając, że tamtych maniery należą do dobrego tonu. Oto one. Rozmowy, konferencje, prowadzi się nie wyjmując z ust papierosa. Zdarza się to również przy załatwianiu spraw służbowych z kobietą. Nie wyjmują z ust papierosa podając ogień, nawet witając się. Dyrektor, załatwiając sprawy, krzyczy tak że go słychać na 50 metrów. A przecież są to ludzie wykształceni, na stanowiskach, którzy powinni świecić przykładem. Napiszcie o tym, może pomoże. Zaznaczam, że wobec swoich zwierzchników zachowują się właściwie, więc znają formy". — Istnieje pewien, że tak powiem, styl roboczy, w ramach którego wolno mówić z papierosem w ustach itede. Ale to raczej do stosowania przez mężczyzn między sobą. Do kobiety mówić z papierosem w ustach, nawet w ferworze, stanowczo nie wypada. Czyli prawda, że wasz dyrektor chwilami przesadza.

ST. CZYTELNICZKA w Krakowie. „Czy obierać marynowane śledzie ze skórki? Mąż upiera się, że przed podaniem należy skórkę ściągnąć, a mnie się wydaje, że w skórce wyglądają apetyczniej no i cały odżywczy tran jest tuż pod skórką. Są nieduże, skórka miękka, więc po co ściągać. Czy w skórce nieelegancko?" — Nie bardzo elegancko. Śledzie domowe należy obrać przed marynowaniem. Również w lepszych kupnych konserwach śledzie figurują bez skórki. Jeśli są w skórce, raczej ściągnąć przed podaniem. Tak twierdzą moje koleżanki, wzorowe gospodynie, zapewniając że zawsze obierają śledzie ze skórki oraz ości i prezentują gościom filety gotowe do jedzenia.

NIEŚMIAŁA NASTOLATKA. „Czasem po wykładach wstępuję z koleżanką od serca do jej domu i pech chce, że akurat podają do stołu. Na sam widok ślinka mi leci lecz uprzejmie dziękuję w odpowiedzi na równie uprzejme zapraszanie. Niestety dialog ten odbywam tylko w duchu. Nie pcham się wcale do domu koleżanki, czyż jest więc w dobrym tonie tak zostawiać przybysza za nawiasem? Jakże byłoby mi przyjemnie, gdyby mnie choć czymśkolwiek częstowano. Przecież z takiego lekceważącego traktowania rodzą się kompleksy, no nie? Zaznaczam, że dom jest na wysoki połysk, więc ewentualny rewanż z mojej strony wypadłby blado. Proszę mnie podnieść na duchu, na koleżance mi zależy". — Kochaj ją, na nic się nie oglądając. Do kompleksów nie ma powodu. Skąpstwo i nieznajomość form ujmę przynosi tamtym, nie tobie. Jeśli nawet nie życzą sobie tej przyjaźni, no to branie głodem stanowczo jest niestosowne.

♥ **DANUTA M.** „Twierdzi że kocha, a na ulicy czy na zabawie spogląda na inne dziewczyny. Gdy mu zwrócę uwagę, mówi że chwilowo się zapomniał i że patrząc na inne nic nie myśli, że to już takie męskie oko. Co pan na to?" — Powtórzę, co już pisałem. Istnieje męskie oko, ale grzeczność każe używać go tak, by bliska kobieta nie spostrzegła. On jest chyba okropnie niedoświadczony.

♥ **ROMAN w C.** „Jestem w sanatorium. Lekarka superprzystojna. Czy mam szanse? Załączam amatorskie zdjęcie". — Trzeba było swoje przysłać, nie lekarki. Tak, cóż mogę wywnioskować?

POCZTA Węgier wprowadziła w tym roku innowację, umieszczając na dolnym marginesie znaczka: rok wydania, kolejny numer serii i numer znaczka w serii.

Oto wydana ostatnio węgierska wielobarwna seria 4 znaczków z kwiatami. Jednocześnie ukazał się także bloczek cztero-znaczkowy z tymi samymi motywami.

Grab.

KTO NIE DOSTAŁ NOBLA?

Ciekawie wygląda zestawienie pisarzy, którzy nie dostali nagrody Nobla, mimo, że w ciągu 62 lat przyznawania tego zaszczytnego wyróżnienia na pewno zasłużyli sobie na nie lepiej niż niejeden z laureatów.

Oto ci, których — wśród wielu innych wybitnych — pominięto:

Zola, Tołstoj, Mark Twain, Czechow, Proust, Ibsen, Conrad, Joyce, Moravia, Malraux, Sartre.

O ZEGARKACH

Czyta się 22 sekundy

TIK. Masowa produkcja zegarków rozpoczęła się dopiero w drugiej połowie XIX stulecia. W 1880 amerykański rynek został zarzucony zegarkami Waterbury'ego po 4 dolary.

TAK. Po nim nastąpiła inwazja zegarków Ingersolla po dolarze.

TIK. *Zegarek, który uczynił dolara sławnym!* — krzyczały reklamy.

TAK. A kiedy Theodor Roosevelt odbywał podróż po Afryce, krajowcy pokazywali go sobie mówiąc: — *To człowiek z kraju Ingersolli.*

TIK. Podobno system produkcji zegarków Ingersolla natchnął Henryka Forda (z zawodu zegarmistrza) ideą taśmowej produkcji samochodów.

TAK. W poprzednim numerze pisaliśmy, że zegarki samonakręcające się, nie są wcale wynalazkiem ostatniej doby.

TIK. A zegarki wodoszczelne?

TAK. Do miana wynalazcy zegarków wodoodpornych pretendował w 1920 Szwajcar Wilsford, który wypuścił zegarki opatrzone napisem *waterproof* (= wodoszczelne).

TIK. Ale wtedy zgłosiła pretensje firma pp. Pettit.

TAK. Udowodnili oni, że na wystawie londyńskiej w 1851 demonstrowali srebrny zegarek zanurzony w akwarium z rybkami.

TIK. I zegarek chodził znakomicie!

TAK, *ciąg dalszy za tydzień.*

ZAGADKA KRYMINALNA

RABUNEK W CIEMNOŚCI

INSPEKTOR Werner popijał herbatę w cukierni i mimochodem obserwował towarzystwo siedzące przy sąsiednim stoliku, składające się z czterech mężczyzn i jednej kobiety.

Był tam młody brunet, zachowujący się dość niesympatycznie. Uśmiechał się z wyższością, palił jednego papierosa za drugim, a niedopałki wrzucał do flakonika z kwiatami. Obok niego siedział młodzieniec ubrany z wyszukaną elegancją. Inspektor zauważył, że pociągając duży łyk kawy z filiżanki, elegant z gracją odstawił mały palec, co wypadło tym śmieszniej, że palec ten, widocznie skaleczony, ubrany był w kapturek zrobiony z rękawiczki, przywiązany tasiemką do przegubu ręki. Trzeci mężczyzna, grubas, miał dużą brodę i namaszczony wyraz twarzy. Trzymał aparat fotograficzny i objaśniał jego działanie czwartemu mężczyźnie. Ten, szczupły staruszek, najwidoczniej znudzony wywodami grubasa, bawił się z roztargnieniem pudełkiem zapałek. Inspektor zauważył, że fryzura staruszka jest dziwnie nieskazitelna: musiała to być peruka. Kobieta była ładna, bardzo blada. Na szyi miała naszyjnik z pereł, niedużych, lecz z pewnością prawdziwych.

Nagle w cukierni zgasło światło. Ozwał się głos bufetowej „to bezpiecznik, zaraz naprawimy". Potem ozwał się zduszony okrzyk kobiety. Po chwili światło wróciło. Kobieta przy stoliku trzymała się za szyję i rozglądała naokoło przestraszonym wzrokiem: pereł na szyi już nie miała.

Inspektor jednym rzutem oka objął całą grupę przy stoliku. Brunet siedział na swoim miejscu i wrzucał do flakonu kolejny niedopałek. Grubas kurczowo ściskał w rękach swój aparat fotograficzny. Elegant podnosił do ust filiżankę z kawą, podkładając poziomo lewą dłoń, by przypadkiem kawa nie przelała się na jego wyprasowane jasne spodnie. Staruszek dotykał obiema rękami swojej głowy, jak gdyby sprawdzał, czy w ciemności ktoś nie przekrzywił mu peruki.

Inspektor zadziałał błyskawicznie. Zabronił obecnym opuszczać lokal i dokonał na miejscu rewizji. Pereł nie było ani we flakonie z kwiatami, ani w brodzie grubasa, ani pod peruką staruszka. Nie mogły się też ukryć w kapturku ochraniającym mały palec eleganta. Nie zważając na protesty grubasa, inspektor otworzył aparat fotograficzny, ale był tam tylko film. Również pudełko od zapałek, którym bawił się staruszek, okazało się puste. Pereł nie było także w kieszeniach czterech mężczyzn, ani też nigdzie pod krzesłami.

— Wobec tego pozostaje tylko jedna możliwość, którą zresztą przewidywałem — powiedział inspektor, wyciągając rękę ku...

W jakim kierunku wyciągnął rękę? Odpowiedź jest na stronie 31.

OBRONA JĘZYKA (francuskiego)

FRANCUSKI językoznawca René Etiemble rozpoczął ożywioną działalność w obronie języka francuskiego, który — jak twierdzi nie bez słuszności — zalany jest obecnie angielskimi określeniami i powiedzeniami. „Powinno się karać tych, którzy lekceważą i zaśmiecają język!" — stwierdził Etiemble, po czym poparł swe tezy przykładami.

Według jego obliczeń, Francuzi przyswoili sobie około 5.000 potocznych określeń i około 10.000 terminów technicznych z angielskiego. Gazety francuskie i książki roją się od określeń typu call-girls, supermarket, fifty-fifty, bluff itd. Dla powstrzymania procesu anglicyzowania języka, a także dla wyplenienia dotychczasowych naleciałości, Etiemble proponuje wydanie słownika z francuskimi odpowiednikami angielskich terminów. W wypadkach, gdzie takich odpowiedników absolutnie brak, sugeruje stosowanie przynajmniej francuskiej pisowni, np. zamiast jeep — jipe.

Cała ta działalność w zasadzie bardzo słuszna, nie jest jednak tak prosta jak by się wydawało. Na to, że angielszczyzną przesiąkniętych jest większość języków europejskich (i nie tylko europejskich) składa się wiele przyczyn. Nie ulega bowiem kwestii, że w ostatnich dziesiątkach lat właśnie ten język był najbardziej prężny.

Związane to jest np. z wczesnym i szybkim rozwojem techniki i handlu w Anglii, a potem w USA. Stąd narzucenie światu wielu terminów technicznych, stąd wprowadzenie angielskiej terminologii w lotnictwie i marynarce. Wczesny rozwój nowoczesnych gałęzi sportu w Anglii zrodził wszystkie kornery i offsidy w piłce nożnej czy back-handy w tenisie itd.

Inną przyczyną ekspansji języka angielskiego — szczególnie zaś na terenie dyplomacji, gdzie wypiera obecnie francuszczyznę — jest coraz większa liczba państw, dla których język angielski jest jeśli nie pierwszym, to drugim w użyciu (większość nowych państw w Afryce i w Azji). Na 111 członków ONZ już tylko niecałe 25% używa w czasie debat języka francuskiego.

Tak więc — chociaż obrona języka przed obcymi naleciałościami jest niewątpliwie konieczna, to jednak muszą się Francuzi pogodzić z pewnymi nieuchronnymi konsekwencjami obecnej sytuacji w świecie...

Sami Anglicy i Amerykanie, którzy z zainteresowaniem śledzą działalność Etiemble'a, przypominają Mussoliniego, który oczyszczając niegdyś język włoski z takich francuskich słów jak hotel, menu czy chauffeur — zastąpił je... starogermańskimi i greckimi: albergo, lista, autista. I przestrzegają aby nie popadać w to, co na całym świecie określa się słowem przyjętym od Francuzów: szowinizm.

MA 17 LAT i ŚPIEWA

ŻE KONKURSY dla pieśniarzy studenckich mogą wyłowić talenty bardzo interesujące, najlepiej poświadczyła pierwsza taka impreza — w ubiegłym roku. II nagrodę otrzymała wtedy Ewa Demarczyk, dzisiaj uważana za największą nadzieję naszej piosenki, zasypywana propozycjami występów, zaproszona do Paryża.

Jak powiedzie się laureatkom tegorocznego, II ogólnopolskiego konkursu pieśniarzy studenckich trudno na razie powiedzieć. Odnotujemy tylko, że I nagrodę (na finałach w Krakowie) uzyskała Bogdana Zagórska (z Poznania), II nagrodę — Ewa Pokaz (z Krakowa). Jury — przewodniczący: Jerzy Abratowski — wyróżniło także Andrzeja Zaryckiego i Tadeusza Chylę, za muzykę do studenckich piosenek, użaliło się natomiast nad niskim tym razem, poziomem tekstów.

Na zdjęciach przedstawiamy Ewę Pokaz, którą publiczność finałowa nagrodziła największymi brawami. Może dlatego, że najmłodsza w konkursie (17 lat), może dlatego, że z Krakowa, a może dlatego, że ta II nagroda (podobnie jak w roku ubiegłym) wydaje się najlepiej zapowiadać.

Ewa jest studentką polonistyki UJ, zamierza zostać dziennikarką i pracować w radio. Czy nie chce poświęcić się całkowicie piosence? Na razie nie zdecydowała. Na razie nie zna jeszcze nut, piosenek uczy się ze słuchu, dopiero teraz zapowiada, że porządnie popracuje nad swoim śpiewem. A potem — zobaczymy! (Fot. Moskwiak — Opioła).

MYŚLI LUDZI WIELKICH, ŚREDNICH ORAZ PSA FAFIKA

Muzyka jest konterfektem diabelskim, pomaga do win, a pożytku nie czyni.
(Walenty Bartochowicz, 1619)

*

Szczęście nigdy nie mierzy sobie ciśnienia.
(z księgi Pi)

*

Pan Reeves nocował u nas; i bardzo jestem dumny, że stać mnie na to, abym posiadał zapasowe łóżko dla przyjaciół.
(Samuel Pepys)

*

Porównania często są bolesne.
(Galluxowie)

*

Każdy jest taki jak go Pan Bóg stworzył, a przeważnie jeszcze gorszy.
(Cervantes)

*

Czy znacie wentylator, który stał się bohaterem? To nie był dobry wentylator.
(Gabriel Laub)

*

Tyle jest teraz roboty, że nikt nie ma czasu pracować.
(podsłuchane w „Delikatesach")

*

Jeden człowiek na pięciu potrafi dobrze prowadzić samochód, i to ten, który siedzi obok kierowcy.
(Dętka)

*

— Chodzi o to Watsonie, żeby mądrze myśleć, a nie żeby myśleć w ogóle.
(Sherlock Holmes)

*

Trzy ulubione rozrywki współczesnych: piłka nożna, rozwód i telewizja.
(francuskie)

*

Największą okropnością jest szczur w gitarze.
(Gomez de la Serna)

*

Malujemy sobie włosy coraz to na inny kolor, by nie popełniać tego samego błędu dwa razy.
(Krecia Pataczkówna)

*

Wesołość jest w psie, nie w kościach.
(F.)

*

Nigdy nie biegam za dziewczętami. Po prostu normalnie przyśpieszam kroku.
(Salami Kożerski)

*

Myśli zebrali i winietę wykonali Bracia Rojek

WANDA FALKOWSKA

Łuna nad lasem

Bestialska zbrodnia po 14 latach przed sądem

BYŁO TO WYDARZENIE, które wstrząsnęło okolicą i szerokim echem rozniosło się po radomskiej ziemi. Pewnej nocy, w kwietniu 1947 roku, nieznani sprawcy napadli na gajówkę w Prędocinie, wymordowali wszystkich jej mieszkańców, a zabudowania puścili z dymem.

Łuna pożaru ściągnęła mieszkańców z Prędocinka i Chwałowic. Nim dotarli na miejsce — gajówka położona była samotnie na skraju lasu — spłonął dom i zabudowania. Na próżno z narażeniem życia wyciągali z ognia i dymu rodzinę gajowego Stanisława K. Mieszkańcy gajówki zginęli prawdopodobnie przed wybuchem ognia. Oznaki życia dawał tylko ośmioletni synek gajowego Józef, ale i on umarł nazajutrz w miejscowym szpitalu z odniesionych ran. Z całej rodziny Stanisława K. ocalały tylko dwie córki, które tragiczną noc spędzały poza domem.

Na pobliskie wsie padł blady strach. Któż odważył się na podobną zbrodnię? Domysły były różne. Niektórzy wykluczali mord na tle rabunkowym, zwłaszcza, że wśród zgliszcz dobytku rodziny K. trudno było zorientować się, co zginęło, a co padło pastwą ognia. Okrucieństwo zbrodni — gajowy i jego bliscy, w tym troje dzieci, zginęli od uderzeń narzędzi tępych i noża — kazało domyślać się zemsty.

Stanisław K. ani też nikt z jego rodziny nie miał wprawdzie wrogów, przeciwnie, gajowy był raczej lubiany, ale ludzie z okolicy, a także prowadzący śledztwo znaleźli wkrótce powód ewentualnej zemsty.

Podejrzewano zięcia gajowego, niejakiego Stefana K., który w swoim czasie przystał do bandy rabunkowej. Gajowy, człowiek prawy i uczciwy, nie tylko potępiał poczynania zięcia, lecz nawet oddał go w ręce władz. Żona Stefana K., Helena, i jego trzyletnia córka, Alina, mieszkały w gajówce i poniosły śmierć w czasie napadu.

Wkrótce okazało się jednak, iż Stefan K. ma alibi nie do obalenia. Zarówno czas poprzedzający napad jak i krytyczną noc spędził w więzieniu, gdzie odsiadywał karę. To wykluczało go z grona osób podejrzanych.

Innych koncepcji, ani podejrzeń nie było. Przypuszczano, iż zbrodni dokonała któraś z band grasujących w lasach radomskich i kieleckich. Były to pierwsze lata po wojnie i bandy nękały jeszcze okolicę. Mimo starań nie natrafiono na żaden ślad mogący ujawnić winnych. Po czterech miesiącach śledztwo umorzono. Milicja nie zapomniała jednak o mordzie w gajówce Prędocin ani nie zrezygnowała z wykrycia morderców.

Upłynęło trzynaście długich lat zanim wyłoniły się pierwsze nici mające w przyszłości doprowadzić do sprawców zbrodni. W roku 1960 ujęto na Kielecczyźnie uczestników dwóch napadów rabunkowych. Uwagę prowadzących śledztwo zwrócił przy tym fakt, iż schwytani bandyci krępowali swe ofiary w identyczny sposób w jaki skrępowano, w swoim czasie przed zabójstwem, rodzinę gajowego K.

Zwłaszcza technika wiązania rąk do tyłu i nóg była bardzo charakterystyczna. W czasie śledztwa powstały podejrzenia, iż morderstwa w Prędocinie dopuściła się banda rabunkowa w której dominowali Cyganie, koczujący w owym czasie po okolicznych lasach.

Ludność dobrze zapamiętała tabory cygańskie, wśród których wówczas nie szukano winnych. Choć Cyganom przypisywano różne oszustwa i kradzieże, a zwłaszcza typowo cygańskie koniokradztwo (uchodzące zresztą wśród nich za sztukę) nikt nie przypuszczał, aby dopuścić się mogli tak ohydnej i bezlitosnej zbrodni.

Śledztwo rzuciło także cień na konkretne osoby zamieszane w sprawę. Byli to najczęściej ludzie występujący pod pseudonimami, często zmieniający nazwiska i nie przywiązujący zbyt wielkiej wagi do rzetelności personaliów, jak to bywa w cygańskim świecie. W aktach przewijały się pseudonimy Rako i Bidako, Franek, Parno, Piekarz i inne. Oprócz Raka, który znajdował się w więzieniu za napady dokonane w Starachowicach, uczestnicy bandy ukrywali się przed władzami.

Rako do niczego się nie przyznawał i zaprzeczał znajomości z Cyganami, o których go pytano. Ujęcie podejrzanych napotykało na znaczne trudności, byli nigdzie nie meldowani, prowadzili koczujący tryb życia, mieli zmienione dokumenty.

Dalszy krok w śledztwie nastąpił w lecie 1960 roku. Do referatu ewidencji ludności w Łopach zgłosił się mężczyzna podający się za Edwarda Paszkowskiego wraz z żoną Krystyną. Oświadczył, iż nigdzie nie jest meldowany, gdyż odłączył się od taboru cygańskiego.

Chciał się zameldować w Łopach i nalegał, aby sprawę załatwiono bardzo szybko. Był nawet gotów zaprosić na obiad pracowników referatu. Personel biura okazał jednak wiele przytomności umysłu. Zachowanie pary cygańskiej, jej nerwowość, pośpiech, wydawały im się co najmniej dziwne.

Zawiadomili więc posterunek milicji a przybyli funkcjonariusze zatrzymali natarczywych interesantów. Był to już okres w którym Edwarda Paszkowskiego, używającego pseudonimu Franek, poszukiwały władze w związku ze zbrodnią w Prędocinie, jak też i z szeregiem innych rabunków i kradzieży.

Franek w pierwszym okresie śledztwa okazał się wyjątkowo małomówny. Oświadczył, iż nie zna Rako i kręcił przecząco głową, gdy wymieniano pseudonimy osób podejrzanych o zbrodnię. Przyznał tylko, że zna Stefana Grabowskiego, nie umiał jednak rzekomo podać jego pseudonimu.

Sytuacja zmieniła się, gdy ujęto tego ostatniego. Edward Michalczyk vel Stefan Grabowski, znany pod przezwiskiem Bidako, był mniej dyskretny od pozostałych aresztowanych. Przyznał się do swojej znajomości z Rakiem i Frankiem oraz do niektórych napadów bez broni.

KRONIKA RODZINNA

W dalszym toku śledztwa ujawnione zostały także interesujące powiązania rodzinne między sprawcami zbrodni. Do powiązań tych podejrzani przez długi czas nie chcieli się przyznać, obawiając się, że grożą one ostatecznym zdemaskowaniem.

Franek i Rako, przebywający w jednym więzieniu, wymieniali na ten temat uwagi usłyszane przez współwięźniów. „Cyganie nie przyznawajcie się" — śpiewał w swej celi Franek, chcąc zachęcić Rako do milczenia. Wskazanie winnych kolidowało zresztą z zasadami przyjętymi w społeczności Cyganów. Ze strzępków rozmów Franka i Rako wynikało jednak wyraźnie, że sprawa napadu na gajówkę nie jest im nieznana. Rozmowy te prowadzili przez okno — siedzieli w sąsiednich celach. Obaj obawiali się „psów", którzy mogą ich zdradzić i „ptaków" (członków swoich rodzin) przebywających jeszcze na wolności.

Okazało się, iż wszyscy trzej Cyganie ujęci przez władze są ze sobą spokrewnieni i spowinowaceni. Rako i Bidako byli rodzonymi braćmi, synami Cyganki Gruszki, używającej nazwisk Urszula Michalczyk, vel Zofia Majewska, vel Alina Waszkiewicz. Gruszka została zresztą ujęta nieco później i oskarżona o przerabianie personaliów i fałszowanie dokumentów.

Ojcem Rako i Bidako był Cygan Lanek (Jan Majewski vel Michał Orłowski), groźny bandyta, zastrzelony podczas pościgu milicyjnego w powiecie Niedzica w roku 1952. W aktach sprawy zachowała się fotografia Lanka, grubego mężczyzny o brutalnej twarzy, pokrytej czarnym zarostem. To Lanko uczył swych synów bandyckiego fachu, zabierając ich od wczesnej młodości na napady rabunkowe.

Franek również należał do rodziny. Był mężem siostry Rako i Bidako, Krosi, a niezależnie od tego krewnym Lanko. O udział w napadzie na gajówkę podejrzani byli jeszcze dwaj Cyganie spokrewnieni z już wymienionymi, a mianowicie Parno, brat Lanko i Lutek, brat Gruszki.

Stwierdziwszy, iż koligacje rodzinne są znane władzom śledczym, Bidako przemówił pierwszy. Przyznał mianowicie, że brał udział w napadzie na gajówkę Prędocin.

Według jego wersji wypadki przedstawiały się następująco. Był wówczas chłopcem najwyżej szesnastoletnim (wiek synów Gruszki nie jest zupełnie pewny, Bidako według jej zapewnień urodził się w roku 1931, Rako dwa lata później w lesie siedleckim) — gdy wiosną 1947 r. przyjechał do Radomia do swego stryja Parno. Tabory cygańskie stały wówczas w lesie waśnickim pod Radomiem i tam też Bidako spotkał swego ojca Lanka, dowódcę taboru.

Pewnego dnia, w obozie, Bidako usłyszał rozmowę starszych Cyganów. Planowali jakiś napad popijając wódkę. Pił z nimi Polak przezwiskiem Stacho (Antoni Osiak vel Gustaw Mikołajko), mąż Cyganki Ślepki zwanej także Noną, który potem odegrał czynną rolę w napadzie.

Tej samej nocy wyruszyli bryczką w nieznanym chłopcu kierunku. Jechali długo w ciemności, a następnie bryczka zatrzymała się w lesie. Dorośli kazali Bidako pilnować konia, a sami znikli pośród nocy. Domyślał się, że idą na rabunek, ale nie mógł przewidzieć jaki obrót przyjmą wypadki.

Po pewnym czasie dorośli powrócili z łupem i równocześnie Bidako zobaczył łunę. Lanek, ani żaden inny z uczestników wyprawy nie wspomniał ani słowem o morderstwie. Jako osoby biorące udział w napadzie, Bidako, poza sobą, wymienił pięciu mężczyzn: swego ojca Lanka, Franka, Stacha oraz Cyganów używających przezwisk Piekarz i Tumro. Pominął natomiast milczeniem udział swojego brata Rako.

SPOWIEDŹ TUMRO

Wersja podana przez Bidako uległa pewnym zmianom i uzupełnieniu, gdy mniej więcej w dwa miesiące później ujęto Tumro, czyli Bogusława Bogdanowicza. Należał on do innego ugrupowania cygańskiego, co sprawiło iż był znacznie bardziej rozmowny niż Bidako.

Tumro potwierdził swój udział w napadzie na gajówkę i wskazał trzech dodatkowych uczestników: Rako, Parno i Lutka, czyli trzy osoby należące do rodziny Gruszki i Lanka. Tumro był zresztą w owym czasie nieletni (nawet według cygańskich pojęć) i dlatego wraz z Rako, Bidako i jeszcze jednym chłopcem polskim, którego nie zdołano zidentyfikować, pełnił jedynie funkcje pomocnicze.

Według opowieści Tumro nikt z uczestników napadu nie pozostał przy koniu, którego przywiązano do drzewa w lesie, lecz wszyscy udali się w kierunku gajówki. Tumro pozostawiony został na straży przy drzwiach wejściowych, co pozwoliło mu następnie obserwować wszystko co się działo w izbie przez znajdujące się obok okno. W pobliżu podobną funkcję spełniał Rako. Z drugiej strony domu stał na straży Bidako razem z młodym Polakiem.

Było zapewne po północy, gdy Franek załomotał do drzwi gajówki wołając donośnie: — Otwierać, milicja! Po chwili w oknie błysnęła naftowa lampa. Ktoś otworzył drzwi.

Lanek wszedł pierwszy do wnętrza. — Ręce do góry! — krzyknął. Za nim wkroczyli: Franek, Parno, Stacho, Piekarz i Lutek. Byli uzbrojeni. Lanek miał przy sobie broń krótką, Piekarz i Franek karabiny tak zwane urzyny.

Wewnątrz było osiem osób, w tym troje dzieci. Napastnicy zaczeli brutalnie wiązać leżących, pomimo ich próśb i płaczu. Następnie przystąpili do rabunku. Rabowane rzeczy wiązali w toboły i wynosili na podwórze, gdzie Rako i Tumro układali wszystko na stos. Tumro zapamiętał wśród rabowanych rzeczy harmonię, co później okazało się istotnym szczegółem. Ludzie z Prędocinka i Chwałowic pamiętali że w domu gajowego była harmonia, na której uczył się grać jego starszy syn.

Ukończywszy rabunek, bandyci udali się do stajni. Stały tam dwa konie. Jednego bez trudu wyprowadzili i zaprzęgli do wozu gajowego. Drugi koń był jednak zły, gryzł i nie dał się ruszyć z miejsca. Bandyci zdecydowali się zostawić go.

Załadowali teraz toboły na wóz, gotowi do odjazdu. Ale nie odjeżdżali. W sieni gajówki Lanek, najokrutniejszy ze wszystkich, naradzał się z Piekarzem. Wyniki tej narady miały się okazać tragiczne. Dwaj mężczyźni, obawiając się rozpoznania, postanowili wymordować całą rodzinę gajowego K.

Tumro obserwował przez okno bestialską scenę morderstwa. Od-



twarzał ją później w kilku wersjach, zmieniając swe wyjaśnienia na temat okrucieństwa poszczególnych członków bandy.

Gdy Lanek i inni bandyci stwierdzili, że w gajówce nikt nie ostał się żywy, podpalili dom i zabudowania. Odjechali wozem i bryczką, gdy nad Prędocinem łuna wznosiła się wysoko. Lanek oddał dwa strzały w stronę palącego się domu. Echa tych strzałów w ciszy nocnej dobiegły do pobliskich wsi i wryły się w pamięć ludzi razem z innymi szczegółami tej strasznej nocy.

Na potwierdzenie swych słów Tumro, zawieziony do lasu prędocińskiego, bezbłędnie wskazał miejsce, gdzie do dziś znajdują się ślady nie odbudowanej nigdy gajówki. Niektórzy spośród okolicznych mieszkańców, a zwłaszcza żyjące córki gajowego, potwierdzili pewne szczegóły jego relacji. Pamiętano na przykład, że gajowy miał złego konia, który pozwalał się zaprząc tylko gospodarzowi.

Podobne szczegóły czyniły wyznanie Tumra wiarygodnym. Można było też łatwo wytłumaczyć dlaczego wskazał on większą liczbę uczestników napadu, niż uczynił to Bidako. Ten ostatni pragnął oszczędzić członków własnej rodziny, choć ciekawe, że obciążył swego szwagra Franka.

W jakiś czas później w ręce władz wpadł Stacho, a następnie kolejno Parno, Piekarz i Lutek. Żaden, poza Tumro i Bidako, nie przyznał się do udziału w rabunku ani w morderstwie. Wszyscy utrzymywali konsekwentnie, iż w ogóle nie byli w Prędocinie. Ciekawe przy tym, że niektórzy przyznali się do kilkudziesięciu innych napadów, z których żaden jednak nie skończył się śmiercią człowieka.

W BANDYCKIM FACHU

Po napadzie na gajówkę, w którym osiem osób znalazło śmierć, większość rozbójników nie porzuciła swego bandyckiego fachu. Napadali i kradli w różnych miasteczkach i wsiach, w Kieleckiem i gdzie indziej, nie gardząc żadną zdobyczą. W czasie „akcji" zachowywali się na ogół brutalnie wobec ofiar, terroryzowali bronią, straszyli, wiązali, bili niekiedy bardzo dotkliwie, dopuszczali się gwałtów. Napadali na gospodarstwa chłopskie, szkoły, młyny, warsztaty rzemieślnicze.

Z okrucieństwa zasłynęli zwłaszcza Lanek i Rako, grasujący jak już wspomniano w województwie olsztyńskim. Napadali zawsze z bronią w ręce, groźni i bezlitośni, siejąc przerażenie. Przedstawiali się jako partyzanci z lasu, żądali żywności i pieniędzy. Tytułowali siebie „panie Komendancie" i „panie Dziewiątka", ale mimo to ludzie orientowali się na ogół, że mają do czynienia ze zwykłymi bandytami. Potem, gdy w czasie pościgu milicyjnego Lanko został zastrzelony, ludzie z Olsztyńskiego rozpoznali go jako niebezpiecznego Komendanta.

Przy zabitym znaleziono dowód osobisty na nazwisko Michał Orłowski oraz fotografię „pana Dziewiątki", który zdołał zbiec. Fotografia ta miała w przyszłości ułatwić identyfikację Rako, choć on sam długo nie chciał się przyznać do swej podobizny. Przedstawiała młodego chłopca, istotnie niezbyt podobnego do mężczyzny z wąsikiem, którego w dobre kilka lat później ujęły władze. Dopiero ekspertyza porównawcza przeprowadzona przez „Zakład Kryminalistyki KG MO pozwoliła na ustalenie, iż osobą na fotografii jest istotnie Rako, używający w owym czasie nazwiska Jan Waszkiewicz.

W ciągu bujnej kariery Rako używał zresztą różnych nazwisk: Michalczyk, Sadowski, Sokołowski, a w stan oskarżenia postawiono go ostatecznie jako — Józefa vel Stanisława Michalczyka. W śledztwie, na rozprawie, a nawet w uzasadnieniu wyroku nazywano go jednak po prostu Rako, ponieważ choć często zmieniał nazwiska, pozostał wierny swemu pseudonimowi, jak zresztą i pozostali członkowie bandy, pochodzenia cygańskiego. W społeczności cygańskiej nie przykłada się bowiem znaczenia do danych, na które kładzie nacisk biuro ewidencji ludności. Pseudonim jest rzeczą niezmienną i najważniejszą. Stąd też w procesie przeciwko napastnikom z Prędocina operowano przede wszystkim pseudonimami.

Wróćmy jednak do osoby Rako. Prócz fotografii, także sprawa jego wieku stała się przedmiotem ekspertyzy. Jan Waszkiewicz czyli Rako, według swych najnowszych dokumentów miał urodzić się w roku 1938. Gruszka, matka Rako, utrzymywała iż urodził się on w roku 1933. Aby ostatecznie ustalić, czy chodzi o jedną i tę samą osobę, biegli lekarze musieli wypowiedzieć się co do wieku podejrzanego. Ostatecznie określono go na mniej więcej dwadzieścia pięć lat, co odpowiadało koncepcjom władz śledczych.

Pod wpływem wymowy dowodów, Rako przyznał się do osiemnastu napadów organizowanych wspólnie ze swym ojcem Łankiem w województwie olsztyńskim. Następnie jednak, przy zakończeniu śledztwa odwołał to, utrzymując ponownie, iż nazywa się Jan Waszkiewicz i w tych napadach udziału nie brał. Ani prowadzący śledztwo, ani następnie sąd nie dali temu wiary.

W miarę możliwości władze starały się też dociec w jaki sposób niektórzy z członków bandy zmieniali personalia i uzyskiwali dowody osobiste. Między innymi okazało się, iż Lankowi i córce jego Krosi (żonie Franka), wyrobił dokumenty urzędnik prowadzący meldunki w Lubartowie, niejaki G., skazany zresztą następnie za swój czyn na cztery lata więzienia. Lanek otrzymał wówczas dowód osobisty na nazwisko Orłowski, a Krosia podała się za Krystynę Michalczyk.

Inni bandyci wprowadzali każdy na swój sposób władzę w błąd. Stacho czyli Osiak przyjął na przykład rzekome nazwisko swej żony Cyganki Nony — Mikołajko. Również Gruszka kilkakrotnie zmieniała papiery, co miało utrudnić identyfikację tych członków jej rodziny, którzy wchodzili w skład bandy. Lanko w latach powojennych porzucił zresztą żonę i niebawem jej zajęła jedna z mieszkanek Radomia, niejaka Aniela, u której założył melinę rabowanych rzeczy. Choć na ślad tej meliny milicja wpadła stosunkowo prędko — Lanka nie udało się ująć. Niezależnie od Anieli, Lanek darzył uczuciem pewną Cyganke imieniem Pchabuń, która nie odegrała większej roli w opisanych tu wydarzeniach.

SZEŚCIU W POSZUKIWANIU ALIBI

Z chwilą gdy w roku 1961, w czternaście lat po rzezi w gajówce Prędocin przebieg napadu stał się ostatecznie znany władzom, a wszyscy sprawcy znaleźli się pod kluczem, można było przystąpić do przygotowania aktu oskarżenia, a następnie procesu.

Odbył się on przed Sądem Wojewódzkim w Kielcach, w lecie 1962 roku. Oprócz ośmiu oskarżonych o napad w Prędocinie przed sądem stanęli jeszcze inni Cyganie, używający przezwisk Janek, Tynek, Śmichuro i Rycerzo, którzy mieli na swoim sumieniu szereg napadów rabunkowych. Janek był bratankiem Lanka. Zasiadł też na ławie oskarżonych jeden z paserów.

Podczas rozprawy, podobnie jak w śledztwie, jedynie Tumro i Bidako przyznali się do udziału w napadzie na gajówkę Prędocin. Bidako podtrzymywał wersję, iż pilnował koni i nie ma nic wspólnego ze zbrodnią. Tumro, który w śledztwie obciążył poważnie Lutka i Franka, przed sądem oświadczył, iż rola ich była raczej bierna. Nie zabijali sami, chociaż nie przeszkadzali zabijać. Największą aktywność obok Lanka w czasie napadu wykazywali zdaniem jego Piekarz, Stacho i Parno.

Pozostali oskarżeni stanowczo wszystkiemu zaprzeczyli. Jan Cichowicz, nazywany przez Cyganów Piekarz, oświadczył nawet, iż nie ma nic wspólnego z tym pseudonimem i padł ofiarą zwykłego nieporozumienia. Zapewnił iż w okresie popełnienia zbrodni pracował w hucie w Ostrowcu Świętokrzyskim. Sąd nie dał wiary tym wyjaśnieniom. Po pierwsze Ostrowiec znajdował się zaledwie 20 km od miejsca zbrodni, popełnionej w nocy, po drugie zaś, jak wynika z przedstawionych przez Piekarza dokumentów, pracę w hucie rozpoczął on w roku 1949, a więc w dwa lata po tragicznych wypadkach.

Lutek oświadczył, iż w okresie napadu mieszkał w Siedlcach. Wyparł się także pokrewieństwa z Bidako, choć ten ostatni rozpoznał w nim wuja.

Stacho oświadczył, iż pomówienie go o udział w napadzie jest wynikiem waśni między rodzinami cygańskimi. Rodzina Rako i Bidako skłócona była z rodziną jego żony Cyganki Nony. W latach powojennych przebywał kolejno w Mińsku, Zeliszewie i Radzyminie, lecz nigdy w Radomiu. Z napadem na gajówkę nie ma oczywiście nic wspólnego.

Również Parno zapewnił sąd, iż wciągnięcie go do sprawy jest wyłącznie aktem zemsty. Między rodzinami Tumro i Parno istniał zadawniony antagonizm datujący się jeszcze z okresu przedwojennego, kiedy to ojciec Tumro zastrzelił siostrę Parno za to, że nie chciała mu być powolną.

WYROK

Sąd Wojewódzki w Kielcach dał wiarę wyjaśnieniom Tumro i uznał winę wszystkich ośmiu oskarżonych o napad na gajówkę. Najsurowszy wymiar kary dostali — jako najaktywniejsi — Stacho, Piekarz i Parno, skazani na karę śmierci zamienioną następnie z mocy amnestii na piętnaście lat więzienia.

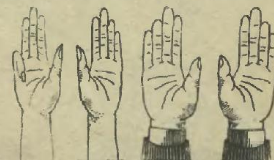
Amnestia objęła również pozostałych oskarżonych, poważnie łagodząc im wymierzone przez sąd kary. Ostatecznie wyrok zabrzmiał niezbyt surowo: Tumro skazany został na trzy lata więzienia, Bidako na sześć lat, Franek na dziesięć lat, Rako na piętnaście lat więzienia, Lutek na sześć lat i osiem miesięcy. Pozorne dysproporcje tych kar płyną stąd, iż niezależnie od zbrodni w Prędocinie, sąd skazał oskarżonych łącznie za ponad trzydzieści napadów rabunkowych sprzed laty, w których udział ich był bardzo różny.

Również pozostali oskarżeni, nie wmieszani w sprawę mordu, zostali uznani za winnych napadów i kradzieży i skazani na kary od trzech do pięciu lat więzienia.

Od wyroku tego wpłynęło pięć wywodów rewizji do Sądu Najwyższego. Parno, Piekarz, Stacho, Lutek i Franek czują się niewinni i utrzymują nadal, iż w ogóle nie byli w Prędocinie. Także Bidako uznał, iż sąd zbyt surowo ocenił jego udział w zbrodni. Sprawa mordu w leśniczówce znajdzie się więc raz jeszcze przed Sądem Najwyższym w Warszawie na początku 1964 roku.

Choć w sprawę tej ohydnej zbrodni zamieszani są przeważnie Cyganie, pisząc ten reportaż jak najdalsza jestem od wszelkich uogólnień. Wspominając cygańskie pochodzenie oskarżonych, pragnęłam jedynie podkreślić specyficzny folklor tej niecodziennej sprawy, a także uczynić bardziej zrozumiałymi niektóre kłopoty władz śledczych jak na przykład problem identyfikacji.

Oczywiście w społeczności cygańskiej podobnie jak w każdej innej, zdarzają się jednostki występne i złe, w żadnym razie jednak nie mogą one rzucać odium na wszystkich Cyganów. Czytelnikom, którzy bliżej interesują się sprawami cygańskimi, powie o nich najwięcej piękna książka Jerzego Ficowskiego pt. „Cyganie polscy", napisana z miłością dla cygańskiego ludu żyjącego wśród nas.





LOS ANGELES. Pewien producent amerykańskiego szampana kazał umieścić na etykietach swoich butelek ostrzeżenie: „Ostrzega się przed francuskimi imitacjami".

*

PARYŻ. 65-letni amerykański rzeźbiarz, obecnie w 50% zamieszkały we Francji, Aleksander Calder, wystawia olbrzymie (łącznie 2 tony) metalowe rzeźby — stabile. Są one przeciwieństwem lekkich i ruchomych mobili, które kiedyś właśnie Calder „wynalazł". Pierwszy stabil publiczny stanął na jednym z placów w Spoleto (Włochy).

*

MADRYT. Jednym z niewielu zawodów na świecie, zwolnionym od podatków, jest profesja toreadora.

*

PARYŻ. Prawykonanie kantaty kompozytora francuskiego Dariusza Milhaud, opartej na encyklice papieża Jana XXIII „Pacem in terris", odbędzie się w Wigilię w katedrze Notre-Dame.

*

SZTOKHOLM. Odbyła się tu premiera ostatniego filmu Ingmara Bergmana „Milczenie". Jest to dramat rozgrywający się pomiędzy dwoma siostrami, w ciągu 24 godzin ich pobytu w hotelu w mieście Timuke. Wracają one do Szwecji po wakacjach spędzonych w Europie. Jednej z sióstr, Annie, towarzyszy syn. Podróż powrotną opóźnia jednak choroba drugiej siostry, Estery. Między bohaterkami narasta konflikt, wzmagany przez upał i grożącą miastu wojnę. Główne role grają Gunuel Lindblom i Ingrid Thulin. „Milczenie" jest ostatnią częścią nakręconej przez Bergmana trylogii filmowej.

*

LONDYN. Pod pretekstem, iż rok przyszły jest w Anglii rokiem wyborów, władze brytyjskie zlikwidowały cieszącą się ogromnym powodzeniem, najśmielszą telewizyjną audycję satyry politycznej, jaką nadawała BBC. Nie oszczędzano w niej nikogo, nawet członków rodziny królewskiej, nie mówiąc o dygnitarzach, czy politykach, zaś skandal Profumo dostarczył autorom audycji znakomitego materiału. Młodzi wykonawcy tej audycji zdobyli ogromną popularność. Jeden z nich, piosenkarz William Rushton, postanowił nawet dla zabawy kandydować w tym samym okręgu co premier Anglii, sir Alec Douglas-Home.

Decyzja o zlikwidowaniu audycji wywołała wielkie poruszenie i interpelację w Izbie Gmin.

Fryzury na Sylwestra







U góry po lewej przypięty wielki kok, modnie umieszczony: nie na czubku, tylko ku tyłowi głowy. Grzywka. Obok włosy spuszczone, podgięte (jest to także do przypinania: tresa na aksamitce). Trzecia fryzura, również modna, bez użycia sztucznych włosów: rozdziałek przez środek, głowa płaska, włosy na karku mocno wzdęte, podwinięte pod spód, za uszami czarne róże. Zdjęcie po prawej przedstawia żonę Paula Anki, Annę, w koku-chryzantemie z loków + grzywka.



Jak malować twarz



Uwaga — NOWOŚĆ — **usta nieważne,** mogą być w ogóle nie malowane (np. na pokazach kolekcji Cardina w Paryżu modelki mają zupełnie niemalowane usta). Jeśli, to pomalować lekko kredką różową czy koralową, taką trochę nijaką.

Natomiast **bardzo ważne oczy.** Oczy maluje się nie jak dotąd wstydliwie, tylko jawnie, jak przedtem usta. A więc:

● robi się czarną kreskę wzdłuż całego brzegu górnej powieki, do kącika. Raczej cienką. Nie przedłużać poza oko (komu dobrze, może troszeczkę przedłużyć);

● jest do tego zagraniczne mazidło pod nazwą Eye-liner, w małej buteleczce (potrzebny pędzelek). Ale można też z powodzeniem użyć zwykłego czarnego tuszu, tego do rzęs, przy czym w zastosowaniu do powiek lepszy jest zdaniem specjalistek ten tusz najtańszy, bo się łatwiej zmywa od droższego. Zwilżyć i malować pędzelkiem;

● szalenie modne są przyklejone rzęsy. Używają ich powszechnie na scenę aktorki, więc widać są osiągalne (sklepy, fryzjerzy). Smaruje się specjalnym klejem i przylepia z pomocą pęsetki wdłuż własnych. Trzeba odpowiednio przyciąć. Zdejmują się bardzo łatwo. Są niedrogie.

Co jeszcze można zrobić z okiem?

Pomalować powiekę bardzo cienko szminką w kolorze jaki nam odpowiada. Musi to być w efekcie niezbyt mocno.

Komu z tym dobrze, może i dolną powiekę przejechać cienką czarną kreską, ale mało komu dobrze, lepiej nie ryzykować.

Na co dzień, dobrze jest chociaż malować górne rzęsy, zawsze rozczesując, żeby się nie zlepiały.

Twarze modne nie białe, nie blade. Średnie lub nawet ciut opalone. Policzki można bardzo lekko zrobić, ale tak żeby naprawdę było to niewidoczne dla oka.

P. S. Prócz wyżej opisanego makijażu „bez ust", modny jest też normalny, z ustami czerwonymi: nie cyklamen, nie oranż, nie wiśniowy, tylko prawdziwy czerwony kolor, dość jasny.

Po przyklejeniu rzęs, z pomocą pęsetki, należy je przycisnąć do powieki w wewnętrznym kąciku i w zewnętrznym (na zdjęciu służy do tego pałeczka bukszpanowa). Gdy klej zaschnie, można podtuszować, mieszając własne swe rzęsy ze sztucznymi

Felieton życiowy:

TRAGEDIA PRZED WIECZOREM

W ŻYCIU małżeńskim masa konfliktów wybucha przy wyjściu gdzieś wieczorem. Prawie nigdy wyjście z domu nie przypomina czegoś z podręcznika „jak wieść idealne życie rodzinne", ani ankietki „czy jesteś idealnym mężem?"

Jakoś tak się składa, że w małżeńskiej parze jedno za każdym razem się grzebie, drugie czeka i niecierpliwi się.

Nie myśl jednak, w rozgoryczeniu czekania, albo odwrotnie gdy nie możesz znaleźć pończochy czy krawata, że gdybyś nie był (była) popełnił (iła) **tego** błędu, natomiast związał (związała) swe życie z kimś innym, byłoby grubo lepiej, że tamten ktoś nie burczałby nad głową albo nie grzebał się godzinami. Jest to rzecz, na którą z jej istoty prawie nie ma rady.

Trzeba myśleć filozoficznie i starać się zaradzić złu.

Strona, która jakimś cudem umie być zawsze pierwsza gotowa, w najlepszym wypadku czeka z miną. Albo wyrzucona gdzieś jak najdalej na czas ubierania, robi minę przy wychodzeniu. Albo robi minę po drodze. Albo co najmniej przed drzwiami teatru, drzwiami znajomych, patrzy znacząco na zegarek i robi minę. To jest niemal ideał. Ale ideałów nie ma.

Normalny człowiek popędza, przeszkadza usiłując pomóc, gdera, burczy, pyta co minutę jak długo jeszcze, mówi że to już niemożliwe, mówi, że ma zepsute całe wyjście, bo nie lubi się spóźnić. W zasadzie, w domu, prawdziwej awantury nie robią nawet ludzie o południowych wręcz temperamentach, bo wiedzą że to nie przyśpieszy. Co silniejsza jednak indywidualność potrafi mimo to dać taką szkołę, że wychodzisz na pół ubrany(-a), łapiąc po drodze części garderoby.

Za to (tj. w miejsce awantury nie odbytej w domu) po drodze ma się prawdziwą okazję do usłyszenia wnikliwej analizy swego charakteru. Padają życiowe decyzje bez uwzględnienia przyszłości dzieci i trudności z mieszkaniem. I w tym cudownym nastroju wkraczamy w uroczy wieczór, o którym myślało się z prawdziwą przyjemnością.

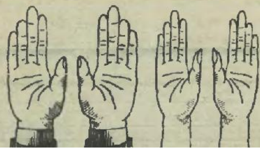
Stroną mającą pretensje, czego nie trzeba tłumaczyć, jest z reguły strona czekająca.

Stroną jakoby winną jest nie mogąca zdążyć. Jeśli jest to kobieta, nie może znaleźć pończoch, lecą jej oczka, pękł szew, oko się rozmazało, krzywo się umalowała, ręce jej się trzęsą z pośpiechu i nie może się uczesać, popsuł jej się naszyjnik, a w ogóle kobiety muszą to robić dłużej.

Jeśli to jest mężczyzna, szuka drugiej skarpetki, krzywo się ogolił, nie może znaleźć i zapiąć spinek, znaleźć i założyć sztywników do kołnierzyka, ręce mu się trzęsą i nie może w pośpiechu zawiązać muchy, a w ogóle musi dłużej, bo się musi golić i czyścić buty i w tym domu nigdy niczego nie można znaleźć.

Jeśli to TY czekasz — zanim się zirytujesz, pomyśl: może jesteś bardziej z dwojga niedbały (-a), nie bardzo się przykładasz do swego wyglądu, albo z reguły pierwszy(-a) zajmujesz łazienkę, albo akurat nic nie masz na głowie i możesz się spokojnie wcześniej ubrać.

Jeśli jesteś ten Michał, który nie mógł zdążyć (Michalina) — to może ze wszystkim przesadzasz, jesteś za duży pedant, za wolno ruszasz rękami, może





DŁUGIE SUKNIE

Jeśli ktoś o długiej wieczorowej marzy — są w tym roku bardzo modne. Jeśli materiał efektowny, fason najczęściej jak na rysunku 1. Są też modne wieczorowe długie spódnice i do tego bluzki: jedwabna gładka w środek (fason ten jest pokazany na rysunku 2), albo złocista sztywna na wierzch



jesteś źle zorganizowany, może niepotrzebnie w ostatniej chwili prasujesz czy robisz paznokcie, trzeba to było zrobić wczoraj.

A może już tak było i będzie zawsze. Coraz to nowe pokolenia stają twarzą w twarz z tym pozornie drobnym zagadnieniem, z którego przyczyny ileż pięknych kłótni lub nawet rozstań się odbyło. Próbujemy jednak przeciwdziałać.

Teraz, na progu sezonu wzmożonej działalności towarzyskiej, a zarazem sezonu sztucznego koka i pracochłonnie robionych oczu — jakież piękne pole do pracy masz nad sobą.

Ty co czekasz — nie gderaj, nie rozrabiaj, i tak nic nie pomoże, po co psuć nastrój i nerwy. A kto się grzebie (i grzebać nie przestanie) — niech zacznie pół godziny wcześniej.

Czas statystyczny wysztafirowania się na większy wieczór, z dużym umyciem — 45 minut dla kobiety (na relaksie). Większość mężczyzn potrafi to zrobić w 30 minut. Guzdrały niech od razu biorą ostre tempo. W te 45 minut jest wkalkulowana mała ilość nieuniknionych nieszczęść, które jeśli się nie zdarzą, najwyżej będziesz o 20 sekund wcześniej gotowa.

Kończę, bo już od 15 minut powinnam się zacząć ubierać. **HOFF**



Suknia z gipiury na atłasie. W miejscach nie przykrytych gipiurą (w talii i u dołu) drapowany szyfon. Model „Mody Polskiej" projektu T. Popławskiej, fot. A. Wiernicki. Zauważcie b. modną fryzurę. U góry strony wieczorowa suknia o skromnym fasonie, z rękawami, za to z bardzo ozdobnego haftowanego szyfonu

KUCHNIA POLSKA
redaguje Maria Iwaszkiewicz



POTRAWY NA NAZAJUTRZ

Drodzy moi Czytelnicy!

Długo, bardzo długo Kuchnia Polska myślała, co by tu Wam zaproponować na świąteczne, sylwestrowe i noworoczne okazje. Czym by uczcić drugą rocznicę, odkądeście mnie poznali na łamach.

A myślała Kuchnia Polska mniej więcej tak: co ja Wam będę jeszcze raz pisać o maku, rybie świątecznej czy o indyku. Wy przeczytacie i tak zrobicie po swojemu to, co się zawsze z okazji Świąt u Was robiło. Istnieją jednak potrawy, których się nie da uniknąć. Są one nieraz bardzo skromne i w innych okolicznościach wcale nie smakują. Każdy ma taką „swoją" potrawę z tej dziedziny... Co tu ukrywać, chciałam napisać o potrawach na kaca.

Tu trzeba poświęcić parę słów samemu problemowi kaca. Proszę mnie nie posądzać o sianie zgorszenia i o propagandę alkoholizmu. O ile mi wiadomo dotąd nikt nie podjął jakiejkolwiek próby analizy i systematyki stanów kacowych. A problem jest życiowy.

Kac przede wszystkim nie zależy od ilości wypitego alkoholu. Pojawia się również po nieprzespanej nocy, po wielkim zmęczeniu czy zdenerwowaniu. Czasem nawet niewielka ilość alkoholu powoduje potężnego kaca, jeżeli się pije będąc zmęczonym. Czasem większa ilość trunku nie daje żadnych reakcji.

Czyli kac — rzecz fanaberyczna. Objawia się prawie u każdego indywidualnie a nawet czasem za każdym razem inaczej — jedna i ta sama osoba może cierpieć na różne kace. Najpospolitsze kace są dwojakiego rodzaju:

Kac oklapły charakteryzuje się stanem łagodności i obojętności na wszelkie przejawy życia. Połączony jest z sennością. Taki kac kończy się na ogół koło południa łagodnym przejściem w stan normalny. Gorszy znacznie jest kac zwany „podgrzańcem". Jest to stan, w którym człowiek budzi się rano pełen najlepszych chęci. Sprząta dawno nie tknięte ręką ludzką kąty, zabiera się do jakichś zaległych prac. Jest wesoły i podniecony, śpiewa, chce siać dobroć wśród bliźnich. Taki rodzaj kaca kończy się zazwyczaj koło południa zupełną klęską, czyli niemożnością jakiegokolwiek działania.

Przy wszelkich przejawach kaca występuje wstręt do jedzenia i brak apetytu. Otóż trzeba się przemóc i koniecznie zjeść coś gorącego zaraz z samego rana. Oczywiście łatwiej będzie jeść te potrawy, które nie budzą w nas wstrętu i potrawy płynne. Befsztyk w tych okolicznościach jest rzeczą nie do zjedzenia.

Idąc po linii najlżejszego oporu można jeść w kacu kwaśne mleko. Odradzam — jest zimne, po chwilowej uldze zwiększa tylko kaca.

Do potraw zalecanych należą **jajka w szklance:** rozpuścić w szklance łyżkę masła. Jajka włożyć do zimnej wody i jak tylko się ona zagotuje wyjąć. Rozbić i zawartość wrzucić do roztopionego masła. Dodać trochę soli i musztardy. Wypić jednym haustem. Zapić mocną herbatą.

Żurek nie zabielany: kawałek białej kiełbasy, żeberko czy jakikolwiek kawałek tłustego mięsa zalewamy wodą, dajemy listek bobkowy i cebulę i gotujemy pół godziny. Po upływie tego czasu dolewamy żur i gotujemy przez dalsze pół godziny. Do gotowego żuru sypiemy pieprz. Bez kaca jemy z kartoflami, w kacu — jak kto może.

Zalewajka: gotujemy smak na włoszczyźnie i kawałku mięsa z dodatkiem cebuli, ząbka czosnku, pieprzu i listka bobkowego. W połowie gotowania dodajemy pokrojone kartofle surowe. Gdy kartofle będą miękkie dolewamy żuru i raz zagotowujemy.

Na tej samej zasadzie kwaśnej zupy można ugotować kartoflankę i dodać do niej kwaszonej kapusty. Pogotować około pół godziny.

Ponad wszystkie potrawy kacowe przedkładam **kapuśniak**. Gotuje się smak na mięsie wieprzowym i na włoszczyźnie z kapustą surową. Gdy smak będzie gotów dodajemy kapusty kwaszonej i pasty pomidorowej. Gotujemy, aż kapusta będzie miękka. Ja wiem, że klasyczny kapuśniak jest nieco inny, ale ten jest na kaca lepszy.

Znałam ludzi, którzy jadali w tych okolicznościach tylko **kaszkę krakowską na rosole.** Trzeba w tym celu zasypać przecedzony rosół kaszką krakowską, uważając by się nie porobiły grudki. Zagotować. Kaszka nie powinna być zbyt gęsta.

Wreszcie polecam **zupę ogórkową.** Ugotować smak, najlepiej na cielęcinie z nerką. Gdy się smak ugotuje wlać soku ogórkowego, włożyć parę pokrojonych, kwaszonych ogórków, parę razy zagotować. Mięso ze smaku wyjąć, pokroić i włożyć do zupy, przed podaniem dodać śmietany.

Wszystkie bardziej skomplikowane potrawy kacowe należy zrobić dnia poprzedniego, a w dniu fatalnym odgrzać. Bowiem w kacu możemy się zdobyć jedynie na zrobienie jajek w szklance.

A teraz życzę Wam, by się moje potrawy jak najmniej przydawały.

Chyba że chcecie je jeść bez kaca! **M. I.**



LUCJAN KYDRYŃSKI

8 DNI z PAULEM ANKĄ

Czyta się 7 minut

Jak wygląda? Co mówi? Jak pracuje?



TO się tylko tak pisze: 8 dni! Gdyby jednak zliczyć rzeczywisty czas, który spędziłem w towarzystwie Paula Anki podczas jego pobytu w Polsce, nie byłoby tego więcej niż jakieś **kilka godzin.** Na pytanie ,,jakim właściwie jest Paul Anka?" odpowiadałem: rzecz w tym, że w ogóle nie jest. **Jego nigdy nie ma!**

Natomiast przez 8 dni mogłem przyjrzeć się jak funkcjonuje ta niezwykle sprawna i wcale potężna machina zwana „Paul Anka — Show". Ponieważ zaś artysta tego typu występował w Polsce właściwie po raz pierwszy — i wystąpi jeszcze — sądzę, że interesujący może być krótki opis tego, co w rezultacie dawało dopiero spektakl oglądany przez publiczność pięciu polskich miast.

EKIPA. Paul Anka przebywał jeszcze z żoną w Paryżu, gdy do Polski przyleciała już jego ekipa. Złożona z pięciu muzyków, dyrygenta, elektryka, opiekuna zespołu i z podróżującego z Anką dla przyjemności pana Yorka, byłego wiceprezesa słynnych zakładów nagrań RCA Victor.

Opiekunem zespołu okazał się wuj Paula, John Anka; arcysympatyczny facet, Syryjczyk! Do jego obowiązków należała troska o to, aby Amerykanie mieli spokojny i łatwy żywot podczas pobytu w Polsce, aby Polacy nie mieli żadnych kłopotów z Amerykanami i aby do rąk młodzieży przekazać jakoś te dwa tysiące zdjęć Paula, które przytaskał ze sobą w specjalnej walizie.

John, mimo, że serce miał złote i chęci jak najlepsze, niemal co wieczór dostawał pierkielną awanturę. We Wrocławiu — od dyrekcji Hali Ludowej, bo rozdając zdjęcia wzniecił zamieszanie po zakończeniu spektaklu. W Łodzi — od Milicji Obywatelskiej — w ogólnym tłoku, przez pomyłkę. W Warszawie — od siostrzeńca, ponieważ zbyt energicznie rzekomo, odpędzał od niego rozentuzjazmowaną młodzież.

Ale John był niezmordowany! W Łodzi, gdy sytuacja wyglądała szczególnie groźnie, a milicjanci musieli używać najdziwniejszych sposobów aby rozpędzać tysiące młodzieży, przestrzegaliśmy go, aby dał spokój z dystrybucją gratisowych fotosów.

— Nie po to woziłem je przez ocean! — powiedział heroicznie. Po czym zdjął z ręki zegarek i oddał na przechowanie, pozapinał dokładnie płaszcz i dzielnie skoczył w tłum...

Elektryk dbał o aparaturę akustyczną. Najdoskonalszą jaką dotychczas widziały polskie estrady. To z czego korzystali Marini lub Dalida, wydaje się dziecinną zabawką w porównaniu z mikrofonizacją Paula Anki. A przy tym elektryk znał się na swej robocie wyjątkowo dobrze (co niezmiernie rzadkie). Przez cały spektakl ani na moment „nie spuszczał ucha" z tego co działo się na estradzie, wzmacniając lub osłabiając pewne mikrofony zależnie od potrzeby. Zazwyczaj, przy każdym z instrumentów występujących muzyków pracował co najmniej jeden mikrofon, raz tylko, na koncercie w Warszawie, gdy Paul walczył z przeziębieniem i miał kłopoty z gardłem, wyłączono całą mikrofonizację instrumentów, aby maksymalnie wydobyć wątły w tym dniu głos solisty...

Muzycy — świetni, gotowi na najbardziej zaskakujące niespodzianki, których zresztą Paul nie szczędził im na estradzie. W sumie — cała ekipa Anki stanowiła zespół idealnie zgrany. Przygotowywała teren dla pieśniarza w sposób tak bezbłędny, że Paul, który nigdy nie oglądał sceny przed występem i wchodził na nią dopiero z chwilą rozpoczęcia swych produkcji, czuł się wszędzie tak jak u siebie w domu. Mógł być absolutnie pewny, że nic go nie zawiedzie!

SPEKTAKL. Czyli tzw. show. Zgodnie ze zwyczajem obowiązującym w krajach zachodu, Paul wypełniał swym programem jedynie drugą część wieczoru. Pierwsza nie interesowała go zupełnie. Podczas pobytu w Polsce nie widział ani nie słyszał na estradzie dwu pieśniarek występujących w tym samym koncercie.

Mniej więcej na dwadzieścia minut przed końcem pierwszej części koncertu, John dzwonił do Paula do hotelu, zawiadamiając go, że czas zbierać się i przyjeżdżać. Anka zamykał się wtedy w pokoju wraz ze swym impresario, Mr Feldem; w hotelu a nie garderobie przebierał się i przygotowywał do występu. Samochód wiozący ich obu, zjawiał się przed teatrem zazwyczaj pod koniec przerwy oddzielającej obie części koncertu. Czasem — dopiero wtedy, gdy przerwa niepokojąco się już przedłużała i dyrygent czatował niecierpliwie, aby natychmiast, gdy tylko Paul stanie w drzwiach, rozpocząć uwerturę.

Otulony w płaszcz, Paul w nieodłącznym towarzystwie Mr Felda przemykał do garderoby i wynurzał się z niej dopiero wtedy, kiedy po skończonej uwerturze łomotały już bębny, a ja trzymałem w ręku mikrofon, aby zza kulis gromko anonsować: „Światowej sławy: Paul Anka!". Mówiłem to, gdy Paul zjawiał się wreszcie obok mnie, oddawałem mu mikrofon i — słuchałem burzy braw witającej go na estradzie.

Show Paula Anki składał się z dwu części. Pierwsza, to kilka jego najpopularniejszych piosenek, zakończonych brawurowym wykonaniem najsłynniejszej z nich: *Diany*. Potem owacja, kwiaty, Paul powracał na estradę, ściągał krawat i zapowiadał, że prawdziwy spektakl rozpocznie się dopiero teraz!... Następował „koncert życzeń". Publiczność podawała tytuły piosenek, które pragnie usłyszeć i Paul śpiewał te, jakich żądała większość. Czy jednak naprawdę kierował się tylko życzeniami publiczności? Czy wszystko to nie było z góry zaaranżowane?

Zapowiadałem 15 koncertów Paula Anki w Polsce i wiem na pewno, że była to naprawdę improwizacja i prawdziwy koncert życzeń (w ramach jego repertuaru). Oczywiście Paul naprowadzał publiczność na pewne wygodne dla siebie tory. I tak, jako pierwszą piosenkę tej improwizowanej części chciał śpiewać zawsze *Eso beso* — dawał to do zrozumienia i przeprowadzał swój zamiar. Jako ostatnią wykonywał — *Jambalayę*. Tak więc, gdy domagano się jej wcześniej nie zwracał uwagi na te właśnie życzenia a podchwytywał je dopiero wówczas, gdy zamierzał kończyć spektakl. Wszystko to jednak, co śpiewał między tymi dwiema pozycjami zależało już wyłącznie od słuchaczy; było codziennie inne, codziennie inaczej podawane, absolutnie nie ułożone wcześniej. Podobnie wszystkie zabawy Anki z publicznością nie zostały w najmniejszym nawet stopniu zaaranżowane.

Kiedy Paul definitywnie schodził z estrady, impresario podawał mu za kulisami płaszcz, Paul szybko przebiegał do samochodu i gdy na sali owacja trwała jeszcze w najlepsze — był już w drodze do hotelu. W gmachu teatru nigdy nie zatrzymywał się ani przez chwilę. Zbyt obawiał się tłumu entuzjastów, którzy blokowali potem wszystkie wyjścia, nie wierząc, że jego nie ma...

ROZMOWA. Prywatnie zobaczyłem go po raz pierwszy na próbie w Katowicach. Przyleciał dzień później niż orkiestra, o północy zjawił się w Hali Parkowej, gdzie polscy i amerykańscy muzycy pracowali razem już dobrych kilka godzin. Z początku wrażenie odniosłem negatywne: mały, przygarbiony, w okularach i z fajką... Zaczął osobiście dyrygować orkiestrą, pozmieniał trochę program, słuchał — sam nie śpiewał. Przedłużył próbę do czwartej rano, ale — okazało się, że to jedyna próba w ciągu całego tournee. — Potem — muzycy kontaktowali się z nim już tylko na koncertach.

Przez pierwsze dni Paul był absolutnie nieuchwytny, zamknięty w hotelowych pokojach. Widywałem go wyłącznie na estradzie. Dopiero później mogłem z nim nieco porozmawiać, choć nigdy w cztery oczy — zawsze w towarzystwie Mr Felda. I wtedy, przy trochę bliższym poznaniu okazało się, że Paul jest ogromnie sympatycznym chłopakiem. Bardzo kulturalnym, miłym, trochę jeszcze dziecinnym i trochę przerażonym własną, nieco obłędną popularnością. Nie przeprowadzałem z nim oficjalnego wywiadu, jedynie czysto towarzyskie rozmowy.

Oto odpowiedzi Paula na niektóre z mych pytań:

— Gdy skomponowałem swoją pierwszą piosenkę umiałem trochę czytać i pisać nuty. Grałem dość kiepsko na fortepianie i jeszcze gorzej na gitarze. Wystarczająco jednak, by zanotować melodię, a nawet jej tło harmoniczne. Nie uczyłem się przedtem muzyki w szkole. Miałem wtedy 16 lat... Od tego czasu znacznie zwiększyłem swą wiedzę muzyczną, lecz również bez pomocy pedagogów. Sam nad tym pracuję. Na instrumentach gram zresztą w dalszym ciągu nienajlepiej.

— Zdaję sobie sprawę że na występie nie śpiewam przez pełne 60 minut, lecz także dużo „błaznuję": śpiewam z publicznością, żartuję z muzykami, improwizuję okolicznościowe piosenki itd. Ale pamiętajmy, że to nie ma być recital pieśniarski: show ma swoją specyfikę. Na show publiczność przychodzi nie po to tylko, aby się „nasłuchać" ale i po to, żeby się zabawić. Większość młodych pieśniarzy amerykańskich opiera teraz swoje występy na zabawie z publicznością. Niemniej — o ile wiem tylko ja jeden naprawdę improwizuję całą drugą część programu.

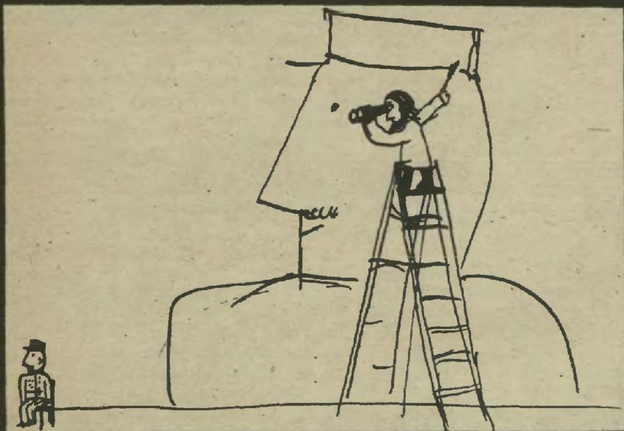
— Zazwyczaj pracuję przez sześć miesięcy w roku. Pracuję, tzn. występuję na estradzie, natomiast pozostałe pół roku przeznaczam nie tylko na odpoczynek, lecz również na komponowanie, dokształcanie się, nagrywanie płyt.

— Moja najnowsza piosenka to „Happy Birthday". Ukazała się na płycie tuż przed moim wyjazdem do Europy. Nie wiem jeszcze czy okaże się sukcesem czy nie; w USA trzeba odczekać przynajmniej trzy tygodnie, aby móc stwierdzić czy płyta jest bestsellerem. Pierwsze dni nigdy o niczym nie decydują.

— W Polsce po raz pierwszy mieszkałem w tym samym hotelu co moi muzycy. W innych krajach mieszkamy zawsze osobno. Przyczyny tego są dwie. Po pierwsze — ceny pokojów. Ja i moja żona musimy zatrzymywać się w najdroższych hotelach. Nie dlatego, żeby nam to sprawiało szczególną przyjemność, ale to należy do mojej „publicity". Mój impresario nigdy nie pozwoli mi na tańszy hotel, bo w tańszych hotelach mieszkają gwiazdy „drugiej kategorii". To może niemądre, niemniej tak się to traktuje. Płacę nieraz po 75 dolarów za dobę; dla muzyków jest to oczywiście suma o wiele za duża. A poza tym — z ich strony byłoby to bez sensu, oni nie muszą „reprezentować", mogą mieszkać taniej. Wyjątek stanowi mój dyrygent — musi być zawsze tam gdzie ja, ponieważ często pracujemy wspólnie o najdziwniejszych porach dnia lub nocy. Dlatego połowę jego wydatków hotelowych ja pokrywam.

Jest jednak i druga strona zagadnienia. Solista nie powinien

Teksty i rysunki ADAMA MACEDOŃSKIEGO



NIESAMOWITE ZZA DRZWI

TO były takie sobie zwykłe drzwi. Nikt by nawet nie przeczuwał co się za nimi kryje. Naprawdę trudno było przypuścić, że za nimi właśnie znajduje się TO! Bo niby dlaczego za zwykłymi drzwiami miałoby się znajdować coś tak niezwykłego??? A jednak TO właśnie tam się znajdowało. Tak jest... To prawda... To najprawdziwsza prawda, że właśnie za tymi zwykłymi, najzwyklejszymi drzwiami — znajdowało się właśnie TO. Wstrząsające zaskoczenie....! — zwykłe drzwi i... TO...!!! Nikt nie chciał z początku uwierzyć. Uważano że to jednak niemożliwe... A przecież tak właśnie było... Niesamowite!!! — Takie sobie zwykłe drzwi a za nimi... TO...!!... Trzymajcie mnie bo zwariuję... Naprawdę zwariuję!... Bo to przecież prawda... Najprawdziwsza prawda!!! — Za najzwyklejszymi drzwiami... TO? Niesamowite...!!! N i e s a m o w i t e...!!! **N I E S A M O W I T E...!!!!!!!!!**

PANI W KAPELUSZU Z RÓŻAMI

JEDNA pani szła raz ulicą. Na głowie miała kapelusz z różami. Od tych róż unosił się tak mocny zapach, że ta pani mdlała, wywracała się i wtedy trzeba było wzywać pogotowie. Pogotowie przyjeżdżało. Cuciło panią i odjeżdżało. — Pani wstawała, szła kilka kroków ale od róż na jej kapeluszu unosił się tak mocny zapach, że ta pani znowu mdlała, wywracała się i znowu trzeba było wzywać pogotowie. — Pogotowie przyjeżdżało, cuciło panią i odjeżdżało. — Pani wstawała, szła... i za chwilę znowu trzeba było wzywać pogotowie. I tak kilka razy... — W końcu pogotowie zostało i jechało krok w krok za tą panią tak, że gdy tylko zaczynała mdleć — pogotowie natychmiast ją cuciło, ponieważ było pod ręką. Gdy pani dochodziła już do swojej bramy — podszedł do niej jakiś człowiek i powiedział że przecież mogła zdjąć kapelusz lub wyrzucić z niego róże i nie byłoby kłopotu. Ale pani go ofuknęła i powiedziała żeby nie mieszał się do jej spraw, i że poza tym ona może nosić kapelusze tylko z różami, inaczej nie może.

Wtedy ten człowiek podszedł do panów z pogotowia i powiedział im że przecież mogli zdjąć tej pani kapelusz z głowy i wtedy mieliby mniej pracy i zaoszczędziliby czas i benzynę. Na to panowie z pogotowia popatrzyli na niego tak jakoś dziwnie i badawczo... oraz powiedzieli, że w tej sprawie mieli takie a nie inne zalecenie... W końcu nakrzyczeli na niego i przestraszyli go trochę. Człowiek bał się, że będzie miał nieprzyjemności, więc odszedł. Ludzie na ulicy bardzo się dziwili panom z pogotowia i pani w kapeluszu i śmiali się z ich głupoty, ale tylko na ucho, bo nie byli specjalnie odważni.

W UBEZPIECZALNI

PIELĘGNIARKI grały w domino. Wygrała jedna młoda ruda. Druga pogniewała się i poszła do ogrodu ochłonąć.

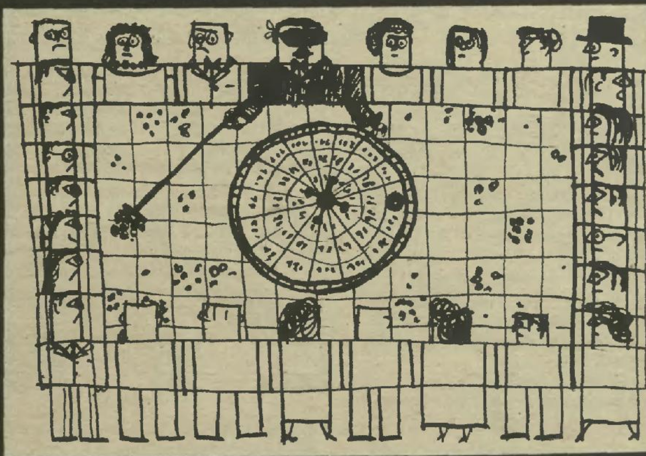
AFORYZMY

GDY stary dziadek nakręca budzik — wszyscy się śmieją.

KUCHARZ mieszając zupę w kotle myśli o egzotycznych kwiatach.

OPOWIADANIE PRZYSZŁOŚCIOWE

PEWIEN pan poszedł przemeldować się z Krakowa do Warszawy. Urzędnik włożył go do specjalnej maszyny zajmującej cały jeden kąt biura. Nastawił jedną strzałkę na Kraków ul. Krupnicza 22/17... a drugą na: Warszawa-Mokotów ul. TA i TA nr Ten i ten/Ten i Ten. — Potem nacisnął jeden z guzików i już.



OPOWIADANIE SPORTOWE

PIŁKARZE biegali po boisku. Lodziarz sprzedawał lody. Baba obarzanki. Dziecko siusiało na trawkę. W pewnym momencie wszyscy krzyknęli.. J..E...S...T...!!!!!!

PEWNEJ NOCY

PEWNEJ nocy w pewnym domu nagle sama otworzyła się szafa. Z szafy wyszedł podporucznik Kwiatkowski i powiedział „szafa gra". Wtedy pod dom zajechała straż pożarna. Przyjechały dwa gaziki pełne milicjantów. Przyjechał wiceminister. Utworzono dwie komisje. Uregulowano cenę żyletek do golenia. Ktoś wygłosił bardzo długie przemówienie. Pękła rura. Spadła cegła z dachu. Pewna pani się głośno zaśmiała. Zagrzmiało i błysnęło. Strażnik fabryczny kichnął. Chłopu spod Kalwarii pękła ośka. Dziecko sąsiadki się zakrztusiło. W ONZ zgłoszono protest. Radio nadało specjalny komunikat. Podporucznik Kwiatkowski dostał awans. Ja poszedłem spać. Ja to wszystko opisałem. Ja zapuściłem sobie wąsy.

DZIWNE DŹWIĘKI Z OKIEN KAMIENIC

JEDEN chłopiec spacerował z dziewczyną po ulicy. Był wieczór. Pachniały bzy. — Z okien kamienic dobiegały dziwne dźwięki... — To płakały dzieci.. Grały radia.. Krzyczeli pijacy.. Żony kłóciły się z mężami. Mężowie bili żony. Teściowe trzaskały drzwiami. We wspólnych kuchniach odbywały się walki między użytkownikami... Trzaskały talerze. Lała się woda. Machano siekierą. Otwierano konserwy. Wbijano gwoździe w ścianę. Palono w piecach. Truto się gazem. Śmiano się do rozpuku. Histeryzowano. Wybijano korki z butelek. Ścielono łóżka. Wysypywano śmieci. Klaskano w dłonie. Malowano ściany. Chrapano. Kaszlano. Chrząkano. Przeprowadzano głośne remonty. Dawano łapówki. Przesuwano meble. Gaszono światło. Wyłączano pralki. Szorowano podłogi. Zamiatano. Odkurzano. Myto naczynia. Kąpano dzieci. Prano pieluchy. Wzywano pogotowie. Stukano w sufit. Wołano z ganku. Wylewano pomyje. Przetykano zlewy. Naprawiano wodociąg. Zakładano anteny. Pisano podania. Zażywano lekarstwa. Cerowano spodnie. Pieczono strucle. Gotowano mleko. Stawiano bańki. Otwierano drzwi. Zamykano okna... — Chłopiec mówił dziewczynie o miłości. Byli dobrej myśli. Robiono plany na przyszłość...

żyć zbyt blisko, zbyt przyjacielsko ze swymi muzykami. Wtedy bowiem atmosfera na koncertach staje się raczej towarzyska niż zawodowa, nie ma tego ustawicznego napięcia z ich strony, które obecnie odczuwam natychmiast gdy wchodzę na estradę. Muzycy są czujni na każde moje zawieszenie głosu, każde skinienie ręki — dlatego mogę na scenie robić wszystko na co mam ochotę. Gdy zostaniemy przyjaciółmi, ich czujność natychmiast się rozluźni, zatracą wrażliwość, to normalne. I to przykre dla mnie. Ale to konieczne! Na moim spektaklu muzyk nie może ani przez chwilę znajdować się w stanie odprężenia — od tego zależy powodzenie występu.

— Koresponduję z tysiącami, czy nawet setkami tysięcy moich entuzjastów na całym świecie. Koresponduję niestety nie osobiście tylko poprzez pięć sekretarek. Listy, które otrzymuje młodzież, nie są pisane przeze mnie. Nie jest to lekceważenie, nie zła wola, tylko niemożliwość utrzymywania tak rozległej korespondencji. Natomiast wszystkie zdjęcia z autografami wysyłane przez moje biuro, podpisuję rzeczywiście ja sam — tutaj sekretarki mnie nie wyręczają. Po prostu gdy jestem w Nowym Jorku siadam na kilka godzin dziennie i tylko podpisuję i podpisuję... To męczące lecz i przyjemne! Potem te zdjęcia są stopniowo rozsyłane, wtedy, gdy ja jestem już nieraz daleko.

— Czy przyjadę do Polski znowu? Wszystko wskazuje na to że tak! Pozostaje jedynie kwestia terminu. Mnie osobiście najbardziej odpowiadałby już luty 1964. Wracamy teraz do Stanów i w lutym przyjeżdżamy właśnie na ponowne tournée do Europy. W każdym razie nikomu z moich polskich słuchaczy nie mówię „żegnaj", wszystkim mówię „do widzenia".

— Mnie mówiąc „do widzenia", Paul wręczył maleńki upominek. Taki których rozdał w Polsce chyba kilkadziesiąt (naturalnie rękami niestrudzonego Johna). Jest to reklamowa zapalniczka, przy czym reklama jest typowo amerykańska, pełna lekko sztubackiego wdzięku: na każdej z tych zapalniczek wygrawerowany jest napis: „Stolen from Paul Anka" — „Skradzione Paulowi Ance".

POST SCRIPTUM. Obawialiśmy się trochę przyjazdu Anki. Po pierwsze dlatego, że przestrzegano nas jak bardzo wymagające są wielkie gwiazdy zza oceanu jeśli chodzi o warunki hotelowe, warunki podróży itd. Po drugie nie wiadomo było jak zareaguje nasza młodzież na spotkanie ze swym ulubieńcem. Okazało się jednak, że:

Po pierwsze: ekipa Paula Anki, a także on sam była jedną z najsympatyczniejszych grup, jakie PAGART kiedykolwiek sprowadził do Polski. Skromni, spokojni, pogodni, zadowoleni z wszystkiego, nie sprawiający nigdy najmniejszych trudności.

Po drugie: Paul Anka zachowuje się na scenie sympatycznie i kulturalnie i tak też zachowywała się nasza młodzieżowa publiczność. Występy Paula Anki były imprezami pełnymi młodzieńczego wdzięku, temperamentu i młodzieńczej wesołej zabawy.

I dlatego teraz, już nie tylko z niecierpliwością ale i ze spokojem oczekujemy ponownego przyjazdu do nas tego utalentowanego pieśniarza i kompozytora!

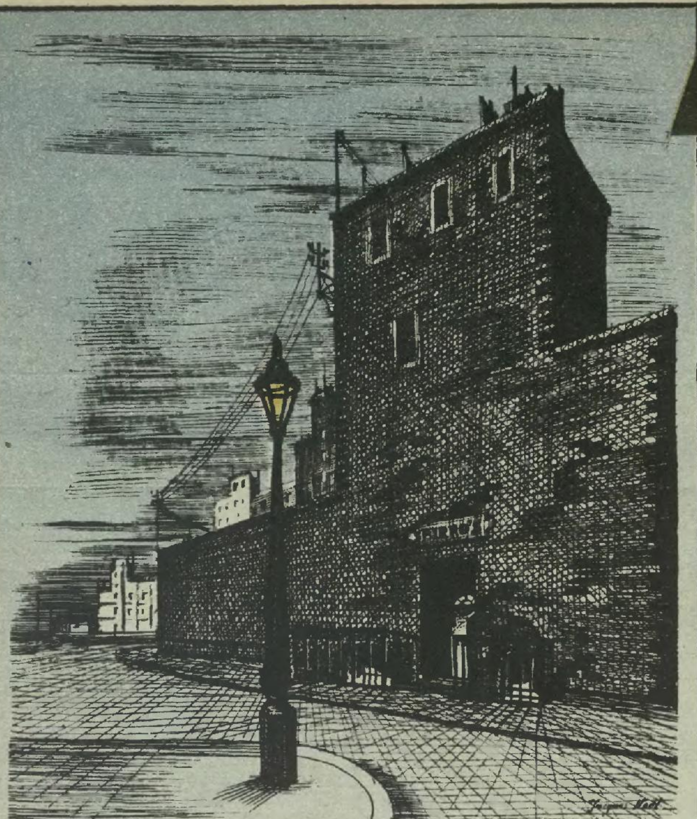
LUCJAN KYDRYŃSKI



Stanley Ellin

NOWELA 13 minut

DANIE



Na pustej ulicy, w domu z ceglaną fasadą, restauracja „U Sbirra", ostatnia oświetlana gazem...

— A TO — powiedział Laffler — to jest „U Sbirra".

Costain zobaczył kwadratową fasadę z cegieł, podobną do wszystkich innych, które rozciągały się w lepkiej ciemności, po obu stronach wyludnionej ulicy. U jego stóp, z zakratowanych okien sutereny, przez szpary między zasłonami, przebijało światło.

— Co za dziura — rzekł.

— Zrozum pan — powiedział Laffler chłodno — że „U Sbirra" jest restauracją bez pretensji. W tych okrutnych i niespokojnych czasach, w których żyjemy, jej właściciel postanowił nie iść na kompromisy. Jest to, w naszym mieście, może ostatni z lokali pewnej rangi, oświetlony gazem. Znajdzie pan tutaj te same stare stoły, te same wspaniałe srebra, a nawet, w odległym kącie, te same pajęczyny, które znali już klienci sprzed pół wieku.

— Nieszczególna atrakcja — rzekł Costain — a w każdym razie mało higieniczna.

— Wchodząc tam — ciągnął Laffler — zostawi pan za sobą obłęd świata i na krótki moment wzniesie się pan duchowo, spotkawszy nie bogactwo, lecz godność, tę cnotę zagubioną w naszych czasach.

Costain uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Słuchając pana — powiedział — można by sądzić, że chodzi o katedrę, nie restaurację.

W bladym świetle latarni Laffler zmierzył wzrokiem swojego towarzysza.

— Zastanawiam się — powiedział ostrym tonem — czy nie pomyliłem się, zapraszając pana.

Costain poczuł się dotknięty. Mimo wysokiego stanowiska i pokaźnej gaży, był tylko urzędnikiem tego pretensjonalnego małego jegomościa, uznał jednak iż trzeba się odciąć.

— Jeśli pan sobie życzy — powiedział zimno — mogę zmienić plany i spędzić wieczór gdzie indziej.

Laffler utkwił w nim swoje wole oczy. Jego czerwona twarz, do której przywarła mgła, miała wyraz niepewności.

— Nie, nie — odezwał się w końcu. — Cóż znowu. Jest bardzo ważne, żeby pan zjadł ze mną kolację u Sbirra.

Chwycił krzepko ramię Costaina i pociągnął go ku kracie kutej z żelaza, wiodącej do sutereny.

— A to dlatego — ciągnął — że w biurze pan jeden rozumie się coś niecoś na dobrym jedzeniu. Dla mnie, znać tę restaurację i nie podzielić się sekretem z kimś kto potrafi ją ocenić, to tak jak mieć rzadkie dzieło sztuki zamknięte pod kluczem, przez nikogo nie oglądane.

— Niektórzy kolekcjonerzy mają ten egoizm — wtrącił Costain.

— Nie należę do nich. Ukrywanie latami tajemnicy istnienia tego lokalu stało się dla mnie nieznośne.

Szukał przez chwilę ręką obok kraty, potem rozległ się we wnętrzu wątły dzwoneczek. Drzwi otworzyły się i Costain znalazł się nos w nos ze słabo widoczną twarzą.

— Panowie?... — odezwała się pytająco twarz.

— Laffler i jego gość — powiedział Laffler.

— Panowie... — zabrzmiało, tym razem tonem zapraszającym. Człowiek odstąpił na bok. Costain, poprzedzany przez Lafflera, zszedł po kilku schodach i znalazł się w małym westybulu. Trzeba mu było kilku chwil, żeby zorientować się, że sylwetka która mu się przyglądała, była niczym innym jak odbiciem jego samego w ogromnym lustrze, sięgającym od podłogi do sufitu.

— Co za atmosfera — pomyślał, trochę rozbawiony, podchodząc za Lafflerem do stołu.

USIEDLI naprzeciw siebie. Costain rozejrzał się ciekawie. Sala była nieduża, a pół tuzina kinkietów gazowych, stanowiących jedyne oświetlenie, rzucało blaski tak mylące, że ściany zdawały się chwiać, a chwilami pogrążały się w czymś jak gęsta mgła.

Nie było więcej jak osiem do dziesięciu stolików, rozstawionych tak by zapewnić biesiadnikom maksimum intymności. Wszystkie były zajęte. Kelnerzy, nieliczni, poruszali się między stołami bez niepotrzebnych gestów. W powietrzu brzmiał dyskretny szczęk nakryć i ledwie słyszalny szept rozmów. Costain pokiwał głową z uznaniem.

Laffler odetchnął z ulgą.

— Wiedziałem, że podzieli pan mój entuzjazm — rzekł. — Czy zauważył pan, że nie ma tu kobiet?

Costain podniósł brwi pytająco.

— Sbirro — wytłumaczył Laffler — nie zachęca przedstawicielek płci słabej do odwiedzania jego lokalu. Niedawno byłem świadkiem porażki kobiety, która się tutaj zapędziła. Siedziała przez godzinę przy stole, czekając na próżno by kelner przyjął od niej zamówienie.

— Nie zrobiła awantury?

— Owszem — Laffler uśmiechnął się na to wspomnienie. — Udało jej się spowodować zamieszanie wśród klientów i postawić swego towarzysza w kłopotliwej sytuacji, nic ponadto.

— A Sbirro?

— Nawet się nie pofatygował. Czy kierował z ukrycia tą kampanią? Nie wiem. Tak czy owak odniósł całkowite zwycięstwo. Dama więcej nie powróciła, ani też głupiec, który ją tu wówczas przyprowadził.

— Niedwuznaczna przestroga dla innych — skonstatował Costain, zaczynając się śmiać.

Wyrósł przed nimi kelner. Jego ciemna cera, nos i wargi delikatnie wymodelowane, duże wilgotne oczy o bujnych rzęsach, srebrno-białe włosy tak gęste i jedwabiste, że sprawiały wrażenie peruki — wszystko to wskazywało na Hindusa, a w każdym razie człowieka Wschodu. Kelner pociągnął lekko obrus dla wyrównania jakiejś niewidocznej fałdki, napełnił mrożoną wodą dwa duże kubki kryształowe i postawił po prawej stronie każdego z mężczyzn.

— Czy jest danie firmowe? — spytał żywo Laffler.

Kelner uśmiechnął się przepraszająco, prezentując idealnie białe zęby.

— Przykro mi, proszę pana, ale nie ma dzisiaj firmowego dania.

Laffler nie potrafił ukryć rozczarowania.

— Już tak dawno... ponad miesiąc, nie było dania firmowego. Miałem nadzieję ugościć mojego przyjaciela.

— Pan zdaje sobie sprawę z naszych trudności...

— Oczywiście, oczywiście.

Laffler ze smutkiem spojrzał na Costaina, potem wzruszył ramionami.

— Życzy pan sobie być teraz obsłużonym? — spytał kelner. Laffler potaknął głową, ale ku zdumieniu Costaina kelner oddalił się, nie biorąc zamówienia.

— Zamówił pan z góry? — spytał.

— Ach, powinienem był pana uprzedzić, że Sbirro nie pozostawia wyboru. Będzie pan jadł to samo, co wszyscy goście tutaj. Jutro menu będzie całkiem inne, ale znowu identyczne dla wszystkich.

— Nadzwyczajne — powiedział Costain. — I jakże czasem niemiłe. A jeśli nie lubi się tego, co podają?

— O to niech się pan nie obawia — rzekł Laffler uroczyście. — Mogę dać słowo, że jakkolwiek byłby pan wymagający, zje pan do ostatniego kęsa to co pan otrzyma.

Na widok sceptycznej miny Costaina, zaczął się śmiać.

— Czy pomyślał pan o zaletach tego systemu? Kiedy studiuje pan kartę jakiejkolwiek restauracji, gubi się pan w labiryncie dań. Musi pan szacować, głowić się, wreszcie uczynić wybór którego być może zaraz pan pożałuje. Wynika z tego uczucie przykrości, które ciąży, jakkolwiek byłoby nieznaczne. A niech pan pomyśli o innych aspektach zagadnienia. Zamiast kuchni, gdzie gromada kucharzy ugania się w pocie czoła, jest tutaj jeden kucharz, spokojny, pogodny, poświęcający cały swój talent dla wykonania jednego tylko zadania, z góry pewny swojego triumfu.

— A więc odwiedzał pan kuchnię?

— Niestety nie. Obraz, który panu maluję, jest domyślny, stworzyłem go na podstawie małych fragmentów rozmów, podchwyconych w ciągu lat. Przyznam się jednak, że wizyta w kuchni tej restauracji stała się moją obsesją.

— Mówił pan o tym ze Sbirrem?

— Dziesiątki razy. Wzruszał tylko ramionami.

— Reakcja, powiedziałbym, mało sympatyczna.

— Ależ nie, nie — pośpiesznie zaprzeczył Laffler. — Wybitny artysta nie ma obowiązku naginać się do reguł fałszywej uprzejmości. Zresztą mimo wszystko nie straciłem nadziei.



Drukowana tutaj nowela młodego lecz znanego już amerykańskiego autora, zrobiła karierę. Figuruje w antologiach i cytowana jest jako charakterystyczny utwór pewnego rodzaju literackiego, w którym fantazja łączy się z ironią i swoistym,

FIRMOWE

Ilustracje: Jacques Noël

Tłumaczył A. KACZANOWSKI

POJAWIŁ się kelner, niosąc dwa głębokie talerze. Z matematyczną precyzją ustawił je przed Lafflerem i Costainem, jak również wazę, z której napełnił talerze jasnym rzadkim bulionem.

Costain zanurzył łyżkę i skosztował z ciekawością. Rosół miał smak delikatny, prawie mdły. Costain skrzywił się lekko. Poszukał wzrokiem soli i pieprzu. Nie było ich na stole. Zobaczył, że Laffler go obserwuje. Uśmiechnął się więc i powiedział, wskazując talerz:

— Znakomite.

Laffler odpowiedział uśmiechem.

— Wcale nie uważa pan tego za znakomite — rzekł chłodno. — Dla pana bulion jest bez smaku, nie przyprawiony. Wiem o tym, gdyż takie samo było moje wrażenie, wiele lat temu i tak jak pan, po pierwszej łyżce chciałem go posolić i dodać pieprzu. Wtedy odkryłem ze zdziwieniem, że Sbirro nie daje żadnych przypraw do dyspozycji swoim klientom.

— Nawet soli?

— Nawet. Sam fakt, że chciał jej pan dodać do zupy dowodzi, że pański zmysł smaku jest przytępiony. Jestem pewien, że zrobi pan to samo doświadczenie co ja: z chwilą gdy zje pan do końca bulion, już nie będzie się panu chciało soli.

W miarę jedzenia Costain z rosnącą przyjemnością odkrywał wszystkie smakowe niuanse bulionu. Laffler odstawił pusty talerz i oparł łokcie na stole.

— Zgadza się pan teraz ze mną?

— Ku wielkiej mojej niespodziance, tak — przyznał Costain.

Kelner sprzątnął talerze. Ton Lafflera stał się bardziej poufny.

— Nieobecność przypraw jest tylko jedną ze specjalności tego lokalu — powiedział. — Lepiej, żebym pana od razu uświadomił. A więc nie dostanie pan tu żadnych napojów alkoholowych. Ściśle mówiąc, podają tylko wodę, napój podstawowy i jedyny potrzebny człowiekowi. Palenie tytoniu, pod jakąkolwiek postacią, jest również zabronione.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął Costain. — Ten lokal przypomina bardziej kryjówkę naturystów, niż przybytek smakoszów, czyż nie?

— Boję się — rzekł Laffler, znów uroczysty — że myli pan pojęcia „smakosz" i „łakomy". Ten ostatni zażera się, poszukując wciąż nowych wrażeń dla swych stępionych zmysłów. Prawdziwy smakosz przenosi prostotę ponad wszystko. Pasterz grecki w swym zgrzebnym chitonie, chrupiący dojrzałą oliwkę, Japończyk siedzący w pokoju bez sprzętów i kontemplujący wygięcie łodygi kwiatu, oto prawdziwi smakosze.

trochę szokującym humorem. Wśród autorów tego gatunku (należy do nich znany naszym czytelnikom Roald Dahl) — Ellin odznacza się dobrym piórem i umiejętnością stwarzania odpowiednio niesamowitej atmosfery.

— Kropla koniaku, raz na jakiś czas, czasem fajka, wydają mi się nieszkodliwe.

— Przeplatając używki z narkotykami, łamie pan subtelną równowagę swojego smaku w sposób tak gwałtowny, że pozbawia się pan najcenniejszej rzeczy jakiej ten zmysł dostarcza: możności cieszenia się dobrym jedzeniem.

— Czy mogę spytać, dlaczego przypisuje pan wszystkie te restrykcje motywom natury estetycznej? A może powód jest w wysokich podatkach od wyszynku alkoholu. Może właściciel boi się, że klienci będą niezadowoleni z zadymiania papierosami tak małego pomieszczenia.

Laffler zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

— Gdy pozna pan Sbirra, zrozumie pan od razu, że nie jest on człowiekiem zdolnym kierować się tak przyziemnymi względami. To on pierwszy dał mi poznać to co pan nazywa „motywami natury estetycznej".

— Ciekawy facet — rzekł Costain, podczas gdy kelner uwijał się podając następne danie.

BYŁA to pieczeń podlana gęstym sosem, bez żadnych jarzyn. Para unosząca się z potrawy niosła do nozdrzy Costaina subtelny, apetyczny zapach, od którego ślina napływała do ust. Costain żuł pierwszy kęs powoli i z taką uwagą, z jaką mógłby analizować szczegóły symfonii Mozarta. Doświadczał przy tym doprawdy niezwykłej gamy wrażeń, zaczynając od przyjemności jaką sprawiało chrupnięcie pod zębem zewnętrznej skorupki mięsa, aż do rozkoszowania się mdłym ale upajającym smakiem krwawego wnętrza pieczeni, na pół surowego.

Przełknąwszy ten kęs, poczuł dziką żądzę następnego i jeszcze następnego, tak że musiał zrobić wysiłek, by nie pochłonąć, jak ktoś wygłodzony, całej pieczeni wraz z sosem od razu. Dopiero gdy wyskrobał do czysta talerz, zauważył że nie zamienili z Lafflerem podczas jedzenia ani słowa.

Powiedział o tym Lafflerowi. Ten odrzekł:

— Myśli pan, że wobec takiej doskonałości potrzebne są słowa?

Costain rozglądnął się i ujrzał salkę z jej starą tapetą, niepewnym światłem i cichymi biesiadnikami, w jakimś innym niż przedtem wymiarze.

— Nie — przyznał pokornie. — Muszę odwołać swoje zastrzeżenia. Przyznaję panu rację w stu procentach. W pochwałach, które pan wygłaszał pod adresem Sbirra, nie było ani cienia przesady.

— A widzi pan! — ucieszył się Laffler. — I to jeszcze nie wszystko. Słyszał pan, że dopytywałem się o danie firmowe, którego na nieszczęście dzisiaj nie ma. To co pan jadł, jest niczym w porównaniu z daniem firmowym.

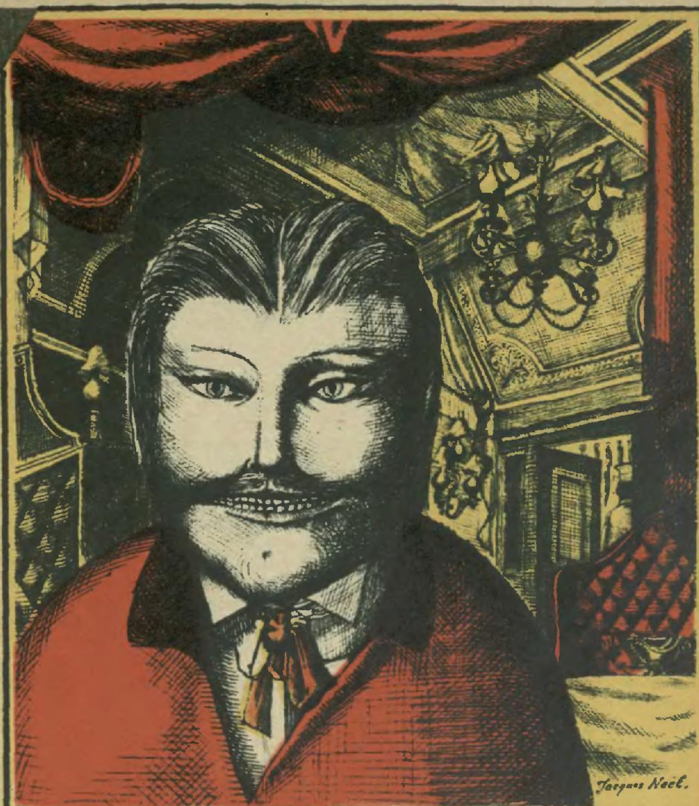
— Co pan mówi! Cóż to jest zatem? Słowicze języki? Filety z jednorożca?

— Ani jedno ani drugie. Jagnię.

— Jagnię?

Laffler namyślał się przez chwilę.

— Gdybym wyraził mój szczery pogląd na tę potrawę — rzekł wreszcie — wziąłby mnie pan za wariata, gdyż samo jej wspomnienie głęboko mną wstrząsa. Nie są to kotlety, zawsze zbyt tłuste, ani udziec, zbyt twardy. Jest to jakaś



Twarz z pewnością niezwykła, lecz obserwując ją miało się wrażenie iż jest skądś znajoma...

szczególna część jagnięcia, najrzadszego w świecie, którego nazwa brzmi: jagnię z Amirstanu.

— Z Amirstanu? — zdziwił się Costain.

— Tak się nazywa górski zakątek Afganistanu. Z tego co mówił mi Sbirro, wywnioskowałem, że na tej połoninie pasą się ostatnie przeżytki wspaniałej i licznej niegdyś rasy baranów. Sbirro posiadł jakimś sposobem wyłączność nabywania tych jagniąt i jest jedynym restauratorem na świecie, mogącym wpisać to danie na swoją kartę. A i tutaj ukazuje się ono nieczęsto, trzeba prawdziwego szczęścia by trafić na ów dzień.

— Czy Sbirro nie mógłby uprzedzać swoich klientów?

— To nie miałoby sensu. Miasto roi się od zaprzysiężonych obżartuchów. Gdyby wiadomość się rozeszła, ci ludzie z samej ciekawości przyszliby skosztować potrawy i sprzątnęliby ją sprzed nosa prawdziwym amatorom, których pan tutaj widzi.

— Chce pan przez to powiedzieć, że te osoby tutaj jedyne w mieście, a jeśli dobrze rozumiem jedyne w świecie, znają istnienie lokalu?

— W przybliżeniu, tak. Jednego lub dwóch spośród stałych klientów, z tych czy innych przyczyn, brakuje dzisiaj. Każdy z klientów — tu głos Lafflera zabrzmiał *ostrzegawczo* — ma sobie za punkt honoru dochowanie ścisłej tajemnicy. Przyjmując moje zaproszenie, automatycznie zobowiązał się pan do tego samego. Przypuszczam, że mogę panu zaufać.

Costain zaczerwienił się.

— Fakt, iż jestem pana urzędnikiem, może sam przez się stanowić gwarancję. Czy nie szkoda jednak, że szereg znawców dobrego jedzenia pozbawionych jest dostępu tutaj?

— Czy wie pan, co byłoby skutkiem *pańskiej* polityki? — powiedział Laffler z goryczą. — Napływ idiotów, którzy wpredce zaczęliby mieć pretensje, że nigdy nie mogą tu zjeść kaczki w sosie czekoladowym.

— Jestem zmuszony przyznać panu rację — powiedział Costain.

Laffler, z wyrazem zmęczenia, opadł plecami na oparcie krzesła i przesunął ręką po oczach, niepewnym gestem.

— Jestem człowiekiem samotnym — powiedział cicho — choć samotności nie wybrałem. Może się to panu wydać dziwne, nawet chorobliwe, ale w duszy traktuję ten lokal, ten zaciszny port wśród nieczułego i dotkniętego obłędem świata, zarazem jak swoją rodzinę i jak przyjaciela.

W tym momencie Costain, który zawsze dotąd widział w Lafflerze tylko tyrańskiego zwierzchnika, poczuł że ogromna litość ściska mu wypełniony mile żołądek.

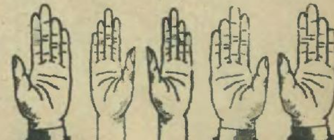
PO DWÓCH tygodniach, zapraszanie przez Lafflera Costaina na kolację do Sbirra, stało się codziennym rytuałem. Ukończywszy pracę biurową, Costain zamykał swoją klitkę i wychodził na korytarz. Dawniej zapalał zwykle w tym momencie papierosa, ale ostatnio, pod wpływem Lafflera, próbował odzwyczajać się od palenia. Na korytarzu, jak by trafem, Laffler wyrastał u jego boku i pytał:

— Cóż tam, Costain? Żadnych projektów na wieczór?

— Żadnych, jestem wolny jak ptak — odpowiadał Costain. Albo: — Jestem do pańskiej dyspozycji.

Zastanawiał się, czy nie wypadałoby czasem odmówić. Ale widząc radość Lafflera i przyjazny gest, jakim zwierzchnik łapał go z miejsca pod ramię, odstępował od tego zamiaru.

Ponadto, mówił sobie Costain, wobec niepewności panującej w świecie interesów, czyż może być pewniejsza droga do kariery



jak zapewnienie sobie sympatii szefa? Już sekretarz rady administracyjnej publicznie wspomniał o szacunku, jakim cieszy się Costain u Lafflera. Wszystko więc dobrze się układało.

A co mówić o kolacjach, niezrównanych kolacjach u Sbirra! Pierwszy raz w życiu Costain, człowiek chudy i kościsty, z satysfakcją stwierdził, że przybiera na wadze. W ciągu piętnastu dni kości zniknęły pod warstwą jędrnego gładkiego ciała, pokazał się nawet zaczątek przyszłego brzuszka. Pewnego dnia, w kąpieli, Costainowi przyszło na myśl, że Laffler, obecnie okrąglutki, przed odkryciem lokalu „U Sbirra" mógł być chudzielcem.

Costain miał więc tylko coś do zyskania, nic do stracenia, przyjmując propozycje Lafflera. Gdy pokosztuje słynnego jagnięcia i pozna Sbirra, dobrą polityką będzie raz czy dwa odmówić. Jednak nie przedtem.

Tego wieczoru, równo dwa tygodnie po pierwszej bytności u Sbirra, Costain ujrzał z radością oba swoje życzenia spełnione za jednym zamachem. Obie rzeczy przewyższyły jego oczekiwania.

Gdy zajęli miejsca i kelner, nachyliwszy się, rzekł poważnie: — Dzisiaj jest danie firmowe — Costain uczuł ze zdziwieniem, że serce bije mu jak dzwon. Na stole, przed sobą, zobaczył drżące ręce Lafflera. „Ależ to nienormalne — pomyślał nagle — żeby dwóch dorosłych mężczyzn, niby to inteligentnych i w pełni władz, merdało jak para piesków oczekujących pełnej miseczki".

— Jest pan wzruszony, prawda? — rzekł Laffler. — I zażenowany. Wiem co pan myśli, bo sam miałem ongi taką reakcję. Cierpi pan, stwierdzając że człowiek, jak jakiś czworonóg, ślini się na myśl o mięsie.

— A inni? — wyszeptał Costain. — Odczuwają to samo?

— Niech pan sam osądzi.

Costain rzucił ukradkowe spojrzenie na salę i rzekł:

— Ma pan rację, przynajmniej nie jest się odosobnionym.

— Jeden ze stałych klientów będzie przykro zawiedziony — rzekł Laffler, obracając głowę. Costain poszedł za jego spojrzeniem. Przy stole, który wskazywał Laffler, siedział samotny gość. Krzesło naprzeciw niego było puste.

— Zaraz, czy nie siaduje tam zwykle bardzo gruby łysy facet? Zdaje mi się, że byłaby to pierwsza od dwóch tygodni kolacja, którą opuścił.

— Pierwsza od dziesięciu lat, ściśle mówiąc — powiedział Laffler z nutą uznania. — Bez względu na niepogodę czy inne możliwe przeszkody, pojawiał się każdego dnia, odkąd ja sam tu uczęszczam. Niech pan sobie wyobrazi jego żal na wiadomość, że przy pierwszej jego absencji akurat było na kolację danie firmowe.

— Kochany pan Laffler! Do tego z przyjacielem! Jakże się cieszę, naprawdę jestem ogromnie szczęśliwy — odezwał się głos nad uchem Costaina. — Nie, nie przeszkadzajcie sobie panowie, wezmę krzesło.

KRZESŁO jak by spod ziemi wyrosło za mężczyzną, stojącym przy ich stole.

— Zechce mnie pan przedstawić swojemu towarzyszowi? — zwrócił się mężczyzna do Lafflera.

Prezentacja została dokonana. Ręka, którą uścisnął Costain, była sucha i gorąca, jak rozpalony kamień.

— Mój przyjaciel jada tu od dwóch tygodni — rzekł Laffler. — Jest na dobrej drodze do stania się pańskim żarliwym wielbicielem.

— A zatem mój niepozorny lokal podoba się panu? Jakże mnie to uszczęśliwia, niezmiernie uszczęśliwia. Ale dopiero dzisiaj czeka pana prawdziwa uczta. Jagnię z Amirstanu będzie sukcesem. Zajmowałem się tym od rana osobiście, w mojej skromnej kuchni, pilnując żeby ten idiota kucharz zrobił wszystko jak trzeba. To „jak trzeba" jest istotne, nieprawdaż?

Słowa płynęły nieprzerwanym cichym potokiem. Skrzyły się, mruczały, hipnotyzowały. Usta, z których wydobywał się ów gładki monolog, były alarmująco duże, a wąskie ich wargi podnosiły się i wykręcały za każdą sylabą. Pod płaskim nosem, rzadki nieregularny zarost tworzył niewyraźne linie. Oczy, szeroko rozstawione, skośne, błyszczały w świetle gazowych kinkietów. Długie przylizane włosy, sczesane od wierzchołka czaszki ku czołu bez zmarszczek, były tak jasne, iż wydawały się utlenione. Razem twarz z pewnością niezwykła, a jednak patrząc na nią, Costain miał denerwujące przekonanie, iż jest mu skądś znajoma. Jednak na próżno grzebał w pamięci, nie obudziło się żadne wspomnienie.

— Jagnię z Amirstanu przewyższa wszystko, co pan dotychczas jadł — ciągnął Sbirro. — Wszystkie trudy żeby je zdobyć, wszystkie kłopoty z przyrządzeniem go, w pełni się opłacają.

Costain usiłował oderwać myśl od torturującego go problemu twarzy Sbirra.

— Zastanawiałem się — rzekł — dlaczego raczy pan klientów daniem tak trudnym do realizacji. Bez wątpienia inne tutaj potrawy są dostatecznie wyśmienite dla podtrzymania pana reputacji.

Sbirro uśmiechnął się tak szeroko, iż twarz jego stała się całkiem okrągła.

— Kwestia psychologii — powiedział. — Ktoś odkrywa cudowną rzecz i pragnie podzielić się z innymi. A zresztą, może to tylko chwyt handlowy.

— Biorąc pod uwagę to co pan mówi, oraz wszystkie restrykcje wobec klientów, dziwię się, że zamiast publicznej restauracji nie prowadzi pan zamkniętego klubu.

Błyszczące spojrzenie zanurzyło się w oczach Costaina, potem uciekło w bok.

— Nie jest pan tak przenikliwy, jak się panu zdaje. Wytłumaczę panu. Publiczna restauracja stwarza większą intymność, niż klub. Tu nikt nie zajmuje się pana sprawami, pana życiem. Tutaj się jada. Nie jesteśmy ciekawi adresów naszych gości, ani powodów dla których przychodzą. Jesteśmy szczęśliwi mogąc pana nakarmić, ale nie zmartwimy się, gdy przestanie pan u nas bywać. Oto moje stanowisko. Co pan na to?

Costaina zdziwiła gwałtowność tej wypowiedzi.

— Nie chciałem być niedyskretny — wybełkotał.

Sbirro oblizał sobie wargi końcem języka.

— Nie jest pan niedyskretny, przeciwnie, domagam się dalszych pytań.

— Nie daj się pan onieśmielić, Costain — wtrącił się Laffler. — Znam Sbirra od lat i ręczę, że więcej krzyczy, niż gryzie. Zanim się pan obejrzy, zdradzi panu wszystkie tajemnice firmy, z tym naturalnie, że nie wpuści pana do swojej szacownej kuchni, to się rozumie samo przez się.

— Na to będzie musiał pan Costain poczekać — uśmiechnął się Sbirro. — We wszystkim innym jestem do usług.

— Nie mówiłem? — wykrzyknął Laffler. — W takim razie niech nam pan zdradzi, czy ktoś prócz personelu wszedł kiedykolwiek do przybytku.

Sbirro podniósł oczy.

— Nad głową pana wisi portret człowieka, któremu uczyniłem ten zaszczyt. Wielki mój przyjaciel, jeden z najstarszych wiernych klientów.

Costain spojrzał na portret.

— Ależ to ten słynny pisarz... wie pan, Laffler... autor cudownych nowel i cynicznych maksym. Pewnego pięknego poranka zwinął manatki i wyniósł się nagle do Meksyku, gdzie stracono jego ślad.

— Naturalnie! — zawołał Laffler. — Siadywałem latami pod portretem i nie zwróciłem uwagi! Przyjaciel, mówi pan? W takim razie jego zniknięcie musiało pana zmartwić.

Twarz Sbirra przeciągnęła się.

— Ogromnie. Lecz pocieszam się myślą, że być może miał śmierć wspanialszą niż życie, był bowiem człowiekiem nieszczęśliwym.

— Jest pan pewny jego śmierci? — rzekł Costain. — Nie było wszak dowodów.

— Nie było — przyznał Sbirro. — Dziwne, nieprawdaż?

DANIE przybyło. Sbirro skoczył na nogi i zadał sobie trud obsłużenia przyjaciół osobiście. Oczy mu błyszczały, gdy brał z tacy rondelek i ze zmysłową radością wciągał unoszący się z niego zapach. Uważając, by nie uronić ani kropli, napełnił talerze małymi kawałkami mięsa ociekającego sosem. Czynność ta, zdawało się, wyczerpała go, gdyż opadł potem na krzesło i głęboko odetchnął. — Smacznego, panowie — rzekł.

Costain starannie pogryzł pierwszy kęs i połknął go. Następnie rozjaśnionym wzrokiem przyjrzał się zębom swojego widelca.

— Wielkie nieba! — wymruczał.

— Smaczne, prawda? Lepsze niż pan się spodziewał?

Costain potrząsnął głową, jak by w odurzeniu.

— Przypuszczam, że niewtajemniczonemu trudno ocenić z miejsca cudowność smaku jagnięcia z Amirstanu, tak jak śmiertelnemu trudno zajrzeć na dno własnej duszy — powiedział.

— Być może — przy tych słowach Sbirro pochylił głowę, tak że Costaina owionął jego ciepły nieświeży oddech — być może właśnie przed chwilą rzucił pan okiem na dno swojej duszy, drogi panie.

Costain cofnął się, uważając by gest ten nie wypadł obraźliwie.

— Może — powiedział. — I jakiż to zachęcający obraz: nic, tylko kły i pazury. Jednak, bez urazy pańskiej, nie chciałbym budować swojej filozofii na jagnięciu duszonym w sosie.

Sbirro wstał i położył lekko rękę na ramieniu Costaina.

— Taki rozsądny! — rzekł. — Pewnego dnia, gdy nie będzie pan miał nic innego do roboty, jak tylko usiąść sobie w ciemnym pokoju i pomyśleć o świecie, o tym czym on jest i czym się stanie, wówczas niech pan poświęci chwilę refleksji znaczeniu jagnięcia w mitologiach. Jakże to będzie ciekawe. A teraz — skłonił się głęboko przed dwoma biesiadnikami — nie będę dłużej przeszkadzał panom w jedzeniu. Byłem niezmiernie uszczęśliwiony — zwrócił się do Costaina — i jestem pewien, że jeszcze się spotkamy.

Zabłysły zęby, zaświeciły oczy i Sbirro oddalił się przejściem między dwoma rzędami stołów.

— Czy obraziłem go? — spytał Costain. Laffler oderwał wzrok od talerza.

— Ależ nie. On ubóstwia tego rodzaju rozmowy. Dla niego jagnię z Amirstanu ma coś obrzędowego. Wystarczy, że dotknie pan tej struny, a Sbirro natychmiast rzuci się na pana z zapałem dziesięć razy większym, niż misjonarz dokonujący nawrócenia.

Costain zajął się posiłkiem, dręczony wciąż wspomnieniem twarzy Sbirra. — Ciekawy człowiek — rzekł. — Bardzo ciekawy.

— Nie lubię używać superlatywów — powiedział Laffler — ale moim zdaniem Sbirro reprezentuje człowieka, który doszedł do szczytów cywilizacji.

TRZEBA było miesiąca, by Costain przypomniał sobie, skąd twarz jest mu znajoma. Uczyniwszy to odkrycie, roześmiał się głośno w swoim łóżku. Ależ tak, naturalnie! Sbirro mógłby posłużyć za model do postaci Kota z Alicji w Krainie Czarów. Podzielił się z Lafflerem tym spostrzeżeniem nazajutrz wieczorem, gdy kierowali się do restauracji, walcząc z gwałtownym zimnym wiatrem. Laffler zareagował obojętnie.

— Może pan ma rację, ale byłbym złym sędzią, czytałem tak dawno tę książkę.

Jak gdyby echem na te słowa, ozwał się z końca ulicy przenikliwy krzyk. Obaj mężczyźni stanęli.

— Ktoś jest w niebezpieczeństwie, patrz pan — rzekł Laffler.

Niedaleko wejścia do lokalu Sbirra, widać było w mroku mocujące się ze sobą dwie sylwetki, przetaczające się to w przód, to w tył. Nagle runęły na trotuar i znowu odezwał się żałosny krzyk. Mimo tuszy, Laffler zaczął biec stosunkowo szybko. Costain za nim, ostrożniej.

Jeden z kelnerów Sbirra leżał rozciągnięty na trotuarze. Na próżno starał się oderwać od swego gardła wielkie ręce, które je ściskały, podczas gdy kolanami tłukł w olbrzymi tors człowieka, przygniatającego go brutalnie całym swym ciężarem. Laffler dobiegł, zasapany.

— Dosyć! — krzyknął. — Co tu się dzieje?

Wysadzone z orbit oczy zwróciły się do Lafflera z błagalnym wyrazem.

— Na pomoc... pijak...

— Aha, pijak, ja ci dam pijaka, ty przeklęty...

Dopiero teraz Costain zobaczył, że drugim człowiekiem był marynarz w brudnym uniformie. Bił od niego ohydny odór alkoholu.

— Ty ścierwo, pakujesz mi łapę do kieszeni i jeszcze śmiesz nazywać pijakiem!

Obręcz palców na gardle zacisnęła się. Ofiara wydała jęk. Laffler chwycił marynarza za ramię.

— Proszę puścić, natychmiast!

W następnej chwili potężny kopniak odrzucił Lafflera wprost na Costaina, który zachwiał się pod uderzeniem. Laffler przeszedł do kontrataku. Poskoczył i zaczął tłuc marynarza pięściami i nogami. Zrazu ogłuszony, marynarz zdołał się podnieść i rzucił się na Lafflera. Przez moment trwali spleceni ramionami, potem Costain włączył się do bójki i wszyscy trzej znaleźli się na ziemi. Laffler i Costain pomału pozbierali się i spojrzeli na ciało rozciągnięte u ich stóp.

— Albo jest pijany do nieprzytomności, albo padając uderzył się w głowę — powiedział Costain. — Tak czy owak, niech się nim zajmie policja.

— Nie, o nie, panie — zajęczał kelner, który z trudem podniósł się i stanął, chwiejąc się na nogach. — Nie policja, panie. Pan Sbirro nie chce policji, pan rozumie?

Costain pytająco spojrzał na Lafflera.

— Naturalnie, że to niepotrzeb-



nie — powiedział Laffler. — Po co wołać policję? Znajdzie go sama, wystarczająco wcześnie. Na miłość boską, jak do tego doszło?

— Ten człowiek, panie, zatoczył się i wpadł na mnie. Wtedy powiedział, że chciałem go okraść i zaczął mnie dusić.

— Tak myślałem — rzekł Laffler. Podtrzymał kelnera i podprowadził parę kroków. Kelner omal się nie rozpłakał.

— Pan mi uratował życie. Jeśli mogę coś dla pana...

— Ależ nie, nic takiego nie zrobiłem. Jeśli Sbirro będzie o coś pytał, proszę go przysłać do mnie, poinformuję go.

— Moje życie, panie... — były ostatnie słowa kelnera, jakie usłyszeli, gdy drzwi restauracji zamykały się za nimi.

W PARĘ minut potem Laffler, siadając na swoim stałym miejscu, rzekł: — Oto ma pan, Costain. Ma pan człowieka cywilizowanego w całej jego chwale, cuchnącego alkoholem i mordującego niewinnego prostaczka, który mu się nawinął.

Costain wysilił się, by powiedzieć coś na temat zajścia, które zszarpało mu nerwy.

— Szukanie zapomnienia w wódce cechuje ludzi z jakichś przyczyn wykolejonych — rzekł. — Ten marynarz nie bez powodu znalazł się w takim stanie.

— Powód? Naturalnie, że jest powód. Atawistyczna dzikość, całkiem zwyczajnie.

Laffler roztoczył ramiona w szerokim geście.

— Dlaczego siedzimy tutaj, przed talerzem mięsa? Nie tylko żeby zaspokoić głód, ale dlatego, że nasze atawistyczne „ja” domaga się swoich praw. Niech pan się zastanowi. Pamięta pan, że opisywałem panu Sbirra jako człowieka, który doszedł do szczytów cywilizacji? Wie pan teraz, dlaczego? Dlatego, że rozumie on w pełni naturę ludzką i w przeciwieństwie do innych, mniej inteligentnych jednostek, poświęca swoje siły dla zaspokojenia naszych potrzeb ukrytych, w taki sposób, że nie ucierpi na tym niewinny przechodzień.

— Kiedy myślę o czarodziejskich ponętach jagnięcia z Amirstanu, rozumiem doskonale, co chce pan powiedzieć. A propos, czy nie zbliża się pora na firmowe danie? Nie mieliśmy go przeszło miesiąc.

Kelner, który napełniał ich szklanki, zawahał się przez chwilę.

— Nie ma dziś firmowego dania, żałuję — powiedział.

— No proszę — powiedział Laffler. — A następnym razem, kiedy się zdarzy, przypuszczalnie mnie nie będzie.

Costain wybałuszył oczy.

— Cóż znowu, to niemożliwe.

— A właśnie, że możliwe, u diabła. Wyjeżdżam do Ameryki Południowej na inspekcję naszej filii. Miesiąc, dwa, kto to może przewidzieć.

— Tak źle stoją tam interesy?

— Mogłyby stać lepiej — Laffler uśmiechnął się. — Nie zapominajmy, że potrzebne są brzęczące dolary na płacenie rachunków u Sbirra.

— Nie słyszałem o tej podróży w biurze.

— Cóż by to była za inspekcja, o której z góry wiadomo. Nikt nie wie, prócz mnie i obecnie pana. Chcę im spaść na kark zupełnie niespodzianie. Dla urzędników biura będę na urlopie, nawet może w sanatorium, żeby odpocząć po trudach mojego zawodu. Tak czy owak, firma będzie w dobrych rękach. Pańskich, między innymi.

— W moich? — spytał Costain, zdziwiony.

— Jutro zastanie pan w biurze zawiadomienie o awansie, nawet jeśli nie będę mógł wręczyć go panu osobiście. Nie ma to zresztą nic wspólnego z naszą przyjaźnią. Robi pan doskonałą robotę i jestem panu bardzo wdzięczny.

Costain zaczerwienił się, słysząc pochwałę.

— Nie będzie pana jutro w biurze? Wyjeżdża pan już dziś wieczorem?

Laffler uczynił ruch potakujący.

— Zamówiłem miejsce w samolocie. Jeśli je dostanę, dzisiejsza nasza kolacja będzie pożegnalną.

— Czy wie pan, że życzyłbym sobie, żeby się panu nie powiodło? Nasze kolacje, stopniowo, zaczęły znaczyć dla mnie więcej niż mogłem się spodziewać.

Na głos kelnera, nad ich głowami, obaj podskoczyli.

— Czy mogę podać panom już teraz?

— Tak, naturalnie — odrzekł niecierpliwie Laffler. — Dolega mi myśl o daniu firmowym, które mnie ominie — mówił, podczas gdy kelner się oddalał. — Przyznam się panu, że odłożyłem już wyjazd o tydzień, spodziewając się doczekać szczęśliwego dnia. Dłużej nie mogę zwlekać. Spodziewam się i ufam, że gdy zasiądzie pan przed swoją porcją jagnięcia z Amirstanu, pomyśli pan o mnie i pożałuje mnie.

Costain roześmiał się.

— Nie omieszkam — rzekł, zabierając się do potrawy, którą mu nałożono.

LEDWIE opróżnił talerz, kelner sprzątnął go w milczeniu. Nie był to kelner, który zwykle ich obsługiwał, tylko niedawna ofiara agresji.

— No co tam? — spytał Costain. — Jak się pan czuje?

Kelner nie odpowiedział. Zwrócił się do Lafflera z takim wyrazem jak gdyby podejmował wielki wysiłek.

— Panie — wyszeptał — życie panu zawdzięczam. Chcę spłacić dług.

Laffler spojrzał na niego ze zdumieniem, potem potrząsnął głową.

— Nie chcę nic od pana, zrozumiano? Już mi pan dość dziękował. Proszę wrócić do swojej pracy i nie mówmy o tym więcej.

Kelner nie poruszył się ani o cal. Jego głos zabrzmiał o ton głośniej.

— Pomogę panu, choć pan tego nie chce. *Niech pan nie idzie do kuchni, panie.* Wymieniam swoje życie na życie pana, mówiąc te słowa. Dziś wieczór, ani nigdy indziej, niech pan nie wchodzi do kuchni Sbirra.

Laffler cofnął się na krześle, niemy ze zdziwienia.

— Nie iść do kuchni? — rzekł wreszcie. — Dlaczego nie miałbym pójść do kuchni w dniu, kiedy pan Sbirro objawi intencję zaproszenia mnie tam? Co to znaczy?

Sucha ręka spoczęła na ramieniu Costaina, druga chwyciła kelnera za ramię.

— Co znaczy cò, panowie? — wymruczał głos. — Zjawiam się w porę, żeby odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Laffler odetchnął z ulgą.

— Sbirro. Dobrze, że pan tu jest. Ten człowiek odradzał mi pójście do pańskiej kuchni. Czy rozumie pan, o co mu chodziło?

Błysnęły zęby w szerokim uśmiechu.

— Naturalnie. Poczciwiec zląkł się o pana. Mój popędliwy kucharz zwietrzył, iż mam zamiar zaprosić kogoś do kuchni i wpadł we wściekłość. I to w jaką, panowie! Zagroził mi natychmiastowym złożeniem dymisji, a domyśla się pan, co by to oznaczało dla firmy. Na szczęście zdołałem mu wytłumaczyć, jaki honor mu przyniesie wizyta wiernego klienta i znawcy, który zobaczy go przy pracy. W tej chwili jest całkiem ułagodzony, słowo.

Puścił ramię kelnera.

— Pomyliłeś stoły — powiedział spokojnie. — Niech się to nie powtórzy.

Kelner oddalił się, nie śmiejąc podnieść oczu. Sbirro przysunął sobie krzesło, usiadł i przygładził ręką włosy.

— Obawiam się, że zepsuto mi efekt — powiedział. — Moje dzisiejsze zaproszenie miało być dla pana niespodzianką. Niespodzianka prysnęła, zaproszenie zostaje.

Laffler otarł krople potu z czoła.

— Mówi pan serio? — spytał nieswoim głosem. — Chce pan powiedzieć, że naprawdę możemy asystować dziś wieczorem przy pracy w kuchni?

Sbirro powiódł szpiczastym paznokciem po obrusie, wyciskając w płótnie prostą linię.

— Mam przed sobą poważny dylemat — rzekł, przyglądając się linii. — Pan, panie Laffler, był moim klientem w ciągu długich lat. Pański przyjaciel tu obecny...

Costain podniósł rękę w proteście.

— Znakomicie rozumiem. Zaproszenie tyczy się tylko pana Lafflera i oczywiście moja obecność jest krępująca. Lecz tak się składa, że mam spotkanie na mieście i w każdym razie musiałbym wyjść. W ten sposób nie ma problemu.

— Nie zgadzam się — rzekł Laffler. — To nie byłoby sprawiedliwe. Dotąd dzieliliśmy ze sobą wszystko, Costain, toteż jeśli nie będzie tam pana, kuchnia straci dla mnie połowę uroku. Z pewnością na tę okazję Sbirro złagodzi swoje warunki.

Spojrzeli na Sbirra. Ten podniósł ramiona w geście żalu.

Costain wstał.

— Nie będę tu siedział i psuł panu przyjemności, panie Laffler. A ponadto — mówił z wesołą ironią — niech pan pomyśli o rozjuszonym kucharzu, czekającym by wbić panu kordelas w tułów. Wolę nie przyglądać się temu, odchodzę. Zostawiam pana w rękach Sbirra — ciągnął, by pokryć zażenowane milczenie Lafflera — a ten już wyskoczy ze skóry, by dostarczyć panu jak najwięcej emocji.

Wyciągnął rękę, którą Laffler uścisnął aż do bólu.

— To ładnie z pańskiej strony — rzekł. — Spodziewam się, iż będzie pan dalej tutaj jadał, aż do czasu kiedy znowu się zobaczymy. Nastąpi to niebawem.

COSTAIN zatrzymał się na chwileczkę w słabo oświetlonym westybulu by poprawić szalik i nadać kapeluszowi na głowie akuratne przekrzywienie. Gdy odwrócił się od lustra, wreszcie zadowolony ze swego wyglądu rzucił ostatnie spojrzenie za siebie i zobaczył, że Laffler i Sbirro byli już przy drzwiach do kuchni, przy czym Sbirro jedną ręką przytrzymywał zapraszająco uchyloną ich połowę, podczas gdy druga ręka, w nieledwie czułym geście, spoczywała na pulchnych plecach Lafflera. *Koniec*

STANLEY ELLIN

12 „SREBRNYCH FAFIKÓW” PRZEKROJU

na Gwiazdkę 1963

OTO LAUREACI:

2 ZAGRANICZNI TWÓRCY FILMÓW:


Charlie Chaplin *(Anglia)*


Kurosawa Akira *(Japonia)*

2 WIELCY PIANIŚCI NA LITERĘ „R”:


Artur Rubinstein *(Polska—USA)*


Swiatosław Richter *(ZSRR)*

2 PISARZE I LIRYCY-SKAMANDRYCI:


Jarosław Iwaszkiewicz


Antoni Słonimski

2 ZNAKOMICI MALARZE:


Nikifor Krynicki


Teofil Ociepka

2 KRAJOWI KOMPOZYTORZY:


Witold Lutosławski


Krzysztof Penderecki

2 NASZE EKIPY DUŻEJ WESOŁOŚCI:


Wiech


Wasowski Przybora *(łącznie, więc po ½ Fafika)*

POPRZEDNI LAUREACI Srebrnego Fafika: Pablo Picasso (Francja), Tadeusz Makarczyński (Polska), Władysław Ślesicki (Polska), Mira Zimińska (Polska), Jerzy Szaniawski (Polska), Le Corbusier (Francja), Louis Armstrong (USA), Agata Christie (Anglia), dr Michał Smoła (Polska), Saul Steinberg (USA), Jerzy Zaruba (Polska), Arnold Szyfman (Polska), Duke Ellington (USA), Jadwiga Jędrzejowska (Polska), Ramon Gomez de la Serna (Argentyna), Louis Bunuel (Meksyk), Ludwik Sempoliński (Polska), Tadeusz Brzozowski (Polska), Brigitte Bardot (Francja). **PRZYPOMINAMY:** nie ma Fafików złotych, nie ma Fafików brązowych, są tylko Srebrne!

K U P O N

Imię i nazwisko ....

....

Załączam rozwiązań .... sztuk

Adres: ....

....

4 MAŁE KONKURSY ŚWIĄTECZNE PZU

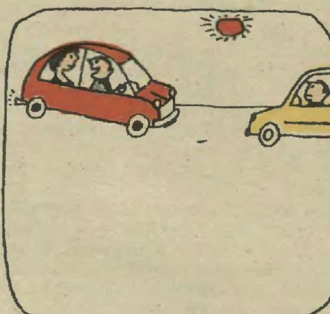
W RAMCE wpisz czytelnie tekst dotyczący: tematu rysunku *oraz* działalności PZU. Możesz wypełnić jeden, dwa, trzy lub wszystkie rysunki. Każdy konkursik jest niezależny, i przy dużym szczęściu, wygrasz we wszystkich czterech. W każdym konkursie-rysunku, spośród nadesłanych rozwiązań *jury* wybiorą 50 najlepszych, a spośród nich *rozlosują* 11 nagród; aby było i sporo zasługi, i trochę szczęścia. Odpowiedzi (kupon + rysunki) winniście przesłać w terminie (data stempla pocztowego) do piątku 3 stycznia nowego 1964 roku na adres: Państwowy Zakład Ubezpieczeń, Kraków, skrytka pocztowa 544, zaznaczając na kopercie, „Konkurs z Przekroju".



Nagrody za tekst do powyższego rysunku: 1. naprawdę pięknie grający radioodbiornik „Goplana", 2—6 książka wartościowa, 7—11 płyta długogrająca 30 cm.



Nagrody za tekst do powyższego rysunku: 1. kupon trzy m. szarego eleganckiego materiału 100% w. na ubranie, 2—6 książka wartościowa, 7—11 płyta długogrająca 30 cm.



Nagrody za tekst do powyższego rysunku: 1. pięćdziesiąt puszek kawy „Marago", a więc zapas na długie miesiące, 2—6 książka wartościowa, 7—11 płyta długogrająca 30 cm.



Nagrody za tekst do powyższego rysunku: 1. zgrabna lodówka „Alka", ciesząca każdą gospodynię, 2—6 książka wartościowa, 7—11 płyta długogrająca 30 cm.

WOJNA DOMOWA



— Zdaje się, że aresztowali Pawła! — krzyknęła Anula, wpadając do domu i rzucając worek z książkami na podłogę.

— Za co?

— Nie wiem. Pod kinem.

— Kiedy?

— No teraz. Widziałam jak szedł z milicjantem i jeszcze dwoma kolegami w stronę Puławskiej.

— Może to znajomy milicjant — próbowałam ją pocieszyć.

— Ciociu! Czy ciocia miała kiedy znajomego milicjanta?

— Nie — przyznałam się.

— No widzi ciocia.

— Co on mógł zrobić?

— Może należy do jakiego gangu — zamyśliła się Anula i aż jej oko zabłysło. — Nie wiem czy ciocia zauważyła ale on zawsze był małomówny.

— Zwariowałaś. No to co, że małomówny?

— Jak by ciocia chodziła częściej na filmy amerykańskie to by ciocia wiedziała, że prawdziwy gangster jest zupełnie małomówny.

— Przestań bredzić. Słuchaj, jeżeli on jest rzeczywiście aresztowany to trzeba zawiadomić jego rodziców.

— Nie ja. Jego matka od razu zemdleje, a ojciec zrobi mi awanturę.

— Trzeba go ratować. Ja pójdę.

— Jak na komisariat to ja pójdę z ciocią. Nigdy nie byłam jeszcze na żadnym komisariacie.

— W komisariacie.

— Też nie.

— Kiedy ja wcale nie idę do komisariatu tylko na górę. Trzeba będzie chyba wynająć adwokata. Co on mógł takiego zrobić?

Przykręciłam gaz pod rosołem, wzięłam sweter i powoli poszłam na górę.

Matka Pawła bardzo się ucieszyła na mój widok.

— Jak to miło, że pani tak przyszła bez telefonu.

— Ja bardzo przepraszam, ale...

— Nie, nie — zawołała — właśnie się cieszę że pani nareszcie tak, po sąsiedzku, bez ceregieli. Napije się pani herbaty?

— Nie, dziękuję.

— No to kawy?

— Nie, dziękuję, ja chciałabym...

— Bulionu — nalegała matka Pawła. — Jak na statku. Czytałam taką powieść angielskiego pisarza. Dzieje się na statku na Atlantyku i zawsze w południe dają bulion... zrobię z kostki...

— Proszę panią, ja w sprawie Pawła — powiedziałam stanowczo.

— Co on zrobił? — przeraziła się od razu.

— Nic, nic — powiedziałam szybko. — Czy państwo znają jakiegoś milicjanta?

— Nie, nie znamy. Paweł — zawołała — chodź no tu, czy znasz jakiegoś milicjanta?

Paweł wszedł cichutko, bo w skarpetkach.

Na mój widok wytarł ręce o spodnie i przywitał się elegancko.

— To ty jesteś w domu? — wyrwało mi się.

— Mhm — powiedział — mieliśmy dzisiaj tylko trzy lekcje.

— Coś ty narobił? — denerwowała się matka Pawła.

— Zaraz wrócę — powiedział Paweł i wyszedł.

— Co on narobił? Niech pani już mówi, bo ja dostanę ataku serca — oświadczyła matka Pawła i przysiadła.

Przysiadłam r ó w n i e ż. Diabli nadali.

— Nic — powiedziałam mimochodem. — Anula widziała go z jednym milicjantem. Myślałam, że może znajomy państwa to chciałam poprosić o protekcję.

— Paweł — powiedziała matka Pawła ponuro — ma najdziwniejsze znajomości. Zaraz to zbadamy.

Paweł wrócił do pokoju w kapciach i też przysiadł. Siedzieliśmy tak przez dłuższą chwilę.

— Czy ty znasz jakiegoś milicjanta? — zapytała matka Pawła trzymając się za serce — bo pani potrzebna jest protekcja.

— Już teraz znam — wymamrotał Paweł — ale on dla pani nic nie zrobi.

— No to trudno — ucieszyłam się że sprawa wyjaśniona. — Nie szkodzi, jakoś z tego wybrnę sama.

— Skąd do ciebie milicjant — westchnęła matka Pawła. — Ty żyjesz własnym życiem. To się źle skończy.

— Kiedy ja go znam dopiero od dzisiaj — powiedział Paweł.

— Pod kinem.

— Co tam robiłeś?

— Chciałem pójść do kina — tłumaczył Paweł cierpliwie.

— Rano?

— Bośmy mieli tylko trzy lekcje.

— No to dlaczego nie poszedłeś?

— Bo nam milicjant zabrał bilety.

— Jak to?

— No, bo powiedział, że jest takie nowe zarządzenie, że nie wolno młodzieży szkolnej chodzić do kina w godzinach urzędowania.

— Byłeś na wagarach — krzyknęła matka Pawła głosem tragicznym.

— Nie byłem. Mieliśmy dzisiaj tylko trzy lekcje — powiedział Paweł bardzo cierpliwie.

— To dlaczego ci zabrał bilety? — oburzyła się matka Pawła.

— Nowe zarządzenie — mruknął Paweł.

— A przecież mogłeś mu powiedzieć że miałeś tylko trzy lekcje.

— Powiedział, że muszę mieć zaświadczenie ze szkoły z pieczątką że nie ma lekcji. Walka z chuligaństwem.

— Ale przecież ty nie jesteś chuligan, tylko młodzież szkolna.

— Chuligani mogą chodzić do kina kiedy chcą — tłumaczył jej Paweł.

— Przede wszystkim nie mają tarczy na ramieniu, więc nikt ich nie legitymuje, a poza tym chodzi o to, żeby oni nas nie bili. Jak oni są w kinie a my na zewnątrz, to nie ma kontaktu, mama rozumie.

— N i e — powiedziała matka Pawła.

— Po ósmej też nie wolno nam być na ulicy.

— To jak pójdziesz w piątek na koncert do Filharmonii?

— Będzie m n i e mama musiała odprowadzić i wrócić po mnie — powiedział Paweł ze złośliwym błyskiem w oku.

— Jestem na kolacji u znajomych.

— No to nie wiem.

— Straszne rzeczy — denerwowała się matka Pawła. — Ale ostatecznie jak się teraz tak za was biorą, to pewnie będzie bezpieczniej na ulicy. Odpruję ci tarczę! — zawołała radośnie.

— Kiedy chuliganom wolno chodzić po ulicy, tylko młodzieży szkolnej nie — zżęcał się Paweł. — A jak mnie wylegitymują i okaże się, że mama mi spruła tarczę, to mama będzie miała do czynienia z milicją.

— To na mnie już chyba czas — powiedziałam — bo mi się rosół wygotuje. Przepraszam za najście. Proszę mnie nie odprowadzać, ja tak po sąsiedzku.

Wyszłam pospiesznie i już z korytarza usłyszałam głos matki Pawła.

— Pójdziesz, nie ma co — mówiła. — A gdybyś wpadł i gdyby się mnie czepiali, to użyjemy protekcji. Przecież sam przed chwilą mówiłeś, że znasz jednego milicjanta.

Zientarowa

CO? w TEATRACH

W Warszawie

ROZKWIT I UPADEK MIASTA MAHAGONNY. Prapremiera pierwszej opery Brechta w Polsce. Metaforyczna opowieść o wzroście i upadku kapitalizmu. Wyraźne aluzje do kryzysu roku 1929, kiedy opera powstała. Muzyka słynnego Kurta Weilla, (kompozytora też „Opery za 3 grosze"). Przedstawienie statyczne, „operowe", nie wydobywa treści społecznej dzieła Brechta, ani jego ostrej, kabaretowej, antyoperowej formy. W brzmieniu orkiestry za mało elementów jazzowych. „Mahagonny" jest jednym z pierwszych musicalów, operą jazzową. W Warszawie celebrowano ją jak w Bayreuth. Brecht i Weill, to nie Wagner. Reżyseria Hanuszkiewicza. Scenografia Mikulskiego. Halina Słonicka (Jenny). *(Opera Warszawska)*

SKRZYWDZENI I PONIŻENI: Inscenizacja powieści Dostojewskiego przez kilka utalentowanych pań. Został z niej niestety jednak tylko melodramat, łzawy i ckliwy. Przeróbka, inscenizacja i reżyseria Berwińskiej i Wróblewskiej. Scenografia Wojciechowskiej. Milewska w roli Katii. *(Teatr Ziemi Mazowieckiej)*.

W Częstochowie

GARŚĆ PIASKU: Prapremiera drugiej sztuki Jerzego Przeździeckiego, drukowanej w „Dialogu" (nr 11). Opowieść o losach sportowca, który z powodu choroby musi wycofać się u szczytu sławy. Zmarnowane życie. Nie umie nic innego robić. Frustracja, upadek, wódka, dno. Coś z atmosfery sztuk angielskich „angry menów". Dobry dialog, żywe postacie. Reżyseria Kowalczyka, który gra główną rolę. Barbara Bargiełowska. *(Scena Kameralna)*

W Tarnowie

PEER GYNT, Ibsena w adaptacji i reżyserii Lidii Zamkow. Pomysłowy drugi akt: zabawny film o karierze bohatera. Jako Peer — Aleksander Bednarz. W mniejszych rolach: Maria Majdrowiczówna (tak!), Stefan Bartik, młoda Anna Wietrzna. (—) Rom.

„LECĄ ŚWIETLIKI LECĄ LECĄ..."

PARYŻ. Stolica Francji jest najbardziej chyba zapóźnionym urbanistycznie miastem Europy. Bruksela została starannie przebudowana przy okazji wystawy światowej, Mediolan naszpikowany jest drapaczami chmur, nawet w centrum Londynu nad Tamizą pojawiły się nowoczesne budowle. Wszelkie zaś plany przebudowy duszącego się Paryża są od kilkudziesięciu lat odrzucane. Nawet najwybitniejszy francuski architekt i urbanista Le Corbusier, którego plany realizuje Japonia czy Brazylia, nie wybudował w Paryżu od 30 lat nic.

Najpilniejsze jest rozwiązanie problemu ruchu ulicznego. W 1906 w Paryżu było 65 tys. pojazdów, w tym 4 tys. samochodów. Dziś jest ich około półtora miliona, a w 1975 przewiduje się ok. 3 milionów. Jeśli coś się realnie nie zrobi, za kilka lat Paryż trzeba będzie całkowicie zamknąć dla samochodów prywatnych.

Jednym z najoryginalniejszych planów przebudowy Paryża opracowanych ostatnio, jest plan Lopeza i Pottiera. Przewiduje on zagospodarowanie terenu wzwyż, a nie wszerz. Ruch kołowy i parkingi ciężkie znajdować się mają na powierzchni, parkingi lekkie na wys. 3 metrów, ruch pieszy i handel na wys. 7 metrów, biura na wysokości 10—16 m, zaś mieszkania na wysokości od 16 do 85 metrów.

*

RZYM. Podobnie jak Mona Lisa Leonarda da Vinci, do Nowego Jorku pojedzie sławna rzeźba Michała Anioła „Pieta", znajdująca się w Bazylice św. Piotra w Rzymie. Papież wyraził już zgodę. Otwarcie wystawy 5 kwietnia 1964.

*

LONDYN. Oznajmiono oficjalnie, iż w ciągu przyszłego roku w angielskiej rodzinie królewskiej spodziewane jest przyjście na świat czworga dzieci. Czwarte dziecko królowej **Elżbiety** urodzić się ma w początkach stycznia. Siostra jej księżniczka **Małgorzata** oczekuje drugiego dziecka w kwietniu (będzie ono 7 w kolejności następstwa do tronu). Drugiego dziecka spodziewa się również **księżna Kentu**, także w kwietniu. Pierwsze dziecko jej bratowej, księżniczki **Aleksandry** (obecnie Mrs. Angus Ogilvy), urodzić się ma w styczniu.

*

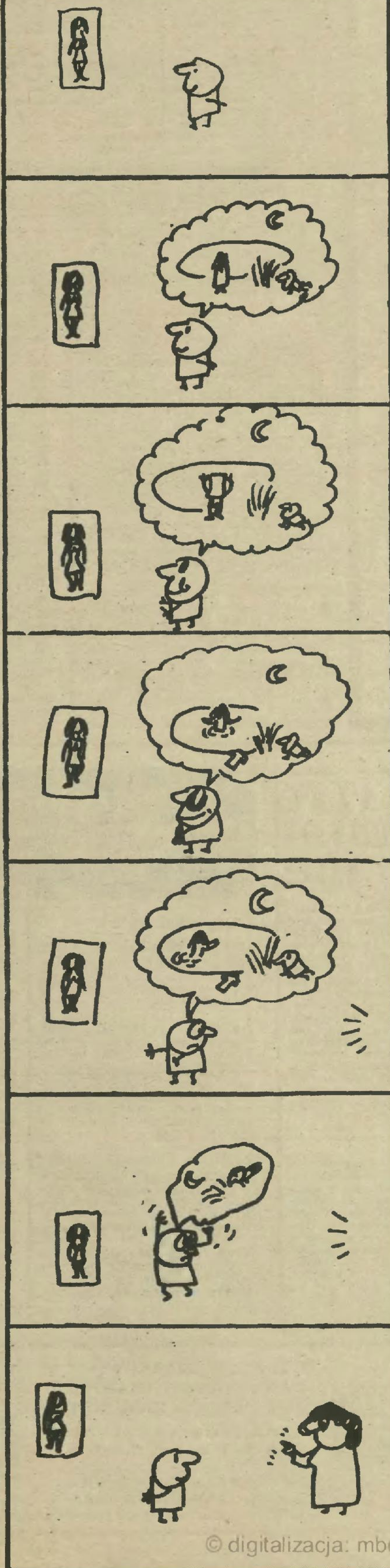
NICEA. Zjazd ornitologów radził nad problemem *płoszenia* ptaków z terenu portów lotniczych. Podczas startu i lądowania stanowią one poważne niebezpieczeństwo dla samolotów odrzutowych. Dotychczas próbowano płoszyć ptaki przy pomocy syren, luster, ustawiania strachów. Na zjeździe przedstawiono wyniki *osiągnięte* dzięki nagraniu na taśmy magnetofonowe głosów ptaków *płoszonych* lub znajdujących się w niebezpieczeństwie. Metoda ta jest *podobno* najskuteczniejsza, choć daje rezultaty tylko wobec jednego, właśnie *nagranego* gatunku.

*

PARYŻ. Po 16-letniej przerwie Martine („Natalia") Carol wystąpi w teatrze w amerykańskiej komedii, „Jak zdobyć powodzenie w interesach".

PRZEZ OKULARY

Sławomira Mrożka





siostry rojek i ASANASY

Jako, że wszystkie jesteśmy połamane, pełne najrozmaitszych dolegliwości jesienno-zimowych, postanowiłyśmy zbadać sposoby podniesienia stanu zdrowia bez pomocy medycyny, w którą straciłyśmy wiarę.

Zaczęło się od rudej, która kiedyś weszła do pokoju w Hotelu Europejskim, w którym znajdować się miał pewien wybitny pianista, stary znajomy ze szkolnych czasów. Ten pianista jest dziś obywatelem jakiegoś egzotycznego kraju i jest bardzo sławny i bardzo przystojny. Ruda zapukała, usłyszała „proszę", więc weszła i zobaczyła nogi pianisty sterczące wysoko pod sufitem. Głowa pianisty znajdowała się na dywanie z Kowar.

Ruda speszyła się, bo myślała, że może nie w porę, ale pianista nie zmieniając pozycji uprzejmie poprosił ją aby usiadła, przeprowadził z nią bardzo miłą rozmowę na temat szkolnych czasów, zaofiarował jej kawę i dopiero po jakimś kwadransie zmienił pozycję, stanąwszy nogami na Kowarach.

Ruda przez ten czas tak się przyzwyczaiła do rozmawiania z głową, leżącą na podłodze, że nawet jej było przykro, szczególnie, że pianista wyglądał w pozycji odwróconej znacznie młodziej i przystojniej. Powiedział jej, że stanie na głowie jest jedną z pozycji „joga" i że dzięki ćwiczeniom tegoż joga czuje się świetnie, nie ma żadnych dolegliwości, potrafi pracować po dwanaście godzin dziennie i robić różne inne rzeczy.

Pianista zrobił jej bardzo staranny wykład, wytłumaczył jej co i jak, i ruda przyszła do domu z grubym tomem, pełnym rysunków i zdjęć i namówiła nas żebyśmy się wszystkie wzięły do dzieła. Podobno rzeczywistość staje się konkretna dopiero wtedy, kiedy ogląda się ją do góry nogami.

Żeby w ogóle móc się zabrać do czegokolwiek w tej dziedzinie, należy najpierw całkowicie poznać swoje ciało. Nam się zdawało, że je znamy, ale nic podobnego. Poza tym należy używać wszystkich części ciała. Nam się zdawało, że używamy ich nagminnie, ale to też nieprawda. Okazuje się, że aby ciało poznać i wykorzystać jego możliwości trzeba stosować osiemset (800) pozycji jogi czyli jak oni je tam w Indiach, gdzie się to wszystko zrodziło, nazywają — *osiemset „asanasów"*.

Ponadto okazało się, że nikt z nas nie umie oddychać. Niby to oddychamy, ale zupełnie nieprawidłowo. Jogowie i joginie ćwiczą latami prawidłowe oddychanie i twierdzą, że jak się człowiek nauczy oddychać to zaczyna dopiero wtedy naprawdę żyć.

Starsza siostra powiedziała, że ona się obejdzie bez asanasów, ale że się za to nauczy porządnie oddychać, bo to bez sensu żeby dorosły człowiek tego nie umiał. Poza tym wyczytała, że przy odpowiednim oddychaniu i umiejętności odprężania mięśni można spokojnie iść do najgorszego nawet dentysty i nic nie będzie bolało.

Ćwiczyła w łazience jakie dwa tygodnie po kilka godzin dziennie, aż pewnego dnia, młodsza zaczęła walić do drzwi i krzyczeć, żeby przestała, bo w rozdziale dziesiątym książki napisane jest, że można osiągnąć doskonałość w tej dziedzinie po jakichś dziesięciu latach, a poza tym potrzebna jest koniecznie łazienka.

Młodsza tymczasem zdecydowała, że ona wyspecjalizuje się w masażu wewnętrznym. Tam był cały rozdział o tym, że człowiek może i powinien masować sobie żołądek, nerki, wątrobę i tak dalej i że bez takiego masażu owe organa niszczeją. Młodsza, która w żaden sposób nie chce dopuścić do tego, żeby zniszczyły jej się organa i to obojętnie jakie, wzięła się do roboty i godzinami trwała w pokoju w najdziwniejszych pozach. Były to asanasy wstępne do przyszłych masaży wewnętrznych.

Najmądrzejsza z sióstr zdecydowała, że ją obchodzi najwięcej cel tych wszystkich asanasów, a mianowicie postanowiła osiągnąć stan medytacji. Siadała godzinami między oknem a stołem, gdzie ją mało było widać, w kucki, z nogami po turecku, a rękami skrzyżowanymi na piersi. Po tygodniu twierdziła, że wyeliminowała już hałasy i że nie tylko nie słyszy tego co mówimy, ale nawet fortepianistki, która mieszka nad nami i która gra melodię z „Mostu na rzece Kwai" od jakichś trzech lat, przeciętnie po osiem godzin dziennie.

Po dwóch tygodniach powiedziała, że pewnie już nic nie czuje i zażądała żeby ją ukłuć w udo. Poczuła i siedziała dalej. Miała zamiar siedzieć tak długo dopóki nie wyeliminuje widzenia, i to przy otwartych oczach.

Najmądrzejsza oświadczyła, że po osiągnięciu tego celu pójdzie dalej i postara się dojść do *„samadi"* czyli wewnętrznej ekstazy. Jest to stan, który czyni, że człowiek obojętnieje całkowicie na wszystkie przykrości dnia codziennego. Jeden Hindus doszedł podobno do tego, że nie przejmuje się nawet kiedy trzy autobusy nie zatrzymują się na przystanku, a czwarty jest tylko dla pasażerów z biletami miesięcznymi, że nie denerwuje się, kiedy mu ostatni kilogram niedojrzałych cytryn sprzedają sprzed nosa, kiedy kaloryfery, ogrzewane przez elektrociepłownię są zimne chociaż mu dopiero co podniesiono opłatę za ogrzewanie mieszkania i temu podobne.

Ostrzegałyśmy najmądrzejszą, żeby się nie doprowadzała do takiego stanu, bo to się może źle skończyć. Prowadzi to bowiem w prostej drodze do metampsychozy czyli wiary w reinkarnację duszy, a diabli wiedzą w czyje ciało dusza może się dostać. Jak twierdzi nasza książka nie ma nie tylko gwarancji, że będzie to jakiś przyzwoity i niekarany obywatel, ale nawet nie ma pewności że będzie to w ogóle człowiek a nie jakieś zwierzątko domowe.

Ponadto niektórzy jogowie dochodzą do takiej perfekcji, że nie tylko osiągają metampsychozę, ale coś znacznie wyższego a mianowicie Uniwersalny Kosmos. W tym stanie przestają się reinkarnować i zlewają się z owym Kosmosem raz na zawsze.

Zaczęłyśmy się bać, że najmądrzejsza osiągnie właśnie taki stan, a książka twierdzi, że niektórzy jogowie tak bardzo go pragną, że ażeby go przyspieszyć popełniają samobójstwo. Tego chciałyśmy uniknąć. Tym bardziej, że ponieważ najmądrzejsza ciągle siedziała w kucki między oknem a stołem jadalnym, trudno nam było kogokolwiek zaprosić do domu, żeby nie było potem plotek.

Zwierzyłyśmy się z naszych ćwiczeń i trudności jednemu zna-



Dokończenie ASANASOW ze strony 29:

jomemu, który zapewnił nas, że możemy te wszystkie rzeczy robić systemem zorganizowanym a nie domowym. Dał nam jakiś numer telefonu i powiedział, że tam znajdziemy „Polski Związek Jogi".

Zadzwoniłyśmy i zapisałyśmy się. Kiedyśmy przyszły pod umówiony adres okazało się, że to zupełnie coś innego, a mianowicie „Polski Związek Judo".

Po konsultacji z bardzo przystojnym trenerem przerzuciłyśmy się z jogi na judo i zapisałyśmy się na kursa. Podobno też uczą stawać na głowie.

Siostry Rojek

Podziękowanie

Wszystkim, którzy nadesłali Przekrojowi życzenia Świąteczne i Noworoczne — serdeczne podziękowania, i — wzajemnie!

★

BIAŁE NOCE

(oraz Iwona)

Ciekawa uczennica z Opolskiego: **Uprzejmie zapytuję, co to znaczy białe noce leningradzkie?**

Jest to okres (jeśli chodzi np. o Leningrad, to od czerwca do lipca), w którym słońce nie zachodzi niżej niż na 18° za horyzont i noce są całkiem jasne a tzw. astronomiczny mrok przechodzi bezpośrednio w tzw. astronomiczny świt. (Co do pytania o p. Iwonę — wyjaśnia to red. Budrewicz na str. 7—8).

★

WYDŁUŻANIE

A. z K.: **Mam 16 lat i jestem „przeciętnego wzrostu" choć nie należę do najniższych. Podobno Liz Taylor dzięki jakimś ćwiczeniom wydłużyła się o 10 cm. Podajcie takie ćwiczenia, żebym mogła się pozbyć kompleksu!**

Nigdzie nie widziałam szczegółowego opisu tych wydłużających ćwiczeń i nie miałabym do nich zaufania (trick reklamowy?). Osobiście raczej cierpię na kompleks nadwzrostu, choć są ode mnie i wyższe. Łatwiej się podwyższyć (obcas) niż zmniejszyć. Do tego — niższe kobiety są bardziej kobiece.

★

CO WARTO?

E. z R.: **1) Czy palenie papierosów wpływa na chudnięcie i zahamowuje wzrost? 2) Czy język hiszpański może się kiedyś przydać?**

1) Odpowiem krótko (miejsce!), więc nie bardzo dokładnie: palenie tytoniu nie powoduje bezpośrednio chudnięcia czy hamowania wzrostu — ale pośrednio, wpływając niekorzystnie na cały organizm może przyczynić się do tego. Zwłaszcza szkodliwe jest palenie w wieku młodzieńczym! 2) Języki zawsze się przydają. Co do hiszpańskiego, to języka tego używa ok. 170 milionów mieszkańców naszego globu (Ameryka Łacińska!) i uznany został obok angielskiego, rosyjskiego, francuskiego i chińskiego za jeden z 6 oficjalnych języków ONZ.

★

TORUŃ

J. B. z Dolnego Śląska: **Ja twierdzę, że w okresie międzywojennym stolicą woj. pomorskiego był Toruń. Koledzy, że Bydgoszcz. Założyliśmy się. Kto wygrał?**

Pan!

★

PIĘĆ MIAST

R. H.: **Proszę podać pięć polskich miast największych pod względem a) powierzchni, b) mieszkańców.**

a: Warszawa (446 km²), Szczecin (284), Kraków (230), Wrocław (225), Poznań (220). b: Warszawa (1.171.400), Łódź (722.800), Kraków (490.000), Wrocław (442.700), Poznań (418.300) — wg Rocznika Statystycznego 1962.

★

KŁY — ŚWIECI A NIE GRZEJE

J. E. z J. G.: **1) Kły słoniowe nazywamy zwykle kością słoniową. Czy to właściwe? Przecie kły nie są kością.**

1) Przede wszystkim określenie kły nie jest prawidłowe; prawidłowo winno być: siekacze górne zwane ciosami. Oczywiście, że nie są kością, ale już tak się utarło i przyjęło oraz pod k. s. figuruje w encyklopediach.

Co zaś do problemu księżycowego — to radzę się zwrócić do fachowego miesięcznika Urania, Kraków, Solskiego 30.

★

SZAMPON (przez kumoterstwo)

Sama sobie zadałam pytanie, skąd pochodzi słowo szampon?

W niemieckiej encyklopedii Brockhausa (1895) wyczytałam: shampoo = w jęz. hindostańskich — masowanie głowy. W Słowniku Webstera (1960) shampoo = hind. *champdn*, nacieranie całego ciała podczas gorącej kąpieli, czynność pochodząca ze Wschodu. Stąd właśnie ów mydlany preparat do mycia włosów!

★

IMIONA

Kazik Z.: **Kiedy imieniny Diany?**

Wzięłam Mitologię Parandowskiego i w niej przeczytałam, że Rzymianki w starożytnym Rzymie obchodziły święto Diany 13. VIII. Ten dzień ustalamy więc



KUPIĆ — NIE KUPIĆ

Telefonem z Warszawy

WYCIECZKI ZAGRANICZNE ORBISU W ROKU 1964

Bułgaria

● 29 dni autokarem Wrocław—Praga—Brno—Budapeszt—Belgrad—Sofia—Tyrnowo—Burgas, 14 dni nad morzem w Słonecznym Brzegu, powrót samolotem, turnusy od V do X — 8.500 zł.*)

● 21 dni, pociągiem, Budapeszt—Bukareszt, 14 dni w Złotych Piaskach lub w Drużbie, od V do XI — 6.200.

● 15 dni w Słonecznym Brzegu lub w Drużbie, samolot — 5.800.

● 28 dni Złote Piaski lub Drużba, pociągiem, od VI do IX, — 9.500.

● 28 dni w Słonecznym Brzegu, samolot, od VI do IX — 9.500.

Daleki Wschód

● 30 dni ZSRR, Chiny, Wietnam (Moskwa, Pekin, Szanghaj, Kanton, Hanoi itp.), IV, V, IX i X — 25.000.

Czechosłowacja

● 6 dni pociągiem do Pragi, od III do XII — 2.060.

● 9 dni autokarem po Słowacji, Bratysława, Brno itd. V i VI. — 2.890.

● autokarem 10 dni po Czechach, Praga, Karlowe Wary, Mariańskie Łaźnie, Pilzno itd. VI i X — 3.140.

● na 5 dni autokarem do Pragi i Brna, V i VI — 1.840.

● 12-dniowa wycieczka autokarem dla zwiedzenia zamków i grodów oraz Praga, Brno, Karlowe Wary itp, VII i IX — 3.900.

● autokarem po Morawach, 5 dni, Ołomuniec, Brno i inne, VI i IX — 1.660.

● autokarem 6 dni po Czechach oraz Praga, V, VI, IX, X — 2.200.

● 22 dni lecznicze w Karlowych Warach, od V do X z wyjątkiem lipca — 6.670.

● 28 dni leczniczych w Piszczanach, wagon sypialny, tylko IX — 9.760.

● 28 dni leczniczych w Jeseniku, wag. syp., VI — 9.800.

● narty 10 dni do Vratnej Doliny, wag. syp., luty — 3.500.

● 14-dniowy pobyt wypoczynkowy w Rabynie koło Pragi, VIII — 4.100.

● Targi w Brnie, 4 dni, pociąg I kl., IX — 1.700.

Jugosławia

● 21 dni na Riwierę Dalmatyńską, autokarem przez Czechosłowację i Węgry, pobyt w Makarska, od V do X — ok. 8.500 do 10.000.

● 19 dni autokarem przez Czechosłowację i Węgry do Lovrana nad Adriatykiem, od V do X — ok. 8.000 do 9.500.

● 15 dni w Hercegovni nad Adriatykiem, samolot, od V do X — ok. 8.000 — 9.500.

*) Wszystkie ceny podano jako *około*.

„New Yorker"



— Oficjalnie trudno nam coś zarzucić jego metodzie...

WAŻNE KOMUNIKATY:

W część nakładu tego tak pod innymi względami interesującego numeru wkradł się niestety błąd. Na niektórych kolorowych, środkowych, stronach rączki mają nieodpowiednią ilość palców. Nieliczni Czytelnicy, którzy takie numery nabędą proszeni są, by nam to wybaczyli.

★

Następny 978 numer Przekroju ukaże się z datą 5 stycznia nowego 1964 roku. Dlatego na stronie 4 składamy Ci także ŻYCZENIA NOWOROCZNE. Tu dodamy tylko: przyjemnego Sylwestra!

33 osoby z Warszawy zapytałem:

jaką przyjemność masz zamiar zorganizować sobie w okresie świątecznym?

Odpowiedzieli mi:

Danuta Stanny, sekretarz redakcji „Poligrafiki":

Kilkudniowy wyjazd w góry, zapewne na Głodówkę na Podhalu.

Andrzej Zieliński, elew Technicznej Szkoły Wojsk Lotniczych:

Oczywiście wyjazd do rodziców. Rodziny dawno nie widziałem, cieszę się myślą o serdecznej ciepłej rodzinnej atmosferze, jaka panuje w naszym domu.

Zdzisław Śliwiński, dyrektor Filharmonii Narodowej:

Wyjeżdżam w okolice Jeleniej Góry, do Sobieszowa. A tam: jak najdłuższe spacery, jak najmniej papierosów.

Leon Jaworski, ślusarz:

Jestem zaproszony na wesele do przyjaciela.

Maria Godlewska, bufetowa:

Mam nareszcie odbydwa dni wolne od pracy. Tylko odpocząć i jeszcze raz odpocząć.

Zofia Wasitowa, redaktor wydawnictwa Iskry:

Gęś z jabłkami.

Jerzy Kwiatkowski, pracownik umysłowy:

Przyjemności tradycyjne: przyjmiemy z żoną gości, a także i sami udamy się do przyjaciół.

Zbigniew Bukowski, archeolog:

Ja — partia brydżyka. Żona (Elżbieta) partia kanasty.

Andrzej Szczepkowski, aktor:

Będę miał kłopoty z psem. Otrzymałem niedawno przemiłego szczeniaka, wychowanego w leśniczówce. A przecież w domu będzie choinka!

Danuta Szaflarska, aktorka:

Potańczę twista.



F-4

WYDAWCA: KRAKOWSKIE WYDAWNICTWO PRASOWE RSW „PRASA" w KRAKOWIE

REDAKTOR NACZELNY MARIAN EILE

DRUKARNIA NARODOWA PRZEDS. PAŃSTWOWE, KRAKÓW, MANIFESTU LIPCOWEGO 19

ADRES REDAKCJI: KRAKÓW

PRZY ADRESIE REDAKCJI PROSIM

ADMINISTRACJA: KRAKOW

KRAKÓW, UL. WIS

BIURO OGŁOSZEŃ I REK

REDAKCJA NIE ZWRACA NIE ZAMÓ

Wszelkich informacji w sprawie warunl

Za dział ogłoszeń R



i dla nowożytnych Dian!

★

E. Lechowicz i W. R. z Krakowa: **a. Liliany? b. Waldemara?**
a: 14. II; b: 5. V; 6. V.

★

J. Dąbrowska: **Zygfryda?**
15 i 25. II, 22. VIII.

★

Mamusia z K.: **Lili?**
27. VII.

★

K. z R.: **Bożeny — czy tylko w kwietniu?**
Ja mam w kalendarzu raz 13 a w innym 14 ale marca.

★

Bez podpisu z G.: **Restytuta?**
15. V.

★

Renata J. z Warszawy: **Marioli?**
Jest to jedna wersja Marii — a więc jak Maria.

★

St. W. z Katowic: **a. Jak się pisze Jutta czy Juta? b. Skąd pochodzi? c. Kiedy imieniny?**
a: przez 2 t; b: germańskie, być może od ittis = kobieta; c: 5. V lub 22. XII.

★

Teresa K.: **Bogumiła?**
27. III, 18. IV, 30. VII, 5. XI.

★

CHOW-CHOW

Grażyna Fichna z Łodzi (Kilińskiego 156 m. 44): **Obiecałam mojej 4-letniej chorej córeczce, która nie może chodzić, pieska rasy chow-chow. Niestety nigdzie nie mogę go kupić. Proszę mi pomóc!**

Drukuję Pani list (z adresem), gdyż dokładnie nie wiem gdzie w Polsce hoduje się te psy. Teraz na pewno jakiś hodowca zwróci się do Pani.

Mongolia

● 3 tyg. z polowaniem przez Moskwę, Irkuck — 19.000.

NRD

● 4 dni do Berlina i Erfurtu, pociąg I kl., od V do VIII — 2.000.
● Saksonia i Turyngia, autokar, od VI do VIII — 4.080.
● 6 dni autokarem po NRD i Czechosłowacji, od IV do IX z wyjątkiem VIII — 3.400.
● 4 dni do Drezna, autokar, z pierwszeństwem dla młodzieży starszych klas szkolnych — 1.500.
● 6 dni w Berlinie, pociąg, od III do VI i od IX do X — 2.280.
● 8 dni Drezno, Lipsk i Berlin, autokar, IV do VI i IX — 3.700.
● 6 dni na wybrzeżu morskim NRD, autokar, VI do VIII — 2.100.
● 6 dni Drezno i Lipsk, autokar, V do VIII i X — 2.180.
● 11 dni w Górach Harzu, pociąg, od VI do IX — 2.770.
● Targi Lipskie, wiosenne i jesienne, 8 dni, pociąg spec., III i IX — 2.350.
● Wiosenne Targi Lipskie, 6 dni, autokar, III — 2.100.

Rumunia

● wycieczka objazdowa kombinowana, pociąg i autokar, 14 dni, 2 dni w ZSRR we Lwowie, od V do IX — 4.700.
● Zima w górach Rumunii, Sinaia lub Pojana, 11 dni, pociąg wagon syp., II i III — 3.500.
● 14 dni w Mamai (M. Czarne), samolot, od VI do IX — 5.400.
● 11 dni w Mamai, zwiedzanie Bukaresztu, pociąg, VI do IX — 4.500.
● 15 dni w Mamai, pociąg spec., zwiedzanie Bukaresztu i Budapesztu, wagon syp., od V do IX — 6.000.
● trzy tygodnie w Mamai, pociąg, Bukareszt, VI do IX — 7.500.
● 21 dni lecznicze w Eforii, samolot, VI do IX — 7.600.

Węgry

● Budapeszt i Praga, 8 dni, samolot, I, II i III kwartał — 3.700.
● 12 dni, autokar, Balaton, Budapeszt, od IV do IX — od 3.900 do 4.100.

ZSRR

● 6 dni w Moskwie, pociąg, od I do IV i w X — 2.700.
● 22 dni w Środkowej Azji (Baku, Taszkient, Buchara, Samarkanda, Ałma-Ata, Moskwa), samolot, IV, V i X — 10.900.
● 8 dni, Moskwa i Leningrad, pociąg, od VI do IX — 3.830.
● 10 dni w Kijowie i Moskwie, pociąg i autokar, V do X — 4.600.
● 9 dni: Kijów, Moskwa i Leningrad, pociąg, VI i IX — 4.300.
● 10 dni Moskwa i Kijów, pociąg i samolot, V i IX — 5.300.
● 10 dni Leningrad, Ryga, Moskwa i Wilno, pociąg i samolot, VI i IX — 4.830.
● 20 dni Gruzja (Kijów, Odessa, Soczi, Tbilisi, Moskwa), pociąg, samolot, statek, V, IX i X — 9.550.
● 14 dni w Soczi nad M. Czarnym, od V do IX — 6.635.

Informacje: Oddziały Orbisu w większych miastach kraju.

Informacje zebrał
red. Tadeusz Zuber

MIF-SZANKA FIRMOWA

25 lat na Kalatówkach

... stoi już sobie to pełne wdzięku schronisko w Tatrach. Tak, w grudniu 1963 obchodzi 25 urodziny.

Wybudowane w 1938 (w ciągu 8 miesięcy) z inicjatywy Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarzy. W czasie okupacji zajęte przez SS było niedostępne dla Polaków. Od roku 1945 służy szerokim rzeszom turystów krajowych i zagranicznych. Komfortowo wyposażone, 80 miejsc w pokojach małoosobowych oraz 26 w salach turystycznych.

Cieszy się znakomitą opinią w kraju i za granicą.

Długoletnim kierownikiem obiektu jest ob. Jan Koźlecki.

Znane jest również z dobrej kuchni i uprzejmej obsługi.

Co z „Podróżą"?

(rog) Scenariusz Konwickiego i Kawalerowicza, oparty na książce Dygata pt. „Podróż" miał posłużyć do zrealizowania filmu we Włoszech. Przewidywano, że główną rolę zagra Lea Massari. Fakt ten oblewano już nawet szampanem... Ostatecznie kontraktu nie podpisano. Ale scenariusz pozostaje nadal przedmiotem uwagi zagranicznych producentów. Interesuje się nim m. in. producent szwajcarski.

Piosenka w jazzie

(l) Coraz silniejsze w Polsce — szczególnie wśród młodzieży — zainteresowanie sprawami piosenki zachęciło miesięcznik „Jazz" do poświęcenia kilku swych kolumn na odrębne (choć zbroszurowane razem) mikro-pismo „Rytm i piosenka", poświęcone właśnie tym zagadnieniom. W pierwszym numerze „R. i P." zamieścił m. in. odpowiedź Niny Andrycz na pytanie kto jest jej ulubionym pieśniarzem. Okazuje się, że z kobiet: Edith Piaf (wywiad przeprowadzony był przed śmiercią pieśniarki), z mężczyzn: Aznavour.

Wojaże...

(rog) Jak się dowiadujemy w 1965 r. wyjedzie na gościnne występy do USA — na okres dwu miesięcy — wrocławski Teatr Pantomimy. W tym samym roku na taki sam okres uda się ponownie za Ocean poznański Chór Stuligrosza.

Jednym zdaniem

▲ **Wystawy:**

W Krakowie — prac ANTONIEGO WASILEWSKIEGO (Salon TPSP, Nowa Huta, Al. Róż) — patrz rysunek u góry; FOTOGRAFIKI UŻYTKOWEJ (Sala przy Rynku).

★

W Tarnowie — WINNA LATOROŚL W EXLIBRISIE — ze zbiorów N. Lippoczyego (Muzeum).

★

▲ POSIEDZENIE POD ZIEMIĄ, tak w szybie Daniłowicza wielickiej kopalni soli obradowały inauguracyjno-naukowo dwa towarzystwa: Alergologiczne (prezes prof. dr Obtułowicz) i Klimatoterapii Podziemnej (dr med. Skulimowski).

★

▲ II GIEŁDA KOMPOZYTORÓW I AUTORÓW (rodzaj przedbiegów do festiwali piosenki polskiej) w warszawskiej kawiarni-studio programu III radia „U Ewy" (Dom Mody) — w programie z górą 50 kompozytorów, autorów i wykonawców.

★

▲ PRZEPISY O RUCHU PIESZYM — ulotki z wyciągiem z kodeksu drogowego, wyszły nakładem Ministerstwa Komunikacji i PZU; godne najszerszego rozkolportowania!

▲ **Rozwiązanie ZAGADKI KRYMINALNEJ ze stron 16—17:**

Perły były w filiżance z kawą, piła przez eleganta. Poprzednio pociągnął on duży łyk, a po zaświeceniu światła musiał uważać, by nie przelać kawy: filiżanka była pełna.

Dużo łatwiej jest cierpieć w milczeniu, jeśli wie się, że ktoś to dostrzega.

Zygmunt Ołdakowski, dziennikarz:
Mam skomplikowane hobby: zbieram starą broń. Trzeba będzie jeden ze świątecznych poranków przeznaczyć na oczyszczenie broni.

Danuta Borkowska, lekarz laryngolog:
Spędzę święta w rodzinnym gronie. Kilka godzin trzeba będzie posiedzieć przy książce i z piórem w ręce.

Wacław Piątek, szatniarz:
Będę wypoczywał, oglądał telewizję.

Edward Zabiegaj, kierowca „Łączności":
Niestety w jeden z dni będę pracował jak w każdy inny dzień powszedni. Drugi z dni świątecznych spędzę u przyjaciół przy choince.

Alicja Sawicka, lektorka języków obcych:
Cieszę się, że będzie choinka i że przy blasku jej świec będzie można spędzić kilka miłych wieczorów z przyjaciółmi. Szczególnie cieszę się na odwiedziny bardzo miłego, dawno oczekiwanego gościa.

Krystyna Woycicka, studentka matematyki Uniw. Warsz.:
Wyjazd do rodziców, mieszkających w Trójmieście. Jeżeli Zatoka będzie już zamarznięta, to spacer po lodzie.

Tadeusz Babicz, inżynier architekt:
Co roku projektuję i urządzam choinkę w innym stylu i cieszy mnie zaskoczenie, jakim ta niespodzianka jest dla odwiedzających mnie przyjaciół. W tym roku choinka będzie ze srebrnej jemioły.

Halina Kiełczykowska, ekspedientka sklepu spożywczego:
Mam jedno pragnienie: odpocząć. Na pewno posiedzę przy telewizorze.

Tadeusz Palichleb, bileter kina „Świat":
Tego roku będę miał wolny wieczór wigilijny oraz jeden z dni świątecznych. Spędzę go z rodziną, pójdę z dziećmi na spacer. Drugi dzień — normalna praca, kino będzie czynne.

Emilia Wędrowska, sekretarz redakcji w NOT:
Parę godzin wyleżeć się w łóżku z książką. Taka przyjemność rzadko się zdarza!

Stanisław Słuckin, ekonomista:
W tym roku będę miał prawdziwe święta, bo żona, w uznaniu mych całorocznych zasług w dziedzinie porządków domowych, przyrzekła swój czas w dni świąteczne poświęcić wyłącznie domowi. Pozwoli mi to wydobyć się z zaległości w lekturze.

Lech Zdanowicz, mgr inżynier-mechanik:
Rano, jeżeli będzie śnieg, spacer z synkiem do parku. Wieczorem dobra książka (pod ręką bakalie i lampeczka wina).

Danuta Gambrych, sekretarka:
Cały drugi dzień świąt w towarzystwie najdroższego (mam takiego od niedawna!)

Stefan Jędrzejarz, spawacz:
Mamy piękną zimę, wybieram się z dzieciakami na saneczki. Sam chętnie pojeżdżę.

Teresa Bobińska, kapral MO:
Przyjemne święta będę miała tylko przez jeden dzień. Spędzę ten dzień po prostu z mężem i dziećmi. W drugi dzień — normalna służba.

Andrzej Sokołowski, geolog:
Trudno mówić o przyjemnościach. Święta zastaną mnie w tzw. „terenie" — jestem oddelegowany do nadzorowania wierceń geologicznych. Może się uda zorganizować brydżyka.

Stanisław Mrzewiński, instruktor muzyczny:
Będę opracowywał instrumentację nowego utworu muzycznego. Czas nagli, utwór ma być grany na rocznicę wyzwolenia Warszawy w styczniu.

Barbara Rylska, aktorka:
Wyłączony telefon, absolutny relaks. Zaś wieczorem w obydwa dni świąteczne o godzinie 19 gram w „Strasznym dworku" w teatrze Komedia.

Maria Brzeszczyńska, główny księgowy:
Jadę na kulig do lasów Nacpolskich, pod Płońskiem.

Marianna Karpińska, sekretarz teatru „Komedia":
Jadę na wieś, pod Warszawę, z książką i z psem (rasy cocker-spaniel).

Jan Rzędowski, dyrektor PPWK:
Zostało mi 10 dni urlopu. Wyjeżdżam na Bukowinę.

Onufry Kasiński, konduktor autobusowy:
Jeden dzień normalna i ciężka ze względu na zimę praca. Drugi z dni świątecznych przy radio i czytaniu gazet.

Józef Regulski, doręczyciel pocztowy:
Będę oglądał telewizję a także poczytam trochę.

Resumé

Jest to oczywiście resumé półżartobliwe. Osoby, z którymi rozmawiałem były wybrane z grona moich znajomych najzupełniej przypadkowo (kogoś spotkałem, do kogoś zadzwoniłem) lub z osób nieznajomych, zagadniętych ad hoc.

Co ludzie uważają za przyjemność świąteczną?

wyjazdy na świeże powietrze — 5 odpowiedzi — 15%;

odpoczynek jako taki, ew. przy radiu, telewizorze — 4 i pół odpowiedzi (dla trzech osób jest to program kompletny i dla trzech osób po połowie programu) — 14%;

życie towarzyskie — 3½ odpowiedzi — 10%;

z książką w łóżku — 2 odpowiedzi (jako program kompletny), oraz 3 połówki odpowiedzi, razem 3,5 odpowiedzi — 10%;

życie rodzinne — 2 pełne odpowiedzi i 4 połówki, razem 4 — 12%;

spacer (w miejscu zamieszkania) — 1 kompletna odpowiedź, 2 połówki i 1 ćwiartka, razem 3¼ — 10%;

jedzenie, jako główną atrakcję, wymieniła 1 osoba — 3% prócz tego wyczuwa się je jako miły składnik „prawdziwych Świąt" u kilku osób;

2 osoby postanowiły popracować w domu;

1 osoba, w jeden z wieczorów, pracuje zawodowo;

4 osoby spędzą cały jeden z dni świątecznych na służbie.

Zapytywana poza ankietką telefonistka, Emilia Indrzejczyk, oświadczyła, że dla niej Święta nie istnieją, bo w pierwszy dzień pracuje od 8 do 15, a w drugi dzień od 20 do 8 rano następnego dnia.

Karty — 2 głosy.

Kilka osób wymienia choinkę, jedna uważa jej przystrojenie za główny punkt programu.

2 osoby — 6% — nie spodziewają się po Świętach żadnej przyjemności.

Ankietkę przeprowadził
red. Roman Burzyński

UL. MANIFESTU LIPCOWEGO 19, TEL. 559-54
DODAĆ: KRAKÓW I, SKRYTKA POCZTOWA 533
SKIE WYD. PRASOWE RSW „PRASA"
LNA 2, III p. TEL. 558-62 — 588-41
LAM: Kraków, Wiślna 2, I p. tel. 553-40
IONYCH RĘKOPISÓW, FOTOGRAFII I RYSUNKÓW.
w prenumeraty udzielają placówki „Ruchu" i Poczty.
akcja nie bierze odpowiedzialności.

Nasz konkurs gwiazdkowy pt.

WIELKA KRADZIEŻ w MUZEUM CZARTORYSKICH w Krakowie

Jak wiadomo, chlubą tego muzeum jest Dama z łasicą, pędzla (prawdopodobnie) Leonarda da Vinci. Ostatnio dokonano włamania do muzeum. Na okładce naszego numeru widzicie Damę już okradzioną. Kto przyczyni się do wyświetlenia tej smutnej sprawy, wskazawszy trafnie CO mianowicie Damie skradziono, weźmie udział w losowaniu nagród:

I. MOTOCYKL WFM, 125 ccm, typ ulepszony
II. KUPON MATERIAŁU 100% wełna
III. ZEGAREK „Rodina", 22 kamienie, automatyczny naciąg
IV. MIKSER (robot wieloczynnościowy)
oraz 11 nagród pocieszenia: nylony, kosmetyki, galanteria, itp.

Na załączonym kuponie wpisz swoje imię, nazwisko i adres oraz zaznacz na schemacie, szkicowo, rzecz brakującą na reprodukcji na okładce. Wytnij kupon i prześlij na adres: Przekrój, Kraków, skr. poczt. 560 — do dnia 31 grudnia 1963 roku (wtorek). Na kopercie napisz: *Konkurs.*

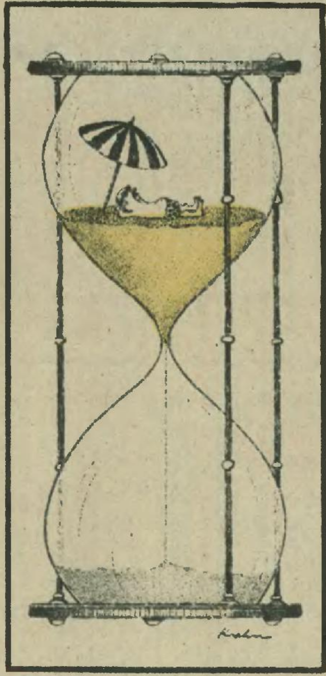
Imię i nazwisko: ....

....

Adres: ....

....

Rozwiązanie



O WACUSIU

Książki na prezenty gwiazdkowe powinno się kupować miesiąc wcześniej. Wtedy można je sobie przeczytać przed podarowaniem.

REKLAMA

Tygodnik „Nowiny Jeleniogórskie" nr 42 zamieścił taką reklamę:



Nic tylko zamknąć lodówkę i poczekać do lata!

(Nadesłał: K. Turuta)

Ludwik Jerzy Kern

BAJKA o KOMINACH

Zapytało tatusia raz dziecię
Skąd się biorą
Kominy na świecie?

Czy się rodzą żywe,
Jak ssaki?
Czy się z jajek lęgną,
Jak ptaki?

Czy może z ikry powstają,
Jak ryby?
Czy też z zarodników i grzybni,
Jak grzyby?

Czy z nasionka,
Jak na przykład ogórek?
Czy przez pączkowanie?
Czy przez podział komórek?

Czy bocian je przynosi
Z dalekich krajów?
Czy może tak jak plankton
Na świecie się zjawiają?

Czy wystarczy im
Wetknięcie w ziemię,
Jak trzcinie?
Ach odpowiedz.
Ach odpowiedz tatusiu
Dziecinie.

Tatuś się zamyślił głęboko
I po namyśle mruknął:
Kochanie,
Wygląda na to, że kominy
Rozmnażają się przez zapylanie.

KONCERT

„Słowo Ludu" z 21 listopada br. zapowiada:

Koncert muzyki chóralnej odbędzie się w sali POS. Śpiewa chór Zw. Zaw. Kolejarzy Hasło z Poznania. W przerwie utwory Verdiego, Beethovena, Moniuszki, Żeleńskiego, Kodalyego i innych kompozytorów.

A w programie? Palenie papierosów i rozmowy towarzyskie.

(Nadesłał: H. Gwóźdź)

POMYSŁ

W katowickich Sprawach Chemików nr 11 czytamy:

„Prasa związkowa z „Głosem Pracy" na czele będzie popularyzować poczynania związków zawodowych i ukrywać ich 20-letni dorobek.

Popularyzacja przez ukrywanie to zupełnie coś nowego!

(Nadesłał: M. Maryszewski)

ZGADNIJ JAKA TO POSTAĆ HISTORYCZNA?



Rys. ERYK LIPIŃSKI

AKTUALNOŚCI Z MYSZKĄ

1913 23 Grudzień

Przed pięćdziesięciu laty prasa donosi:

Warszawa uzyskała nie byle jaki nabytek. Otwarto uroczyście dla ruchu kołowego i pieszego nowy Trzeci Most na Wiśle u wylotu Alej Jerozolimskich i wspaniały wiodący do niego wiadukt. Most łączy śródmieście z Saską Kępą i uroczym a niemal nieznanym parkiem Skaryszewskim.

::::::

W Rzymie zmarł w dniu 18 bm. jeden ze znakomitych współczesnych rzeźbiarzy Teodor Rygier, urodzony w Warszawie w roku 1841. Najpopularniejszym jego dziełem jest pomnik Mickiewicza w Krakowie.

::::::

W Krakowie odnowiono jeden z najbardziej szacownych zabytków, Kazimierzowską bóżnicę na Kazimierzu. Restauracji dokonał kierownik robót na Wawelu arch. Zygmunt Hendel.

1938 23 Grudzień

Przed dwudziestu pięciu laty prasa donosi:

Inżynier Dunikowski głośny „fabrykant złota" zniszczył swe kosztowne instalacje w Saint Blaise i wyjeżdża na Filipiny, gdzie zamierza poprowadzić produkcję złota na wielką skalę.

::::::

W Warszawie bawi minister sprawiedliwości Rzeszy niemieckiej dr Frank. Na śniadaniu, wydanym przez min. Grabowskiego wznoszono toasty na cześć Hitlera. Frank udaje się obecnie na zwiedzenie Puszczy Białowieskiej.

::::::

Szkołom średnim przekazał LOPP 12 tysięcy masek przeciwgazowych do ćwiczeń przeciwlotniczych.

::::::

Od dwóch dni panują u nas mrozy, dochodzące do 20 stopni niżej zera. Święta zapowiadają się „po lodzie".

::::::

Warszawa ogarnięta jest szałem przedświątecznym.

Ogłoszenia:

Na Gwiazdkę firmy warszawskie polecają:

Biżuteria wytworna i skromna M. Mankielewicz Pl. Teatralny. Pod Filarami.

Wino tanie, czy droższe. Każde dobre. Simon i Stecki Krak. Przedmieście 38.

Mary Mill Marszałkowska 104. Pióra wieczne Watermana. (kar. beyl.)

O WACUSIU

Są rodziny, w których bocian nie jest gościem, lecz sublokatorem.

Rys. ZBIGNIEW LENGREN





